

Bestseller „New York Timesa”
6 milionów egzemplarzy sprzedanych w 48 krajach

MITCH ALBOM

Pięć osób,
które spotykamy
w niebie



Świat Książki

Mitch ALBOM

Pięć osób,
które spotykamy
w niebie

Z angielskiego przełożyła
Joanna Puchalska




Świat Książki

Książkę tę dedykuję, memu ukochanemu wujowi Edwardowi Beitchmanowi, któremu zawdzięczam swoje pierwsze wyobrażenie nieba. Co roku, w Święto Dziękczynienia, opowiadał przy stole o tym, jak leżał kiedyś w szpitalu i, obudziwszy się w nocy zobaczył dusze bliskich zmarłych zgromadzone przy łóżku, czekające na niego. Zapamiętałem sobie tę historię. I zawsze będę pamiętał mego wuja.

Każdy ma swoją własną wizję nieba – podobnie jak ma ją większość religii – i wszystkie one zasługują na szacunek. Przedstawiona tu wersja to wprawdzie tylko domysł, ale i zarazem gorące życzenie, by ludzie tacy jak wuj Eddie – którzy tu, na ziemi, czuli się szarzy i niepozorni – uświadomili sobie, jak naprawdę byli potrzebni i jak bardzo byli kochani.

Koniec

Oto historia człowieka imieniem Eddie, zaczynająca się od końca, bo w chwili jego śmierci, która nastąpiła w biały dzień. Dziwne może się wydać takie rozpoczynanie opowiadania od końca, jednak tak naprawdę każde zakończenie jest zarazem początkiem. Tyle że w danej chwili o tym nie wiemy.

Ostatnią godzinę życia, podobnie jak większość pozostałych, Eddie spędził w Rubylandzie, wesołym miasteczku nad brzegiem wielkiego szarego oceanu. Miasteczko było dość zwyczajne: miało podniszczone drewniane molo, diabelski młyn, kolejki górskie, stragan ze słodyczami, oferowało także rozrywki typu strzelanie wodą w usta kłowna. Niedawno pojawiła się nowa kolejka, zwana Wieżą, i tam właśnie Eddie zakończył życie w wypadku opisywanym potem w gazetach w całym stanie.

W chwili śmierci Eddie był starszym człowiekiem o wypukłej klatce piersiowej, lekko pochylonym, tak że przypominał skrzywioną puszkę. Patykowate nogi, niegdyś mocne i muskularne, teraz były chude i pokryte rysującą się wyraźnie pod skórą siatką żył. Lewe kolano, w które został ranny podczas wojny, nękał artretyzm, więc Eddie musiał chodzić z laską, inaczej w ogóle nie byłby w stanie się poruszać. Jego ogorzała od słońca twarz pokryta była gęstym, siwym zarostem, a wysunięty lekko do przodu podbródek nadawał jej wyraz dumy, której tak naprawdę Eddie wcale nie odczuwał. Najczęściej widywano go z wetkniętym za lewe ucho papierosem i pobrzękującym u pasa pękiem kluczy. Na głowie nosił starą płócienną

czapkę. Jasnobrazowy uniform sugerował, że Eddie jest pracownikiem fizycznym. I rzeczywiście pracował fizycznie.

Praca Eddiego polegała na „konserwowaniu” wszystkich urządzeń, co tak naprawdę oznaczało, że ponosił odpowiedzialność za to, żeby były w pełni bezpieczne. Co wieczór przemierzał miasteczko i sprawdzał cały sprzęt, od Skośnego Wiru do Zjeżdżalni Wodnej, czy żadna deska nie złamała się, czy wszystkie śruby tkwią na swoich miejscach i czy metalowe części nie zużyły się i nie wytarły. Czasami zastygał bez ruchu i patrzył w dal niewidzącym wzrokiem. Przypadkowi przechodnie myśleli wtedy, że coś mu się stało. A on tylko uważnie nasłuchiwał, to wszystko. Po tylu latach potrafił usłyszeć w prychnięciu, parszeniu i zgrzycie maszynierii, gdy coś było nie tak.

Kiedy pozostało mu pięćdziesiąt minut ziemskiego życia, Eddie ruszył na swój ostatni spacer po Rubylandzie. Po drodze minął parę starszych ludzi. „Szanowanie państwu” – mruknął, dotykając czapki. Skinęli uprzejmie w odpowiedzi. Bywalcy miasteczka, zwłaszcza ci stali, dobrze znali Eddiego. Widywali go każdego lata, była to dla nich jedna z tych twarzy, które kojarzą się z konkretnym miejscem. Na służbowej koszuli miał naszywkę ze swoim imieniem, które znajdowało się nad słowami NADZÓR TECHNICZNY, i wiele osób na jego widok wołało: „Cześć, panie Eddie Nadzorze Techniczny”, ale on nie uważał tego za śmieszne.

Tego właśnie dnia Eddie miał urodziny. Osiemdziesiąte trzecie. W zeszłym tygodniu lekarz powiedział mu, że ma półpasiec. Półpasiec? Eddie nawet nie wiedział, co to takiego. Kiedyś był tak silny, że podnosił dwa karuzelowe konie naraz, po jednym w każdej ręce. To było dawno temu.

– Eddie!... Zabierz mnie, Eddie!... Mnie zabierz!

Mając przed sobą czterdzieści minut życia, Eddie torował sobie właśnie drogę przez środek gromadki dzieci czekających pod kolejką górską. Co najmniej raz w tygodniu osobiście jeździł na każdym urządzeniu, żeby się upewnić, czy hamulce i mechanizmy sterownicze są w porządku. Dziś był dzień kolejki górskiej – zwanej Szalonym Pociągiem – i dzieci znające dobrze jego obyczaje napraszały się, żeby je wziął ze sobą do wagonika.

Dzieci lubiły Eddiego. Nastolatki nie. Te ostatnie były prawdziwą zmorą jego życia. Czasem miał wrażenie, że widział już setki zblazowanych, pyskujących nastolatków, wszystkie możliwe gatunki, jakie wydał ten kraj. Dzieci to co innego. Wystarczyło, że spojrzęły na Eddiego – którego twarz o wysuniętej dolnej szczęce przypominała uśmiechnięty pysk delfina – i od razu ufały mu. Lgnęły do niego, szukały jego towarzystwa, tak jak zmarznięte dłonie szukają ognia. Tuliły się do jego nogi. Bawiły się kluczami przy jego pasku. Eddie tylko od czasu do czasu pochrząkiwał, ale rzadko coś mówił. W duchu uważał, że właśnie dlatego go lubią.

Teraz wybrał dwóch chłopców w czapeczkach baseballowych założonych daszkiem do tyłu, którzy natychmiast co sił w nogach pognali w stronę wagonika i wskoczyli do środka. Eddie dał laskę do potrzymania chłopakowi z obsługi kolejki i pomału usadowił się między chłopcami.

– Jazda... no to jazdaaa!... – Jeden z malców pisnął, drugi schował się pod ramię Eddiego, który spokojnie opuścił poprzeczkę i *klak-klak-klak-klak* ruszyli w górę.

O Eddiem krążyła pewna opowieść. Kiedy był małym chłopcem i mieszkał niedaleko nabrzeża, wdał się raz w bójkę. Z pięcioma chłopakami z Pitkin Avenue. Otoczyli jego brata Joego z zamiarem spuszczenia mu lania. Eddie znajdował się w odległości jednej

przecznicy od nich, siedział przed domem i jadł kanapkę, kiedy usłyszał krzyk brata. Popędził w tamtą stronę, zabierając po drodze pokrywę od pojemnika na śmieci. Dwóch chłopców wylądowało w szpitalu.

Przez kilka miesięcy po tym wydarzeniu Joe nie rozmawiał z nim. Było mu wstyd. Joe był od niego starszy, ale to Eddie stanął do walki.

– Eddie... możemy się jeszcze przejechać?

Trzydzieści cztery minuty życia. Eddie podniósł poprzeczkę, dał chłopcom po cukierku, odebrał laskę i pokuśtykał do warsztatu w poszukiwaniu chłodnego schronienia przed letnim skwarem. Gdyby wiedział, że ma zaraz umrzeć, może poszedłby gdzie indziej. Tymczasem postąpił tak jak my wszyscy. Zajął się tym, czym zajmował się zawsze, jakby miał przed sobą nieskończenie wiele dni na tym świecie.

Jeden z pracowników, wysoki, chudy chłopak imieniem Dominguez, o wystających kościach policzkowych, stał przy zlewie i wycierał smar z koła.

– Serwus, Eddie – odezwał się.

– Cześć, Dom – mruknął Eddie.

Warsztat pachniał trocinami. Był ciemny i ciasny, z niskim sufitem. W ścianę wbite były kołki, na których wisiały wiertarki, piły i młotki. Wszędzie walały się fragmenty miasteczkowych urządzeń: kompresory, silniki, pasy, żarówki, nawet kawałek głowy pirata. Przy jednej ze ścian leżały stosy puszek po kawie, pełnych gwoździ, kołków i śrub, przy drugiej piętrzyły się niezliczone ilości tub ze smarem.

Smarowanie toru, jak twierdził Eddie, wymagało nie więcej sprytu niż umycie talerza; jedyną różnicę stanowiło to, że człowiek

staje się przy tym brudniejszy, nie czystszy. I właśnie takie prace Eddie wykonywał: nakładał smar, dokręcał hamulce, mocował kołki, sprawdzał tablice rozdzielcze. Wiele razy pragnął uciec stąd, znaleźć inną pracę, rozpocząć nowe życie. Ale przyszła wojna. Jego plany nigdy się nie spełniły. Potem nagle okazało się, że posiwiął, że spodnie wiszą na nim luźno i że z rezygnacją pogodził się z tym, kim jest, że już na zawsze pozostanie człowiekiem wiecznie mającym piasek w butach, uwięzionym w świecie jarmarcznych rozrywek i kiełbasek z różną. Jak głosiła naszywka na koszuli, Eddie był – podobnie jak przedtem jego ojciec – konserwatorem urządzeń, czyli kierownikiem obsługi technicznej. Dzieci nazywały go czasem karuzelnikiem z Rubylandu.

Zostało trzydzieści minut.

– Hej, chyba się nie mylę? Wszystkiego najlepszego! – zawołał Dominguez.

Eddie chrząknął.

– Jak to? Nie ma przyjęcia? Nawet tyciego?

Eddie spojrzał na niego, jakby tamten zwariował. Przyszła mu do głowy myśl, jak to dziwnie jest się starzeć w miejscu pachnącym cukrową watą.

– No trudno. Eddie, pamiętasz, że mnie nie ma w przyszłym tygodniu? Od poniedziałku. Jadę do Meksyku.

Eddie skinął głową, a Dominguez wykonał kilka tanecznych kroków.

– Jedziemy z Teresą. Do rodziny. Będzie imprezka.

Przestał tańczyć, kiedy zauważył nieruchomy wzrok Eddiego.

– Byłeś tam?

– Gdzie?

– W Meksyku.

Eddie obruszył się.

– Drogi chłopcze, byłem tylko tam, gdzie mnie posłali z karabinem.

Przez chwilę przyglądał się Dominguezowi, który wrócił do swego zajęcia przy zlewie. Wyjął z kieszeni niewielki zwitek banknotów i wybrał jedyne dwie dwudziestki, jakie się w nim znajdowały. Wyciągnął je przed siebie.

– Kup żonie coś ładnego – powiedział.

Dominguez spojrział na pieniądze, jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– No co ty? Pewien jesteś?

Eddie na siłę wepchnął mu pieniądze i wyszedł, udając się do magazynu. Przez szpary między deskami mola widać było ocean. Podniósł plastikową pokrywkę znad wyciętej wiele lat temu dziury. Wyciągnął nylonową żyłkę rybacką, która niknęła osiemdziesiąt stóp niżej w morzu. Kawałek wędzonej kiełbasy wciąż tkwił na jej końcu.

– Złapało się coś?! – krzyknął Dominguez. – Powiedz, że coś się wreszcie złapało!

„Ciekawe – pomyślał Eddie – skąd się w tym chłopaku bierze tyle optymizmu. Nigdy nic poza przynętą nie było na końcu żyłki”.

– Pewnego dnia – krzyknął znowu Dominguez – złapiemy taakiego halibuta!

– Taa – mruknął pod nosem Eddie, wiedząc dobrze, że nie da się przeciągnąć tak wielkiej ryby przez tak mały otwór.

Dwadzieścia sześć minut życia. Eddie przeszedł na drugą stronę mola, na jego południowy koniec. Niewiele się dziś działo.

Dziewczyna przy stoisku ze słodyczami opierała się na łokciach i strzelała balonami z gumy do żucia.

Kiedyś latem wszyscy przychodzili do Rubylandu. Były tu słonie i ognie sztuczne, i maratony tańca. Ale ludzie nie chodzą już tak chętnie do wesołych miasteczek; przenieśli się do parków rozrywki, gdzie płaci się siedemdziesiąt pięć dolarów za bilet i gdzie można sobie zrobić fotkę z wielkim pluszakiem.

Eddie pokuśtykał wzdłuż samochodzików i utkwiał wzrok w grupę nastolatków przechylających się przez barierkę. „No ładnie – pomyślał. – Tylko tego mi do szczęścia brakowało”.

– Zmiatajcie stąd! – zawołał, podchodząc bliżej i uderzając laską w barierkę. – Ale już! To niebezpieczne!

Młodzieńcy spojrzeli na niego. Pręty od samochodów skwierczały od wyładowań elektrycznych, wydając dźwięki *zzap zzap*.

– To niebezpieczne – powtórzył Eddie.

Wyrostki spojrzały po sobie. Jeden z nich, z pomarańczowym czubem na głowie, posłał szyderczy uśmiech w jego stronę i wszedł na środkowy tor.

– No, niech mnie któryś przejedzie! – wrzasnął, machając do małych kierowców. – Dawaj...

Eddie walnął w poręcz tak mocno, że omal nie złamał laski.

– JAZDA STĄD!

Nastolatki uciekły.

Opowiadano też inną historię o Eddiem. Jako żołnierz wiele razy brał udział w bitwie. Był bardzo dzielny. Zdobył nawet medal. Jednak pod koniec służby wdał się w bójkę z jednym z kolegów.

Właśnie wtedy został ranny. Nikt nie wiedział, co się stało z tym drugim.

Nikt nie pytał.

Mając przed sobą dziewiętnaście minut ziemskiego życia, Eddie po raz ostatni usiadł na starym aluminiowym krzeselku. Muskularne ramiona złożył na piersi jak foka płetwy. Nogi wystające z nogawek szortów były zaczerwienione od słońca, na lewym kolanie widać było blizny. Właściwie niejedna część ciała Eddiego świadczyła o tym, że nieraz udało mu się wyjść cało z opresji. Jego palce zginały się pod dziwnym kątem, co zawdzięczał licznym złamaniom, jakich doznał, reperując maszyny. Nos miał złamany kilkakrotnie przy okazjach zwanych przez niego saloonowymi bójkami. Twarz o szeroko zarysowanej szczęce musiała kiedyś być przystojna; jak twarz mistrza boksu przed otrzymaniem o tych kilka ciosów za dużo.

Teraz Eddie wyglądał po prostu na zmęczonego. Zwykle najchętniej tu właśnie przesiadywał: na moło Rubylandu, za Króliczą Nora, która w latach osiemdziesiątych była Lotem Błyskawicy, który w latach siedemdziesiątych był Stalowym Węgorzem, który w latach sześćdziesiątych był Słodką Huśtawką, która w latach pięćdziesiątych była Tunelem Śmiechu, który w latach czterdziestych był Grobem Tutenchamona, który przedtem był Muszlą Gwiazdnej Orkiestry.

A to było wtedy, kiedy Eddie poznał Marguerite.

W życiu każdego człowieka przychodzi jeden moment prawdziwej miłości. Dla Eddiego nadszedł on w pewne ciepłe wrześnie popołudnie po burzy, kiedy moło nasiąknięte było wodą niczym gąbka. Miała na sobie zwykłą bawełnianą sukienkę, żółtą, a we włosach różową spinkę. Eddie nie mówił wiele. Był tak zdenerwowany, że miał wrażenie, iż język przywarł mu do zębów.

Tańczyli przy muzyce Długiego Delaneya i jego big-bandu Everglades. Zafundował jej lemoniadę. Powiedziała, że musi wracać, bo rodzice będą się gniewać. Ale odchodząc, odwróciła się i pomachała do niego.

Tak właśnie wyglądał ów moment. Przez resztę życia, kiedy tylko pomyślał o Marguerite, widział ten obraz: machającą do niego dziewczynę o ciemnych włosach, które opadały jej na jedno oko, i czuł wtedy ten sam wszechogarniający przyływ miłości.

Tej nocy po powrocie do domu obudził brata. Powiedział mu, że poznał dziewczynę, z którą się ożeni.

– Kładź się spać, Eddie – jęknął Joe.

Szszszszsz. Na brzegu rozbiła się fala. Eddie wykrztusił coś, czego nie chciał oglądać. Wypluł to.

Szszszszsz. Kiedyś dużo myślał o Marguerite. Teraz mniej. Była jak rana pod starym bandażem, a on coraz bardziej się do tego bandaża przyzwyczajał.

Szszszszszsz.

Co to jest półpasiec?

Szszszszszsz.

Szesnaście minut życia.

Żadna historia nie jest oderwana od innych. Czasami historie splatają się ze sobą, a czasem pokrywają się wzajemnie, tak jak rzeka pokrywa kamienie.

Koniec historii Eddiego wiązał się z inną, z pozoru nic nieznaczącą historią, jaka wydarzyła się kilka miesięcy wcześniej, gdy raz, w pochmurny wieczór, w Rubylandzie zjawił się pewien młody człowiek wraz z trzema przyjaciółmi.

Młody człowiek miał na imię Nicky i był świeżo upieczonym kierowcą. Przeszkadzał mu duży pęk kluczy, więc odczepił kluczyk od samochodu i włożył go do kieszeni kurtki, a potem zawiązał sobie kurtkę w pasie.

Przez pierwszych kilka godzin on i jego przyjaciele jeździli na najszybszych kolejkach i karuzelach: zaliczyli Sokoła, Zjeżdżalnię Wodną, Wieżę i Szalony Pociąg.

– Ręce do góry! – krzyknął jeden z nich.

Wszyscy posłusznie podnieśli ręce.

Później, kiedy już zrobiło się ciemno, wrócili na parking zmęczeni i roześmiani, racząc się piwem, które przynieśli ze sobą w papierowej torbie. Nicky sięgnął do kieszeni kurtki i pogrzebał chwilę. Zaklął.

Kluczyka nie było.

Czternaście minut do śmierci. Eddie otarł czoło chusteczką. Na oceanie tańczyły brylanty światła i Eddie wpatrywał się w ich migotliwy ruch. Od wojny jego nogi nie były sprawne.

Ale w Muszli Gwiazdnej Orkiestry z Marguerite – o, tam Eddie poruszał się jeszcze całkiem sprawnie. Zamknął oczy, przywołując w pamięci piosenkę, która ich połączyła, tę, którą śpiewała w filmie Judy Garland. Mieszała mu się teraz w głowie z kakofonią rozbijających się o brzeg fal i krzykiem dzieci dochodzącym z karuzel i kolejek.

„Sprawiłeś, że cię pokochałam...”

Szszszszsz.

„...tak się stało, nie chciałam, żeby tak się stało...”

Szszszszsz.

„...że cię pokochałam...”

Aaaaaaaa!

„...wiedziałaś o tym i...”

Szuuuuuuuuu.

„...czas wiedziałaś o tym...”

I Eddie poczuł dłonie Marguerite na swoich ramionach. Mocniej zacisnął powieki, aby jeszcze bliżej przywołać wspomnienia.

Dwanaście minut życia.

– Przepraszam...

Stała przed nim mała dziewczynka, najwyżej ośmioletnia, i zasłaniała sobą słońce. Miała blond loczki, nosiła klapki, dżinsowe szorty i żółtozieloną koszulkę z kaczoem ze znanej kreskówki. „Amy – pomyślał. – Nazywa się Amy albo Annie”. Tego lata często tu przychodziła, jednak ani razu nie widział jej z mamą czy z tatą.

– Przepraszam – powtórzyła. – Pan Eddie Nadzór Techniczny?

Eddie westchnął.

– Wystarczy Eddie.

– Czy możesz mi zrobić...

Złożyła rączki jak do modlitwy.

– No co takiego? Nie będę czekał cały dzień.

– Czy możesz mi zrobić zwierzątko? Proszę!

Eddie odpowiedział jej poważnym spojrzeniem, jakby musiał najpierw dobrze przemyśleć sprawę. Potem sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął trzy żółte wyciorki do fajki, które nosił specjalnie w tym celu.

– Och taaak! – pisnęła dziewczynka i klasnęła w ręce.

Eddie zabrał się do skręcania wyciorków.

– A gdzie są twoi rodzice?

– Na karuzeli.

– Bez ciebie?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Mama jest ze swoim chłopakiem.

Eddie spojrzał na nią. Aha.

Pozginał wyciorki, porobił małe pętelki, a potem poskręcał je ze sobą. Dłonie mu drżały, więc trwało to dłużej niż dawniej, poza tym musiał przerwać na chwilę, aby otrzeć pot z twarzy. Ale wkrótce wyciorki zaczęły przypominać głowę, uszy, tułów i ogon.

– Królik? – spytała dziewczynka.

Eddie mrugnął porozumiewawczo.

– Dziękuuuuje!

Zakręciła się na pięcie, jak to dzieci, które są w ogóle nieświadome tego, że ich stopy się poruszają. Eddie ponownie wytarł czoło, a potem zamknął oczy i oparł się całym ciężarem o plażowe krzesło. Usiłował przywołać z powrotem słowa starej piosenki.

W górze krzyknęła przelatująca mewa.

Skąd się biorą ostatnie słowa? Czy ludzie zdają sobie sprawę z ich wagi? Czy zawsze muszą zawierać w sobie jakąś mądrość?

Do chwili swoich osiemdziesiątych trzecich urodzin Eddie stracił niemal wszystkich bliskich. Jedni umarli młodo, innym dana była szansa zestarzenia się, zanim zabrała ich choroba lub wypadek. Na pogrzebach Eddie nieraz wysłuchiwał wspomnień o ostatnich

rozmowach z nieboszczykiem. „Zupełnie jakby wiedział, że umrze...” – mówili często ci, co wspominali.

Nie bardzo w to wierzył. Jego zdaniem, kiedy już nadszedł czas, to nadszedł i koniec. Odchodząc, można powiedzieć coś mądrego, ale równie dobrze można powiedzieć coś głupiego.

W przypadku Eddiego ostatnie słowa miały brzmieć; „Cofnąć się!”

A oto co słyszał Eddie podczas ostatnich minut ziemskiego życia. Popołudniową bryzę. Fale rozbijające się o brzeg. Daleki łomot muzyki rockowej. Pomruk silnika małego samolotu ciągnącego za sobą reklamę. I jeszcze to:

– O BOŻE! LUDZIE, PATRZCIE!

Oczy Eddiego usiłowały przebić się przez powieki. Przez tyle lat poznał już na pamięć wszystkie odgłosy Rubylądu i mógł przy nich spać jak przy kołysance.

Ten głos nie miał nic wspólnego z kołysanką.

– O BOŻE! LUDZIE, PATRZCIE!

Eddie wyprostował się raptownie. Kobieta o pulchnych, pokrytych dołkami ramionach, trzymająca torbę na zakupy, wskazywała coś i krzyczała. Wokół niej zebrał się niewielki tłumek, wszyscy mieli wzrok skierowany ku górze.

Eddie od razu dostrzegł, co się stało. Jeden z wagoników znajdujących się na szczycie Wieży zwisał, przechylony pod takim kątem, jakby zamierzał zrzucić swój ładunek. Czworo pasażerów, dwóch mężczyzn, dwie kobiety, przytrzymujących się jedynie poręczy zabezpieczającej, gorączkowo usiłowało chwycić się czegokolwiek.

– O MÓJ BOŻE! – krzyczała dalej tęga kobieta. – TAM SĄ LUDZIE! ONI ZARAZ SPADNĄ!

Z radia przy pasie Eddiego zaskrzeczał głos:

– *Eddie! Eddie!*

Nacisnął guzik.

– Widzę! Wezwij ochronę!

Od strony plaży nadbiegali kolejni gapie, wyciągając raz po raz ręce ku górze, jakby wykonywali jakieś ćwiczenie. *Patrzcie! Tam w górze! Coś są stało z kolejką!* Eddie porwał laskę i pokuśtykał do ogrodzenia otaczającego dolną platformę. Klucze podzwaniały mu na biodrze. Serce biło jak szalone.

W czasie jazdy kolejką zwaną Wieżą dwa wagoniki opadały w dół z zawrotną prędkością, aż żołądek podchodził do gardła, i zatrzymywały się dopiero w ostatniej chwili dzięki hydraulicznym hamulcom. Jak to się stało, że teraz jeden z nich zwisał smętnie? Tkwił przechylony zaledwie kilka stóp poniżej górnej platformy, jakby najpierw ruszył, a potem zmienił zdanie.

Eddie dobiegł do bramki i musiał na chwilę przystanąć, żeby złapać oddech. W tym momencie nadbiegł Dominguez i o mały włos nie wpadł na niego.

– Słuchaj! – krzyknął Eddie, łapiąc Domingueza za ramiona. Ścisnął go tak mocno, że na twarzy Domingueza wykwitł grymas bólu.

– Kurczę, Eddie! – zawołał. – Spokojnie!

– Słuchaj! Kto jest na górze?

– Willie.

– Dobrze. Pewnie on wyłączył kolejkę. Dlatego wagonik wisi. Wejdz po drabinie i powiedz mu, żeby ręcznie zwolnił blokadę, to tamci będą mogli wysiąść. Blokada jest z tyłu wagonika. Asekuruj go, kiedy będzie się wychylał i sięgał tam. Potem... potem obaj...

koniecznie obaj, nie jeden, kapujesz?... obaj ich wyciągajcie. Jeden niech trzyma drugiego. Czy to jasne?

Dominguez skinął głową.

– Spuśćcie potem ten piekielny wagonik. Sprawdzimy, co się stało!

Serce Eddiego waliło jak młotem. Choć w jego lunaparku nie zdarzyły się żadne poważniejsze wypadki, słyszał różne przerażające opowieści o tym biznesie. Pewnego razu w Brighton wysunął się kołek w gondoli i dwie osoby zginęły. Innym razem, w Wonderlandzie, jakiś człowiek chciał przejść przez tory kolejki górskiej - wpadł między nie i utknął po pachy. Zaklinał się, krzyczał, a wagoniki pędziły prosto na niego... to był koszmar.

Eddie odepchnął od siebie te myśli. Dokoła niego stali ludzie i przyciskając dłonie do ust, patrzyli na Domingueza wspinającego się po drabinie. Eddie gorączkowo przypominał sobie wnętrza Wieży. *Silnik. Cylindry. Hydraulika. Uszczelnienie. Kable...* Jak to się stało, że wagonik się osunął? Uważnie przyjrzał się kolejce, przesuwając wzrok od czwórki wystraszonych pasażerów na górze, wzdłuż wysokiej Wieży, aż do jej podstawy.

Dominguez dotarł do górnej platformy. Jak mu Eddie kazał, przytrzymał Williego, kiedy ten przechylił się nad tylną ścianką wagonika, chcąc zwolnić blokadę. Jedna ze znajdujących się w wagoniku osób, młoda kobieta, rzuciła się w jego stronę i o mały włos nie ściągnęła go z platformy. Tłum jęknął.

– Zaraz, zaraz... – szepnął Eddie do siebie.

Willie spróbował ponownie. Tym razem zwolnił zabezpieczenie.

– Kabel... – wymamrotał Eddie.

Poręcz podniosła się, tłum jęknął przeciągle: Aaaaa. Pasażerowie zostali szybko wciągnięci na platformę, podtrzymywani przez Williego, którego z kolei podtrzymywał Dominguez.

– Kabel – szeptał Eddie – rozwija się...

Miał rację. W środku mechanizmu Wieży niewidoczny z zewnątrz kabel od wagonika numer dwa przez ostatnich kilka miesięcy ocierał się o unieruchomiony krążek, który przez to, że przestał się obracać, zaczął stopniowo zrywać stalowe druty – jakby łuskał kolejne osłonki ziarna – aż kabel całkiem puścił. Nikt tego nie zauważył. Nie mógł zauważyć. Trzeba by było wejść do środka urządzenia, żeby odkryć tę zupełnie nieprawdopodobną przyczynę kłopotów.

Krążek został zablokowany przez mały przedmiot, który w sprzyjającym momencie wpadł do środka przez szczelinę.

Samochodowy kluczyk.

– NIE SPUSZCZAJ WAGONIKA! – krzyknął Eddie. Zaczął wymachiwać rękami. – HEJ! HEEEEJ! TO KABEL, CHOLERA! NIE SPUSZCZAJ WAGONIKA! ZERWIE SIĘ!

Zagłuszał go tłum głośno wiwatujący, gdy Willie i Dominguez uwalniali ostatniego pasażera. Wszyscy czworo byli już bezpieczni. Obejmowali się i ściskali na górnej platformie.

– DOM! WILLIE! – darł się Eddie. Ktoś uderzył go niechcący, wytrącając walkie-talkie zza paska. Eddie schylił się, chcąc je podnieść. Willie podszedł do deski rozdzielczej. Położył palec na zielonym guziku. Eddie spojrzał w górę.

– NIE, NIE, NIE RÓB TEGO!

Eddie odwrócił się do tłumy.

– COFNAĆ SIĘ!

Coś takiego było w jego głosie, że ludzie posłuchali; przestali wiwatować i zaczęli się rozstępować. Dookoła podstawy Wieży zrobiła się wolna przestrzeń.

Wtedy Eddie zobaczył twarz, ostatnią, jaką widział w życiu.

Na metalowej podstawie siedziała bezradnie – jakby ktoś ją popchnął i przewrócił – mała dziewczynka, trzymająca w rączce zwierzątko zrobione z wyciorków do fajki. Nos miała zasmarkany, oczy pełne łez. Amy? Annie?

– Ma... mo! Ma... mo...

Wzrok Eddiego błyskawicznie przesunął się z dziewczynki na wagonik. Czy zdąży? Z dziewczynki na wagonik...

Bum, Za późno. Wagoniki spadały – Jezu, on puścił hamulec! – i wszystko dookoła zaczęło się dziać jak na zwolnionym filmie. Eddie rzucił laskę, stanął na chorej nodze i poczuł ból, od którego o mało co nie stracił przytomności. Wielki krok. Jeszcze jeden. W środku kanału sterującego kolejki puściła ostatnia nitka kabla, zrywając i dziurawiąc przewód hamulca hydraulicznego. Wagonik numer dwa zaczął spadać bezwładnie jak głaz ze skały i nic już nie było w stanie go zatrzymać.

W tych ostatnich chwilach życia Eddiemu wydawało się, że słyszy cały świat: jakieś krzyki, odległy szum fal, muzykę, świst wiatru i niski, głośny, nieprzyjemny dźwięk, który – jak sobie zdał sprawę – dobywał się z jego własnej piersi. Dziewczynka podniosła rękę. Eddie rzucił się w jej stronę. Chora noga podwinęła się. Siłą rozpędu runął w kierunku dziecka i wylądował na metalowej platformie, która gwałtownie zderzyła się z jego klatką piersiową, rozdierając koszulę i ciało pod naszywką ze słowami: EDDIE NADZÓR TECHNICZNY. Poczuł w dłoniach dwie ręce, dwie malutkie rączki.

Potężny cios w plecy.

Oślepiający błysk światła.

A potem już nic.

Dziś są Eddiego narodziny

Lata dwudzieste XX wieku, zatłoczony szpital w jednej z uboższych dzielnic miasta. Przyszły ojciec Eddiego pali papierosa w poczekalni obok innych przyszłych ojców, również palących papierosy. Wchodzi pielęgniarka. Wywołuje jego nazwisko. Źle je wymawia. Inni mężczyźni wydmuchują dym. No i?

On podnosi rękę.

– Gratuluję – mówi pielęgniarka.

Idzie za nią korytarzem do sali noworodków. Jego buty stukają o podłogę.

– Prosię zaczekać – mówi pielęgniarka.

Przez szybę widzi, jak sprawdza numery na drewnianych łóžeczkach. Mija jedno – nie jego, następne – nie jego, następne – nie jego, następne – nie jego.

Zatrzymuje się. To tu. Pod kocykiem. Mała główka okryta niebieską czapeczką. Pielęgniarka sprawdza coś w notatkach i pokazuje dziecko.

Ojciec oddycha ciężko, kiwa potakująco głową. Przez moment jego twarz kurczy się, jak most wpadający do rzeki. Potem uśmiecha się.

Jego.

Podróż

W swojej ostatniej chwili na ziemi Eddie nie widział nic, ani nabrzeża, ani tłumy, ani pokieroszowanej platformy, ani strzaskanego wagonika z włókna szklanego.

W opowieściach o życiu po śmierci często w chwili pożegnania dusza unosi się, płynie nad policyjnymi samochodami po wypadku na autostradzie albo przywiera jak pajak do szpitalnego sufitu. Zdarza się to ludziom, którzy dostają drugą szansę, którzy z niewiadomej przyczyny odzyskują swoje miejsce w świecie.

W przypadku Eddiego na to się nie zanosilo.

– GDZIE...?

Gdzie...?

Gdzie...?

Niebo stało się mgliście żółtawe, potem turkusowe, potem jasnożółtozielone. Eddie płynął w powietrzu, a ramiona miał cały czas wyciągnięte przed siebie.

Gdzie...?

Z wieży spadał wagonik. Tyle pamiętał. Mała dziewczynka – Amy? Annie? – płakała. To też pamiętał. Pamiętał swój rozpaczliwy skok. Pamiętał uderzenie o platformę. Pamiętał, jak poczuł dwie małe rączki w swoich dłoniach.

Potem co?

Czy uratowałem ją?

Mógł jedynie wyobrazić sobie to wszystko z dystansu, jak wydarzenie sprzed wielu, wielu lat. Jeszcze dziwniejsze było to, że nie czuł żadnych towarzyszących temu emocji. Czuł jedynie spokój, jakiego doznaje dziecko kołysane w ramionach matki.

Gdzie...?

Niebo dokoła zmieniło ponownie barwę, najpierw na kolor żółtego grejpfruta, potem przeszło w leśną zieleń, a potem w róż, który Eddiemu natychmiast skojarzył się – ciekawe, że ze wszystkich rzeczy właśnie z tym – z cukrową watą.

Czy uratowałem ją?

Czy przeżyła?

Gdzie...

...mój strach?

Gdzie mój ból?

Ale tego już nie było. Każde cierpienie, jakiego w życiu doświadczył, każdy ból, jaki stał się kiedykolwiek jego udziałem – wszystko zniknęło jak powietrze wypuszczone z płuc. Nie czuł bólu. Nie czuł smutku. Jego świadomość przypominała dym, snujący się wstęgą, niezdolny do niczego oprócz spokoju. Kolory pod nim znowu się zmieniły. Coś wirowało. Woda. Ocean. Unosił się nad bezkresnym żółtym morzem. Teraz przybrało kolor melona. Teraz było szafirowe. Zaczął opadać, aż zderzył się z powierzchnią. Działo się to zaskakująco szybko, a jednak na twarzy czuł jedynie lekki powiew, i nic a nic się nie bał. Ujrzał piasek złotego brzegu.

Znalazł się pod wodą.

Wszystko było takie ciche.

Gdzie mój strach?

Gdzie mój ból?

Dziś są Eddiego urodziny

Ma pięć lat Jest niedzielne popołudnie w Rubylandzie. Piknikowe stoły ustawione są na molo od strony białej piaszczystej plaży. Na stole króluje tort waniliowy z niebieskimi świeczkami i waza z sokiem pomarańczowym. Dokoła bez celu snują się pracownicy wesołego miasteczka: naganiacze, nieszczęśnicy z gabinetów osobliwości, treserzy zwierząt i robotnicy z przetwórni ryb. Ojciec, jak zawsze, gra w karty. Eddie bawi się u jego stóp. Jego starszy brat Joe robi pompki przed grupką starszych pań, które udają zainteresowanie i uprzejmie klaszcze

Eddie ma na sobie prezent urodzinowy – czerwony kowbojski kapelusz i pas z koltem. Wstaje i z wyciągniętym koltem biegnie od jednej grupki do drugiej, krzyząc: „Paf! Paf!”

– Chodź no tu – kiwa na niego Mickey Shea, siedzący nieopodal na ławce.

– Paf! Paf! – krzyczy Eddie.

Mickey Shea pracuje z tatą Eddiego, razem reperują maszyny. Jest gruby, ma rumianą twarz, nosi szelki i wiecznie śpiewa irlandzkie piosenki. Eddie uważa, że śmiesznie pachnie, zupełnie jak lekarstwo na kaszel.

– Chodź no tutaj, podrzucę cię do góry – mówi. – Jak w Irlandii.

Wielkie dłonie chwytają Eddiego pod pachy, przekręcają go do góry nogami i po chwili chłopiec zwisa przy jego nogach. Kapelusz spada Eddiemu z głowy.

– Ostrożnie, Mickey! – woła matka. Ojciec patrzy, na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu, po chwili ojciec wraca do gry.

– Oho ho. A teraz.. – mówi Mickey. – Po jednym razie za każdy rok.

Delikatnie opuszcza chłopca, aż ten głową dotyka podłogi.

– Jeden!

Mickey podnosi Eddiego. Inni dołączają się ze śmiechem. Krzyczą:

– Dwa!... Trzy!

Wisząc głową do dołu, Eddie nie jest pewien, kto jest kto. Głowa staje się ciężka.

– Cztery!... – krzyczą. – Pięć!

Eddie zostaje przekreślony głową do góry i postawiony na podłodze. Wszyscy klaszczą. Eddie sięga po kapelusz i potyka się. Wstaje, niepewnym krokiem podchodzi do Mickeya Shea i wymierza mu cios pięścią w ramię.

– Oho ho! A to za co, mój mały? – pyta Mickey. Wszyscy się śmieją. Eddie odwraca się i ucieka, po trzech krokach zgarniają go ramiona matki.

– Wszystko dobrze, syneczku, jubilacie najmilszy? – Zaledwie kilka cali od swojej twarzy Eddie widzi intensywnie czerwoną szminkę, pulchne, miękkie policzki i falę brązowych włosów.

– Byłem do góry nogami – mówi.

– Widziałam – odpowiada matka.

Wkłada mu kapelusz na głowę. Później pójdzie z nim na spacer nabrzeżem, może zabierze go na przejażdżkę na słoniu albo będą patrzeć, jak rybacy wyciągają wieczorne sieci z rzucającymi się rybami, przypominającymi lśniące, mokre monety. Będzie trzymać go za rękę i powie mu, że Pan Bóg jest dumny z niego, że był taki grzeczny w swoje urodziny, a to znowu ustawi świat właściwą stroną do góry.

Przybycie

Eddie obudził się w filiżance.

Znajdował się w staroświeckim lunaparku – była to duża filiżanka zrobiona z ciemnego, polituowanego drewna, z miękkim siedzeniem i drzwiami na stalowych zawiasach. Ręce i nogi Eddiego zwisały z jej brzegów. Niebo wciąż zmieniało kolory, od brązowego, jak skórzane buty, do głębokiego szkarłatu.

Odruchowo sięgnął po laskę. Przez ostatnich kilka lat stale trzymał ją przy łóżku, ponieważ zdarzały się takie poranki, że nie był w stanie podnieść się bez niej. Krępowało go to, przecież kiedyś był tak silny, że wymierzał na powitanie potężne kuksańce.

Ale teraz nie było laski. Eddie odetchnął głęboko i spróbował się podciągnąć. O dziwo, plecy go nie bolały. Zniknął pulsujący ból w nodze. Uchwycił się mocniej, z łatwością przelazł przez brzeg filiżanki i zeskoczył niezgrabnie na ziemię. Tu dopadły go trzy szybkie myśli.

Po pierwsze, czuł się cudownie.

Po drugie, był całkiem sam.

Po trzecie, nadal znajdował się w Rubylandzie.

Ale to było inne wesołe miasteczko. Z płóciennymi namiotami i rozległymi połaciami trawy. Zabudowań było niewiele i nie zasłaniały porośniętego mchem falochronu w oceanie. Wszystkie urządzenia były w dwóch kolorach: strażackim czerwonym i kremowobiałym – żadnych zielononiebieskich czy kasztanowobrazowych barw – i przy każdym stała osobna drewniana budka z biletami. Filiżanka, w której się obudził, należała do starej, prymitywnej karuzeli o dźwięcznej nazwie Wirujące Spodki. Szyld zrobiony był ze sklejki,

podobnie jak inne tablice nisko zawieszane na sklepikach i atrakcjach stojących wzdłuż promenady:

Papierosy El Tiempo! Tylko spróbujcie!

Zupa z małży, 10 centów!

Przejażdżka Cyklonem – Sensacja Stulecia!

Eddie zamrugał z niedowierzaniem. Przed oczami miał Rubyland swego dzieciństwa, sprzed jakichś siedemdziesięciu pięciu lat, tyle że wszystko lśniło nowością. Była tam Górską Serpentyną – usunięta kilkadziesiąt lat temu – a także łaźnie i baseny z wodą morską, zlikwidowane w latach pięćdziesiątych. W niebo strzelał pierwszy diabelski młyn – świeżutko pomalowany na biały kolor – a za nim widać było ulicę dzielnicy, w której kiedyś mieszkał, i dachy stłoczonych ciasno ceglanych domów czynszowych ze sznurami prania przeciągniętymi między oknami.

Eddie chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Poruszył ustami, starając się wymówić słowo: „Hej”. Jego struny głosowe nie wydały żadnego dźwięku.

Obmacał ręce i nogi. Zupełnie nic go nie bolało i pomijając brak głosu, czuł się niewiarygodnie dobrze. Okręcił się w kółko, zrobił parę kroków do tyłu. Podskoczył. Nic go nie bolało. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zapomniał, co to znaczy chodzić bez krzywienia się z bólu, jak to jest móc tak po prostu usiąść i nie męczyć się szukaniem jak najwygodniejszej pozycji dla obolałego krzyża. Zewnętrznie wyglądał tak samo jak rano: stary, przygarbiony człowiek, o wypukłej klatce piersiowej, w czapce i w szortach, w brązowej bluzie mechanika. Ale fizycznie był sprawny. Tak sprawny, że mógł, schyliwszy się, dotknąć ziemi za stopami i podciągnąć kolano do brzucha. Badał swoje ciało jak małe dziecko, zafascyno-

wany tą nową mechaniką, niczym człowiek guma rozciągający swoją gumowatość.

Potem puścił się biegiem.

Ha ha! Biegiem! Eddie nie biegał przez ostatnie sześćdziesiąt lat, od czasów wojny, a teraz biegł, zaczawszy od kilku ostrożnych kroków, potem stopniowo przyśpieszając do pełnej prędkości, tak jak biegał jako młody chłopak. Popędził wzdłuż pustego molo, minął stragan z przynętą dla rybaków (pięć centów), wypożyczalnię kostiumów kąpielowych (trzy centy), dalej zjeżdżalnię zwaną Windą. Biegł Wielką Promenadą Rubylandu, przed wspaniałymi budynkami w stylu mauretańskim, z wieżami, minaretami i cebulastymi kopułami. Po drodze minął Paryską Karuzelę z drewnianymi końmi, szklanymi lustrami i katarynką. Wszystko było nowe i lśniące. Zdać się mogło, że zaledwie godzinę temu zdrapywał rdzę z jej części w swoim warsztacie.

Przebiegł przez środek starego placu, gdzie dawniej występowali zgadywacze wagi, wróżbici i cygańskie tancerki. Pochylił głowę i wyrzucił przed siebie ramiona jak skoczek na lotni, podskakując co parę kroków, tak jak to robią dzieci w nadziei, że oderwą się od ziemi i bieg zmieni się w lot.

Komuś, kto zobaczyłby teraz tego siwowłosego mechanika, całkiem samego, zachowującego się, jakby był samolotem, mogło się to wydawać dziwaczne. Ale w środku każdego z nas jest taki biegnący chłopiec, niezależnie od wieku.

Nagle zatrzymał się. Usłyszał coś. Głos. Piskliwy, jakby dochodził z megafonu.

– I co wy na to, panie i panowie? Czy ktoś widniał kiedyś coś bardziej niesamowitego ?...

Eddie stał przy pustej budce z biletami przed niewielkim teatrem. Napis na górze głosił:

Najdziwaczniejsi Obywatele Świata.

Specjalny Pokaz w Rubylądzie!

Święty Dym! Grubi! Chudzi!

Zobaczcie Dzikiego Człowieka!

Specjalny pokaz. Występy dziwolągów. Krzykliwie zachwalane. Eddie pamiętał, jak skończyły się co najmniej pięćdziesiąt lat temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pojawiła się telewizja i ludzie nie potrzebowali już takich atrakcji, żeby przeżyć dreszcz emocji.

– Przypatrzcie się dobrze nieszczęsnemu dzikusowi urodzonemu z tak dziwacznym kalectwem...

Eddie zajrzał do środka. Poznał kiedyś kilkoro takich dziwnych ludzi. Niejaką Jolly Jane, która ważyła ponad pięćset funtów, tak że dwóch mężczyzn musiało ją wpychać po schodach na górę. Dwie siostry, które miały wspólny kręgosłup i grały na instrumentach. Połykaczy mieczy, kobiety z brodami i dwóch braci Indian, których skóra tak się rozciągnęła wskutek nieustannego naciągania i smarowania oliwą, że jej fałdy zwisały na rękach i na nogach.

Jako dziecko Eddie współczuł nieszczęśnikom występującym w wesołych miasteczkach w roli kuriozów. Zmuszano ich do siedzenia w budkach albo na scenie, czasem w klatkach, a widzowie podchodzili blisko, oglądali ich i pokazywali sobie palcami. Naganiacz wykrzykiwał słowa zachęty i to właśnie jego głos Eddie teraz słyszał.

– Jakimś okrutnym zrzędzeniem losu nieszczęsna ta istota znalazła się w tak oplakanej sytuacji! Przywieźliśmy go z końca świata, abyście mogli zobaczyć...

Eddie wszedł do mrocznego wnętrza. Słowa rozlegały się coraz głośniejsze.

– Nieszczęśnik będący ofiarą wybryku natury...

Głos dochodził z drugiej strony sceny.

– Tylko u nas, w Najdziwaczniejszych Obywatelach Świata, możecie...

Eddie podszedł do kurtyny.

– Nasyćcie wasze oczy tym najbardziej niezwykłym...

Głos naganiacza urwał się. Eddie cofnął się z niedowierzaniem.

Na ustawionym na scenie krześle siedział samotnie mężczyzna w średnim wieku, o wąskich, spadzistych ramionach, nagi od pasa w górę. Nad paskiem zwisał mu spory brzuch. Włosy miał krótko przystrzyżone, usta cienkie, a twarz chudą i długą. Eddie na pewno by go tak dobrze nie zapamiętał, gdyby nie jedna niezwykła rzecz.

Miał skórę w kolorze niebieskim.

– Witaj, Edwardzie – odezwał się. – Czekałem na ciebie.

Pierwsza osoba, która Eddie spotkał w niebie

– Nie bój się – powiedział Niebieski Człowiek, podnosząc się wolno z krzesła. – Nie bój się...

Głos miał łagodny, a mimo to Eddie tylko stał i się gapił. Tak naprawdę ledwie znał tego człowieka. Dlaczego teraz go spotkał? Był jak jedna z tych twarzy, które pojawiają się nie wiadomo skąd we śnie i o których rano człowiek mówi: „Nigdy nie zgadniesz, kto mi się dzisiaj przyśnił”.

– Masz ciało dziecka, prawda?

Eddie skinął głową.

– Byłeś dzieckiem, kiedy się poznaliśmy, to dlatego. Zaczynasz od tych samych uczuć, jakie wtedy miałeś.

Co zaczynam? – pomyślał Eddie.

Niebieski Człowiek uniósł lekko brodę. Jego skóra miała groteskowy odcień zszarzałych czarnych jagód. Palce były pomarszczone. Wszedł na zewnątrz. Eddie poszedł w ślad za nim. Nabrzeże było puste. Plaża była pusta. Czyżby cała planeta była pusta?

– Powiedz mi – odezwał się Niebieski Człowiek, wskazując drewnianą kolejkę górską o dwóch garbatych wzniesieniach, zwaną Cyklonem. Zbudowano ją w latach dwudziestych przed wprowadzeniem dodatkowej pary kół, kiedy jeszcze wagoniki nie mogły skręcać zbyt szybko, bo inaczej wypadały z toru. – Czy Cyklon to nadal najszybsza kolejka?

Eddie spojrział na starą, hałaśliwą maszynę, którą rozebrano wiele lat temu. Uniósł brwi. Potrząsnął przecząco głową.

– Tak myślałem – westchnął Niebieski Człowiek. – Tutaj nic się nie zmienia. A niestety nie da się zerknąć na dół zza chmurki.

Tutaj? – pomyślał Eddie.

Niebieski Człowiek uśmiechnął się, jakby usłyszał pytanie. Dotknął ramienia Eddiego, który w tym momencie poczuł przypływ ciepła, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył. Pojawiły się myśli wylewające się w postaci gotowych zdań.

Jak umarłem?

– To był wypadek – odparł Niebieski Człowiek.

Od jak dawna nie żyję?

– Od minuty. Godziny. Tysiąca lat.

Gdzie jestem?

Niebieski Człowiek wydał wargi, a potem w zamyśleniu powtórzył pytanie:

– Gdzie jesteś? – Odwrócił się i uniósł ręce. W jednej chwili wszystkie atrakcje Rubylądu obudziły się do życia: diabelski młyn kręcił się, samochodziki wpadały na siebie nawzajem, Cyklon ruszył z łoskotem pod górę, a konie Paryskiej Karuzeli kołysały się na swoich mosiężnych prętach przy dźwiękach wesołej muzyczki z katarynki. W dali rozciągał się ocean. Niebo miało kolor cytryny.

– A jak myślisz? – spytał Niebieski Człowiek. – Oczywiście, że w niebie.

Nie! Eddie gwałtownie potrząsnął głową. Niebieski Człowiek sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Nie? Twoim zdaniem niebo tak nie wygląda? – spytał. – Dlaczego? Ponieważ właśnie tu dorastałeś?

Eddie poruszył ustami. *Tak.*

– Aha – pokiwał głową Niebieski Człowiek. – No cóż. Ludzie często nie doceniają miejsca, w którym się urodzili. Tymczasem niebo można znaleźć w miejscach najbardziej nieoczekiwanych. I ma ono wiele stopni. Dla mnie jest to stopień drugi. A dla ciebie pierwszy.

Poprowadził Eddiego przez wesołe miasteczko, mijając po drodze sklepik z cygarami, stragan z kiełbaskami i przybytki gier hazardowych, gdzie od naiwnych wyciągano drobne pieniądze.

Niebo? – pomyślał Eddie. Przecież to śmieszne. Przez większą część swego dorosłego życia usiłował wydostać się z Rubylandu. To tylko wesołe miasteczko, nic więcej. Miejsce, gdzie się dużo krzyczy, gdzie jest się oblewanym wodą i wydaje się ciężko zapracowane pieniądze na głupstwa. Myśl, że miałyby to być miejsce wiecznego spoczynku, jakoś nie mieściła mu się w głowie.

Ponownie próbował coś powiedzieć. Tym razem wydał z siebie lekkie chrząknięcie. Niebieski Człowiek odwrócił się.

– Nie martw się, odzyskasz głos. Wszyscy przez to przechodzimy. Nie możemy mówić zaraz po przybyciu. – Uśmiechnął się. – To ułatwia słuchanie.

– W niebie każdy spotyka pięć osób – powiedział nagle Niebieski Człowiek. – Przekonasz się, że wszystkie te osoby nie bez powodu pojawiły się w twoim życiu. Wtedy mogłeś nie znać tego powodu. Po to jest niebo. Żeby zrozumieć sens życia na ziemi.

Po tych słowach Eddie poczuł się jeszcze bardziej zbity z tropu.

– Wiem, co czujesz. Ludzie myślą, że niebo to rajski ogród, miejsce, gdzie mogą bujać w obłokach, beztrósco włączyć się nad

rzeką czy po górach. Ale sama tylko sceneria, bez pocieszenia, byłaby pusta, pozbawiona jakichkolwiek treści. Największym darem Boga jest to, że będziesz mógł zrozumieć, co zdarzyło się w twoim życiu, że zostanie ci wyjaśniony jego sens. To jest ten wieczny pokój, do którego dążysz.

Eddie kaszlnął, próbując wydobyć z siebie głos. Męczyło go to, że jest niemy.

– Jestem twoją pierwszą osobą, Edwardzie. Kiedy umarłem, moje życie zostało mi wyjaśnione przez pięć osób, a potem czekałem tu na ciebie, żeby stanąć na twojej drodze i opowiedzieć ci moją historię, która w ten sposób staje się częścią twojej. Czekają też na ciebie inni. Jednych znałeś, innych mogłeś nigdy nie widzieć na oczy. Ale zanim umarli, ich drogi skrzyżowały się z twoją drogą, zmieniając ją na zawsze.

Eddie z wielkim wysiłkiem wydobył dźwięk ze swoich płuc.

– Jak... – zachrypiał w końcu.

Jego głos przedzierał się jak przez skorupę, zupełnie jak małe kurczątko.

– Jak...

Niebieski Człowiek czekał cierpliwie.

– Jak... pan... umarł?

Niebieski Człowiek sprawiał wrażenie z lekka zaskoczonego. Uśmiechnął się do Eddiego.

– Przez ciebie – odparł.

Dziś są Eddiego urodziny

Ma siedem lat i w prezencie dostał nową piłkę do baseballa. Ścisną ją obiema rękami i czuje się przy tym silny i ważny. Wyobraża sobie, że jest jednym z tych sławnych graczy z obrazków, które dzieci zbierają w szkole, może nawet samym Walterem Johnsonem.

– No dawaj, rzuć – mówi jego brat Joe.

Biegną obok sceny i strzelnicy, gdzie, jeśli trafi się w trzy zielone butelki, wygrywa się kokos i słomkę.

– Nie bądź taki, Eddie – mówi Joe. – Daj pograć.

Eddie staje i wyobraża sobie siebie na stadionie. Rzuci piłkę. Jego brat ściąga łokcie do tyłu i uskakuje.

– Za mocno! – krzyczy Joe.

– Moja piłka! – drze się Eddie. – Niech cię licho, Joe.

Patrzy, jak piłka odbija się od molo, a potem od słupka i ginie im z oczu za namiotem, w którym występują dziwolągi. Biegnie za nią, Joe za nim. Padają na ziemię.

– Widzisz ją? – pyta Eddie.

– Nie.

Przerywa im głuchy odgłos. Odsuwa się poła namiotu. Eddie i Joe podnoszą głowy. Stoi tam bardzo gruba kobieta, a obok mężczyzna bez koszuli, którego całe ciało porośnięte jest rudawymi włosami Dziwolągi z gabinetu osobliwości.

Dzieci zastygają w bezruchu.

– A wy czego tu szukacie, łobuzy? – pyta owłosiony mężczyzna, szczerząc zęby w uśmiechu. – Guza?

Usta Joego drżą. Zaczyna płakać. Zrywa się i ucieka, gwałtownie wymachując rękami. Eddie też się podnosi i wtedy zauważa swoją piłkę przy koźle do piłowania drewna. Nie spuszczać oczu z mężczyzny bez koszuli, idzie wolno w tamtą stronę.

– To moje – mówi szybko. Łapie piłkę i biegnie za bratem.

– Posłuchaj pan – dyszy chrapliwie Eddie. – Ja pana nie zabiłem, rozumie pan? Ja nawet pana nie znam.

Niebieski Człowiek usiadł na ławce. Eddie stał nadal, jakby w pozycji obronnej.

– Zatem zacznijmy od mojego prawdziwego nazwiska – zaproponował Niebieski Człowiek. – Nazywam się Joseph Corvelzchik, jestem synem polskiego krawca z biednej wioski. Przyjechaliśmy do Ameryki w 1894 roku. Byłem jeszcze dzieckiem. Matka trzymała mnie na ręku, stojąc przy balustradzie statku, i to jest moje najwcześniejsze wspomnienie... matka kołysząca mnie w ramionach i wiatr wiejący od strony nowego świata.

Jak większość emigrantów nie mieliśmy pieniędzy. Spaliśmy na materacu w kuchni u mego wuja. Ojciec pracował w fabryce, przyszywał guziki do płaszczy. Kiedy miałem dziesięć lat, zabrał mnie ze szkoły i kazał pójść do pracy.

Eddie przyglądał się dziobatej twarzy Niebieskiego Człowieka, jego cienkim wargom i zapadłej piersi. *Dlaczego on mi to wszystko mówi?*

– Byłem dzieckiem z natury nerwowym, a hałas panujący w fabryce jeszcze bardziej mnie rozstrajał. Takie małe dziecko nie powinno przebywać wśród dorosłych mężczyzn, wiecznie klnących i psioczących. Kiedy tylko zbliżał się majster, ojciec powtarzał:

– Nie patrz na niego. Może cię nie zauważy.

Pewnego razu potknąłem się i upuściłem woreczek z guzikami, które rozsypały się po podłodze. Majster zaczął krzyczeć, że jestem do niczego, kompletnie bezużyteczny i żebym się wynosił. Wciąż mam tę scenę przed oczami. Ojciec błagał go jak uliczny żebrak, a majster uśmiechał się szyderczo i wycierał nos grzbietem dłoni. Żołądek ścisnął mi się z bólu. Wtedy nagle poczułem coś mokrego na

nodze. Spojrzałem w dół. Majster pokazał palcem moje spodnie i zaczął się śmiać. Inni robotnicy też się śmiali.

Po tym wydarzeniu ojciec nie odzywał się do mnie. Przypuszczam, że w jego pojęciu narobiłem mu wstydu. Ojcowie potrafią wyrządzić wielką krzywdę swoim synom, o czym się później przekonałem na własnej skórze. Byłem nerwowy jako dziecko i wyrosłem na nerwowego młodego człowieka. Najgorsze ze wszystkiego było to, że moczyłem się w łóżko. Rano ukradkiem prałem zabrudzone prześcieradła w umywalce. Pewnego dnia ojciec nakrył mnie na tym. Najpierw zobaczył brudne prześcieradło, a potem spojrzał na mnie. Zawsze będę pamiętał ten jego wzrok. Patrzył tak, jakby chciał przeciąć łączącą nas więź.

Niebieski Człowiek zamilkł na chwilę. Jego skóra wyglądała, jakby namoczono ją w niebieskiej cieczy; niewielkimi fałdami tłuszczu układała się nad paskiem. Eddie nie mógł oderwać od niego wzroku, wprost nie mógł się powstrzymać, żeby na to nie patrzeć.

– Nie zawsze byłem dziwolągiem, Edwardzie – ciągnął Niebieski Człowiek. – W tamtych czasach medycyna była dość prymitywna. Poszedłem do apteki, żeby kupić coś na nerwy. Aptekarz dał mi butelkę azotanu srebra, kazał mieszać z wodą i zażywać wieczorem. Dziś azotan srebra uważany jest za truciznę. Ale wtedy to było wszystko, co miałem do dyspozycji. Kiedy lekarstwo nie działało, doszedłem do wniosku, że pewnie dawka jest zbyt mała. No to zażyłem więcej. Brałem dwa łyki, czasem trzy, i to bez wody.

Wkrótce zaczęto mi się dziwnie przyglądać. Moja skóra przybrała kolor popiołu. Wstydzilem się tego i stałem się jeszcze bardziej pobudliwy. Połykałem coraz więcej azotanu srebra, aż moja skóra z szarej zrobiła się niebieska, co było ubocznym skutkiem działania trucizny.

Niebieski Człowiek zamilkł na moment. Potem zniżył głos:

– Zwolnili mnie z fabryki. Majster powiedział, że robotnicy się mnie boją. Co miałem jeść, będąc bez pracy? Gdzie miałem mieszkać? Godzinami przesiadywałem w najciemniejszym kącie baru, gdzie mogłem ukryć swoje kalectwo pod płaszczem i kapeluszem. Pewnego wieczoru zjawiała się tam grupa ludzi z wędrownego lunaparku. Palili cygara. Śmiali się. Jeden z nich, niewysoki gość z drewnianą nogą, cały czas mi się przyglądał, aż w końcu do mnie podszedł. Tego samego wieczoru zgodziłem się wystąpić u nich. I tak zaczęła się moja kariera dziwoląga.

Eddie dostrzegł wyraz rezygnacji malujący się na twarzy Niebieskiego Człowieka. Zawsze zastanawiał się, skąd się biorą ludzie występujący w gabinetach osobliwości. Podejrzewał, że każdy z nich ma za sobą jakąś smutną historię.

– W lunaparku otrzymałem nowe imię, Edwardzie. Czasami byłem Niebieskim Człowiekiem z Bieguna Północnego, czasem Niebieskim Człowiekiem z Algierii albo Niebieskim Człowiekiem z Nowej Zelandii. Naturalnie w życiu nie byłem w żadnym z tych miejsc, ale miło było uchodzić za coś egzotycznego, choćby tylko na plakacie. „Przedstawienie” było proste. Siedziałem na scenie rozebrany do połowy, ludzie podchodzili do mnie, a naganiacz głośno opowiadał, jakim to nieszczęsnym stworzeniem jestem. Dostawałem za to parę groszy. Dyrektor powiedział mi raz, że jestem najlepszym dziwolągiem w jego trupie, i muszę przyznać, choć to w sumie smutne, że byłem z tego dumny. Kiedy jest się wyrzutkiem, nawet kamień rzucony w twoją stronę cieszy.

Pewnej zimy przybyłem na to wybrzeże. Do Rubylandu. Zaczynali nowe przedstawienie zatytułowane „Najdziwaczniejsi obywatele”. Podobał mi się pomysł występowania w jednym miejscu, nie musiałem się już tłuc wozami po wybojach.

Tak więc Rubyland stał się moim domem. Miałem pokój nad sklepem z kiełbaskami. Wieczorami grałem w karty z kolegami z pracy i innymi pracownikami lunaparku, czasem również z twoim

ojcem. Wczesnym rankiem, ubrany w długą koszulę i z głową owiniętą ręcznikiem, mogłem spacerować po plaży, nie strasząc ludzi. Może to nie brzmi zbyt imponująco, ale dla mnie była to wolność, jakiej rzadko przedtem doświadczałem.

Urwał. Spojrzał na Eddiego.

– Rozumiesz teraz, dlaczego tu jesteśmy? To nie jest twoje niebo, tylko moje.

Spójrzmy na tę samą historię z dwóch różnych punktów widzenia.

Jest koniec lat dwudziestych, lipcowy niedzielny deszczowy poranek. Eddie i jego koledzy grają w baseball piłką, którą Eddie dostał w zeszłym roku na urodziny. W pewnym momencie piłka przelatuje wysoko nad głową Eddiego i wypada na ulicę. Ubrany w brązowe spodnie i wełnianą czapkę Eddie rusza za nią, żeby ją złapać, i wbiega na jezdnię przed forda model „A”. Samochód hamuje gwałtownie, skręca i mija go o włos. Eddie drży, dyszy ciężko, łapie piłkę i pędzi z powrotem do kolegów. Gra szybko się kończy i dzieci biegną do pasażu rozrywki pograć na Łapach Szczęścia, gdzie przypominającym szpony urządzeniem podnosi się małe zabawki.

A teraz popatrzmy na tę historię z innego punktu widzenia. Pewien mężczyzna jedzie fordem model „A”, pożyczonym na godzinę od przyjaciela, żeby poćwiczyć prowadzenie samochodu. Po porannym deszczu nawierzchnia jest mokra. Nagle na ulicę wypada piłka baseballowa, a za nią wybiega dziecko. Kierowca wciska hamulec i szarpie kierownicą. Samochód wpada w poślizg, rozlega się pisk opon.

Mężczyzna odzyskuje panowanie nad kierownicą i model „A” jedzie dalej. Dziecka już nie widać we wstecznym lusterku, ale ciało

mężczyzny wciąż jest napięte. Głowa myśli tylko o tym, jak niewiele brakowało do tragedii.

Przyływ adrenaliny powoduje gwałtowne bicie serca. Mężczyzna czuje się oszołomiony, głowa opada mu na piersi. Samochód o mało co nie zderza się z innym autem. Drugi kierowca trąbi, mężczyzna znowu skręca, manewrując gwałtownie kierownicą i wciskając hamulec. Wpada w poślizg, który znosi go w małą uliczkę. Samochód toczy się chwilę bezwładnie, po czym wpada na tył zaparkowanej ciężarówki. Rozlega się niezbyt głośny trzask tłuczonego szkła. Reflektory są rozbite. Siła bezwładu rzuca mężczyznę na kierownicę. Z czoła leci mu krew. Wychodzi z forda, ogląda uszkodzenia, a potem osuwa się na mokry chodnik. Bole go ramiona. Boli go klatka piersiowa. Jest niedzielny poranek. Uliczka jest pusta. Mężczyzna leży na ziemi obok samochodu, nikt go nie widzi. Krew przestaje dopływać do serca. Mija godzina. Znajduje go policjant. Lekarz podczas oględzin stwierdza śmierć. Przyczyną zgonu jest atak serca. Krewni nieznani.

Spójrzmy na tę samą historię z dwóch różnych punktów widzenia. Ten sam dzień, ten sam moment, ale dla jednego kończy się szczęśliwie, w pasażu rozrywki, gdzie chłopczyk w brązowych spodenkach wrzuca kolejne monety do Łap Szczęścia, a dla innego kończy się źle, w kostnicy, gdzie jeden pracownik woła drugiego i pokazuje mu przedziwną, niebieską skórę nowego przybysza.

– Rozumiesz? – szepnął Niebieski Człowiek, opowiedziawszy historię ze swego punktu widzenia. – Chłopczyku?

Eddiego przeszedł dreszcz.

– O nie – wyszeptał.

Dziś są Eddiego urodziny

Ma osiem lat. Siedzi na brzegu krzaciastej kanapy, ręce gniewnie złożył na piersi. Matka klęczy u jego stóp i sznuruje mu buty. Ojciec wiąże krawat przed lustrem.

– Nie chcę iść – mówi Eddie.

– Wiem – odpowiada matka, nie patrząc na niego – ale musimy. Czasami trzeba robić rzeczy, których się nie chce.

– Ale to moje urodziny.

Eddie patrzy z żalem na dziecinnie komplety do składania, stos metalowych prętów i trzy małe gumowe koła. Właśnie składał ciągnik. Nieźle mu szło. Miał nadzieję, że pokaże go kolegom, którzy przyjdą na urodziny. A tu muszą iść gdzieś i w dodatku ładnie się ubrać. To niesprawiedliwe – myśli.

Jego brat Joe, już ubrany w wełniane spodnie i muszkę, wchodzi do pokoju z rękawicą baseballową na lewej ręce. Uderza nią mocno. Robi miny do Eddiego.

– Masz moje stare buty – mówi Joe. – A ja mam nowe.

Eddie krzywi się. Nienawidzi nosić starych rzeczy Joego.

– Przestań się wiercić – upomina go matka.

– One cisną – jęczy Eddie.

– Dostyc tego! – huczy basem ojciec. Łypie groźnie na syna. Eddie milknie.

Na cmentarzu Eddie z trudem rozpoznaje ludzi z wesołego miasteczka. Mężczyźni, którzy zwykle noszą złote brokaty i czerwone turbany, teraz są w czarnych garniturach, tak jak ojciec. Kobiety

sprawiają wrażenie, jakby wszystkie ubrały się tak samo; twarze kilku z nich osłaniają woalki.

Eddie patrzy, jak jeden z mężczyzn wrzuca ziemię do dołu, a potem mówi coś o prochu. Eddie trzyma matkę za rękę i mruży oczy od słońca. Wie, że powinien być smutny, ale w myślach zaczyna liczyć i ma nadzieję, że kiedy dojdzie do tysiąca, będzie z powrotem miał swoje urodziny.

Pierwsza lekcja

– Proszę pana... – zaklinał się Eddie. – Nie wiedziałem. Proszę mi wierzyć... Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem.

Niebieski Człowiek skinał głową.

– Nie mogłeś wiedzieć. Byłeś za mały.

Eddie cofnął się o krok. Przygarbił się nieco, jakby szykował się do walki.

– I teraz muszę zapłacić?

– Zapłacić?

– Za mój grzech. To dlatego tu jestem, tak? Chodzi o sprawiedliwość?

Niebieski Człowiek uśmiechnął się.

– Nie, Edwardzie. Jesteś tutaj po to, żebym cię nauczył jednej rzeczy. Każdy, kogo tu spotkasz, czegoś cię nauczy.

Eddie patrzył z niedowierzaniem. Nadal trzymał pięści zaciśnięte.

– Czego? – spytał.

– Tego, że nie ma przypadków przypadkowych. Że wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni. Że różne rzeczy w życiu dzieją się nie bez powodu... nawet te niedobre.

Eddie pokręcił głową.

– Nie było żadnego powodu. Rzuciliśmy piłkę. Tylko i wyłącznie moja głupota była powodem tego, że wybiegłem tak znieczeka.

Czemu musiał pan umrzeć z powodu mojej głupoty? To niesprawiedliwe.

Niebieski Człowiek wyciągnął rękę.

– Życiem i śmiercią nie rządzi sprawiedliwość – stwierdził. – Gdyby tak się działo, dobrzy ludzie nie umieraliby młodo.

Pstryknął palcami i nagle znaleźli się na cmentarzu za grupką żałobników. Stojący przy grobie ksiądz czytał fragment z Biblii. Eddie nie widział twarzy, jedynie tył kapeluszy, sukienek i płaszczy

– To mój pogrzeb – wyjaśnił Niebieski Człowiek. – Spójrz tylko na nich. Niektórzy nawet nie znali mnie dobrze, a jednak przyszli. Dlaczego? Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałeś? Dlaczego ludzie gromadzą się, kiedy ktoś umrze? Dlaczego uważają, że tak właśnie powinni? Ponieważ duch ludzki w głębi serca wie, że wszystkie życia splecione są ze sobą. Śmierć, zabierając kogoś, jednocześnie oszczędza kogoś innego, i w tej niewielkiej przestrzeni między byciem zabranym a byciem oszczędzonym życia się wymieniają. Mówisz, że powinienesz być umrzeć zamiast mnie. Za mojego ziemskiego życia również zdarzało się, że inni umierali zamiast mnie. Co dzień się tak dzieje. Kiedy uderza piorun w miejsce, gdzie przed chwilą stałeś, kiedy rozbija się samolot, którym miałeś lecieć. Kiedy twój kolega zapada na poważną chorobę, a ty nie. Nam się wydaje, że to dzieło przypadku. Tymczasem w tym wszystkim zachowana jest równowaga. Ktoś się starzeje, ktoś inny rośnie. Narodziny i śmierć stanowią części jednej całości. To dlatego ciągnie nas do małych dzieci... – Tu odwrócił się w stronę żałobników. – ...I do pogrzebów.

Eddie popatrzył raz jeszcze w stronę grupki stojącej wokół grobu. Ciekawe – pomyślał – czy on też miał pogrzeb. Ciekawe, czy ktoś przyszedł. Spojrzał na księdza czytającego Biblię i na żałobników stojących ze spuszczoneymi głowami. Dzień, w którym zmarł Niebieski Człowiek, wiele lat temu, Eddie też tam był; mały

chłopiec kręcący się niecierpliwie w czasie ceremonii, niemający najmniejszego pojęcia o roli, jaką w tym wszystkim odegrał.

– Nadal nie rozumiem – szepnął Eddie. – Co dobrego było w twojej śmierci?

– Ty żyłeś – odparł Niebieski Człowiek.

– Ale my się prawie wcale nie znaliśmy. Równie dobrze mogłem być kimś zupełnie obcym.

Niebieski Człowiek położył mu ręce na ramionach. Eddiego przeszył ciepły prąd.

– Obcy – powiedział Niebieski Człowiek – są rodzina, którą dopiero masz poznać.

Po tych słowach Niebieski Człowiek przyciągnął Eddiego do siebie. W jednej chwili Eddie poczuł, jak wszystko, czego w życiu doznał Niebieski Człowiek, spłynęło w niego i wypełniło jego ciało: samotność, wstydlivość, nerwowość, atak serca. To wszystko wsunęło się w Eddiego jak szuflada, którą zamknęto.

– Odchodzę – szepnął mu Niebieski Człowiek do ucha. – Ten stopień nieba już jest poza mną. Ale ty masz się jeszcze spotkać z innymi.

– Zaczekaj – poprosił Eddie, przytrzymując go z całej siły. – Powiedz mi jeszcze jedną jedyną rzecz. Mała dziewczynka w wesołym miasteczku... Czy ją uratowałem?

Niebieski Człowiek nie odpowiedział. Eddiego opadły ramiona.

– W takim razie moja śmierć poszła na marne, podobnie jak życie.

– Niczyje życie nie idzie na marne – orzekł Niebieski Człowiek. – Na marne idzie jedynie ten czas, kiedy myślimy, że jesteśmy sami.

Cofnął się w stronę cmentarza i uśmiechnął się, a wtedy jego skóra przybrała najpiękniejszy odcień karmelu – stała się gładka i bez skazy. Była to, jak pomyślał Eddie, najbardziej idealna skóra, jaką widział w życiu.

– Zaczekaj! – krzyknął Eddie, ale został porwany w powietrze, uniesiony daleko od cmentarza nad wielki szary ocean. W dole zobaczył dachy starego Rubylandu, wieże i iglice, i flagi łopoczące na wietrze.

Potem wszystko znikło.

Szczątki kolejki, która spadła z Wieży, otaczał milczący tłum. Kobiety przyciskały dłonie do gardła. Matki odciągały dzieci. Kilku tęgich mężczyzn w koszulkach bez rękawów podeszło bliżej, jakby w poczuciu, że powinni coś zrobić, ale kiedy się już znaleźli na miejscu, stanęli bez ruchu i też tylko patrzyli nieruchomym wzrokiem. Słońce paliło niemilosiernie, wyostrzając cienie, ludzie osłaniali sobie oczy, co wyglądało, jakby salutowali.

Jakie to straszne! – rozlegały się szept. Przez tłum przedarł się Dominguez w przepoconej koszuli mechanika. Miał poczerwieniałą twarz. Zobaczył krwawą jatkę.

– Ooo nie, ooo nie! – jęknął.

Niebawem nadeszli ochroniarze. Kazali się ludziom odsunąć. I sami też bezradnie zastygli w nieruchomych pozach, z rękami wspartymi na biodrach. Odwracając wzrok w inną stronę, czekali na karetkę. Wyglądało to tak, jakby wszystkich – pracowników ochrony, matki, ojców, dzieci z wielkimi kubkami wody sodowej – groza tak poraziła, że nie byli w stanie ani patrzeć, ani odejść. Śmierć podeszła zbyt blisko. Mieli ją u stóp. A z głośników miasteczka cały czas płynęła wesoła muzyczka.

Jakie to straszne! Zawyły syreny. Zjawili się mężczyźni w mundurach. Dokoła miejsca wypadku rozciągnięto żółtą taśmę. W ciągu godziny wszystkie atrakcje Rubylandu zostały zamknięte do odwołania, a w kioskach w pasażu rozrywki spuszczone metalowe kraty. Po całej plaży rozeszła się wieść o strasznym wydarzeniu i do zachodu słońca wesołe miasteczko całkiem opustoszało.

Dziś są Eddiego urodziny

W swoim pokoju nawet przez zamknięte drzwi Eddie czuje zapach befsztyków, które matka piecze na grillu z zieloną papryką i słodką czerwoną cebulą, mocny zapach przemieszany z wonią drewna, który tak bardzo lubi.

– Eddd-die! – woła matka z kuchni. – Gdzie jesteś? Wszyscy już są!

Eddie leniwie odkłada komiks, który właśnie przeglądał, i schodzi z łóżka. Kończy dziś siedemnaście lat, jest już za stary na takie rzeczy, ale nadal lubi rysunkowe historie – o niezwykłych bohaterach, takich jak Fantom, walczących ze złymi ludźmi i ratujących świat. Swój zbiór komiksów oddał młodszym kuzynom z Rumunii, którzy przyjechali do Ameryki kilka miesięcy wcześniej. Rodzina Eddiego spotkała ich w porcie i zamieszkali w pokoju, który Eddie dzielił ze swoim bratem Joem. Kuzyni nie znają angielskiego, ale lubią komiksy. I dzięki temu Eddie ma je nadal pod ręką.

– Jest nasz jubilat – rozczuła się matka, kiedy Eddie z ociąganiem wchodzi do pokoju. Ma na sobie białą koszulę z kołnierzykiem z guzikami na końcach i niebieski krawat, który wpija mu się w muskularną szyję. Od strony zebranych gości: rodziny, przyjaciół, pracowników nabrzeża, dobiega go szmer powitań, a szklanki z piwem unoszą się w górę. Ojciec, spowity chmurką dymu z cygara, siedzi w kącie i gra w karty.

– Hej, mamó, wiesz co?! – wydziera się Joe. – Eddie poznał wczoraj dziewczynę.

– Ooo? Naprawdę?

Eddie czuje, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach.

– Tak. I powiedział, że się z nią ożeni.

– Zamknij dziób – warczy Eddie.

Joe nie przejmuje się tym.

– Przyszedł do pokoju i z ciełym spojrzeniem powiedział: Joe, nigdy nie zgadniesz poznałem dziewczynę i ożenię się z nią!

Eddie aż kipi ze złości.

– Powiedziałem, żebyś się zamknął.

– Jak ona ma na imię, Eddie? – pyta ktoś.

– Czy chodzi do kościoła?

Eddie podchodzi do brata i wymierzają mu cios w ramię.

– Auuu!

– Eddie!

– Powiedziałem, żebyś się zamknął.

Joe wykrzykuje:

– I tańczył z nią w...

Łup.

– Auuu!

– Zamknij się!

– Eddie, przestań!

Kuzyni z Rumunii rozumieją, co to walka, i przyglądają się uważnie szcepionym ze sobą i młójącym ramionami braciom, którzy w zapale bojowym aż przesuwają na bok kanapę. Wreszcie ojciec odkłada cygaro i krzyczy:

– Przestańcie, albo obu wam dołożę!

Bracia rozdzielają się, dysząc i łypiąc na siebie złowrogo. Starsi wiekiem krewni uśmiechają się porozztmiewawczo. Jedna z ciotek szepcze:

– Ta dziewczyna naprawdę musiała mu wpaść w oko.

Później, kiedy zjedzono już urodzinowe steki i świece zostały zdmuchnięte, a większość gości poszła do domu, matka włącza radio. Podają wiadomości o wojnie w Europie i ojciec mówi coś o drewnie i drucie miedzianym, że mogą być kłopoty z otrzymaniem urzędzeń miasteczka w dobrym stanie technicznym.

– Okropne – wzdyga się matka. – Nie jest to miła wiadomość, zwłaszcza w urodziny.

Odwraca się i zaczyna kręcić gałką, aż wreszcie z radia płyną dźwięki muzyki. Orkiestra gra swinga, matka uśmiecha się i nuci do wtóru. Podchodzi do Eddiego, który siedzi na krześle i zjada ostatnie okruchy tortu. Zdejmuje fartuch, składa go na krześle i chwytą syna za ręce.

– Pokaż mi, jak tańczyłeś ze swoją nową znajomą – mówi.

– Ooo, mamó.

– No chodź

Wstaje, jakby prowadzono go na ścieżce. Brat uśmiecha się głupkowato. A jego matka, o pięknej, okrągłej twarzy, nuci i kołysze się w rytm melodii, aż wreszcie Eddie dopasowuje do niej krok.

– „Daaa daaa diii – śpiewa do wtóru – kiedy jesteś ze mną... da da... gwiazdy i księżyc... da da... w letnią noc...”

Wirują po saloniku, aż wreszcie Eddie rozchmurza się i parska śmiechem. Jest już wyższy od matki o dobre sześć cali, a jednak ona z łatwością obraca nim w tańcu.

– A więc – szepcze – podoba ci się ta dziewczyna?

Eddie gubi krok.

– To dobrze – stwierdza matka. – Cieszę się.

Wirując, docierają do stołu, matka łapie Joego za ramię i zmusza do wstania.

– Teraz wy tańczcie – zapowiada.

– Z nim?

– Mamo!

A. Je ona upiera się, a oni ulegają i wkrótce, śmiejąc się, niezgrabnie biorą się za ręce i ruszają w tany, przesadnie wyginając się i kołysząc. Okrążają stół ku uciechu matki, w takt muzyki dobiegającej z radia. Kuzyni z Rumunii klaszczą w dłonie, podczas gdy ostatnie wonie grilowanych steków roseptywają się w atmosferze urodzinowej zabawy.

Druga osoba, która Eddie spotkał w niebie

Eddie poczuł, że stopami dotyka ziemi. Niebo znów zmieniło barwę, tym razem z kobaltowoniebieskiej na grafitową, a dookoła leżały powalone drzewa i sterczały poczerńiałe rumowiska. Pomacał ramiona, barki, uda i łydki. Czuł się silniejszy niż przedtem, ale kiedy próbował dotknąć stóp, nie udało mu się to. Cała poprzednia zwinność zniknęła. Nie miał już w sobie dziecięcej sprężystości. Wszystkie mięśnie napięte były jak struny w fortepianie.

Rozejrzał się po terenie pozbawionym jakichkolwiek śladów życia. Na pobliskim wzgórzu leżał rozbity wóz i białe zwierzęce kości. Eddie poczuł gorący podmuch na twarzy. Niebo eksplodowało płomienistą żółcią.

I znowu Eddie puścił się biegiem.

Biegł teraz inaczej, ciężkimi, starannie odmierzonymi krokami żołnierza. Usłyszał grzmot – lub coś podobnego do grzmotu, eksplozję czy wybuch bomby – i odruchowo przypadł do ziemi, płasko na brzuch, i czołgał się, podciągając się na rękach. Niebo otworzyło się i lunął deszcz, rześista bura ulewa. Ze spuszczoną nisko głową Eddie pełził w błocie, co chwila wypluwając brudną wodę gromadzącą się w ustach. Wreszcie poczuł, że otarł się głową o coś twardego. Podniósł wzrok i zobaczył wbity w ziemię karabin, a na nim zatknięty hełm i żołnierską tabliczkę identyfikacyjną zawieszoną na kolbie. Wyciągnął rękę i mrugając w ulewnym deszczu, przesunął palcami po tabliczce, po czym zaraz popęzł z powrotem, prosto w ażurową ścianę grubych pnączy zwisających z potężnego drzewa figowego. Przedarł się w ich mrok. Podciągnął kolana. Starął

się odzyskać oddech. Strach odnalazł go nawet w niebie. Na tabliczce było jego nazwisko.

Młodzi mężczyźni idą na wojnę. Czasem dlatego, że muszą, czasem dlatego, że chcą. Zawsze w duchu czują, że powinni. Bierze się to z zasłyszanych smutnych historii o życiu, w których od wieków odwaga mylnie utożsamiana jest z sięganiem po broń, a tchórzostwo z porzucaniem jej.

Pewnego deszczowego ranka, kiedy kraj już przystąpił do wojny, Eddie obudził się wcześniej, ogolił się, zaczesał włosy do tyłu i zaciągnął się do wojska. Inni walczyli. No to on też będzie walczył.

Matka nie chciała, żeby jechał na wojnę. Ojciec, kiedy go o tym poinformowano, zapalił papierosa i wydmuchnął wolno dym.

– Kiedy? – To było wszystko, o co zapytał.

Ponieważ Eddie nigdy nie strzelał z prawdziwego karabinu, zaczął teraz ćwiczyć na strzelnicy w Rubylandzie. Płaciło się pięć centów, maszyna zaczynała mruczeć, naciskało się spust i strzelało metalowymi kulkami w obrazki dzikich zwierząt: lwa, słonia lub żyrafy. Eddie chodził tam co wieczór po pracy, która w tym czasie polegała na obsłudze hamulca Pociągu Liliputów. W Rubylandzie pojawiło się kilka nowych, mniejszych atrakcji – jako że kolejki górskie po Wielkim Kryzysie były za drogie. Pociąg Liliputów był dokładnie taki, jak to sugerowała nazwa: wagoniki sięgały do wysokości uda dorosłego człowieka.

Przed zaciągnięciem się do wojska Eddie pracował, żeby odłożyć pieniądze na dalsze studia na politechnice. To był jego cel – chciał budować i konstruować maszyny, mimo że jego brat Joe ciągle powtarzał: „Daj spokój, Eddie, nie jesteś aż taki zdolny”.

Kiedy zaczęła się wojna, ruch w wesołym miasteczku znacznie zmalał. Większość klienteli Eddiego stanowiły teraz samotne kobiety

z dziećmi, których ojcowie poszli walczyć. Czasami dzieci prosiły Eddiego, żeby wziął je na barana, a kiedy ulegał ich prośbom, widział smutne uśmiechy na twarzach matek: rozumiał, że dzieci zostały posadzone fachowo, ale nie na tych ramionach.

Wkrótce Eddie doszedł do wniosku, że czas skończyć ze smarowaniem torów i obsługiwaniem dźwigni hamulców i przyłączyć się do innych mężczyzn walczących gdzieś daleko. Wojna była niczym zew męskości. Może też ktoś za nim zatęskni.

Jednej z ostatnich nocy na strzelnicy, pochylony nad małym karabinkiem, strzelał w głębokim skupieniu. *Paf! Paf!* Próbował wyobrazić sobie strzelanie do wrogów. *Paf!* Czy będą wydawać jakiś odgłos, kiedy ich trafi – *paf!* – czy po prostu padną na ziemię, jak słonie i żyrafy?

Paf! Paf!

– Uczysz się zabijać, chłopaku?

Za Eddiem stał Mickey Shea. Jego włosy koloru waniliowych lodów były mokre od potu, a twarz czerwona od tego, co właśnie wypił. Eddie wzruszył ramionami i wrócił do strzelania. *Paf!* Następne trafienie. *Paf!* Następne.

– Hmm – chrząknął Mickey.

Eddie wolałby, żeby Mickey poszedł sobie i pozwolił mu spokojnie poćwiczyć strzelanie do celu. Cały czas za plecami czuł obecność starego pijaka. Słyszał jego ciężki oddech i świst powietrza przy każdym wdechu i wydechu, zupełnie jakby ktoś pompował oponę w rowerze.

Nie przerywał strzelania. Nagle poczuł bolesny ucisk na ramieniu.

– Posłuchaj, chłopaku. – Głos Mickeya przeszedł w niski warkot. – Wojna to nie zabawa. Jak jest rozkaz strzelać, to strzelasz, słyszysz? Żadnych wyrzutów. Żadnego wahania. Strzelasz i strzelasz

i nie myślisz, do kogo strzelasz, kogo zabijasz ani dlaczego to robisz, słyszysz? Chcesz tylko wrócić do domu, więc strzelasz i nie myślisz.

Ścisnął jeszcze mocniej ramię Eddiego.

– Bo myślenie zabija.

Eddie odwrócił się i spojrzał na Mickeya. Ten wymierzył mu mocny policzek, a Eddie odruchowo zamachnął się, żeby oddać. Ale Mickey beknął i zatoczył się w tył. Potem spojrzał na Eddiego tak, jakby się miał zamiar zaraz rozplakać. Mechaniczny karabin przestał brzęczeć. Piątek Eddiego skończył się.

Młodzi mężczyźni idą na wojnę, czasami dlatego, że muszą, czasami dlatego, że chcą. Kilka dni później Eddie spakował swój worek i opuścił wesołe miasteczko.

Deszcz przestał padać. Eddie, schowany pod drzewem figowym, westchnął głęboko i ciężko. Rozsunął namoknięte pnącza i zobaczył, że karabin z hełmem nadal tkwi w ziemi. Powiał zimny wiatr. Eddie dobrze pamiętał, po co żołnierze to robili: oznaczali w ten sposób groby poległych.

Podpełził kawałek na kolanach. W dali, poniżej niewielkiej grani, widniały ruiny wsi, zbombardowanej i spalonej, tworzące jedno wielkie gruzowisko. Przez chwilę Eddie wpatrywał się z lekko otwartymi ustami, wyteżając coraz bardziej wzrok. Nagle zeszywniał, jak człowiek, który właśnie otrzymał niedobłą wiadomość. Znał to miejsce. Nawiedzało go w snach.

– Ospa – odezwał się jakiś głos.

Eddie odwrócił się.

– Ospa. Tyfus. Tężec. Żółta febra.

Głos dochodził z góry, gdzieś spomiędzy gałęzi.

– No i nie przekonałem się w końcu, co to ta żółta febra – zaśmiał się głos. – Psiakrew. Nigdy nie spotkałem nikogo chorego na to.

Głos cedził wyrazy z południowym akcentem, był donośny, lekko ochrypły, jak u kogoś, kto przez wiele godzin krzyczał.

– Zaszczepili mnie przeciwko wszystkim chorobom, a i tak zginąłem zdrów jak rydz.

Drzewo zatrzęsło się. U stóp Eddiego upadł jakiś mały owoc.

– No co, lubisz jabłka? – spytał głos.

Eddie wstał i odchrząknął.

– Wyjdź! – powiedział.

– Wejdź! – odparł głos.

I Eddie znalazł się na drzewie wysokim jak biurowiec, tuż pod wierzchołkiem. Siedział okrakiem na wielkim konarze, a ziemia w dole wydawała się bardzo odległa. Przez mniejsze gałęzki i grube figowe liście dostrzegł ciemną sylwetkę mężczyzny w wojskowym mundurze, który plecami opierał się o pień. Twarz miał wysmarowaną czarną mazią. Oczy lśniły mu czerwono jak małe żaróweczki.

Eddie z trudem przełknął ślinę.

– Kapitanie? – wyszeptał. – To pan?

Razem służyli w wojsku. Kapitan był dowódcą Eddiego. Walczyli na Filipinach, rozstali się na Filipinach i Eddie już go więcej nie widział. Słyszał, że zginął w walce.

Wtem pojawiła się chmura dymu papierosowego.

– Wyjaśniono ci zasady, żołnierzu?

Eddie spojrział w dół. Do ziemi było bardzo daleko, jednak czuł dziwną pewność, że nie spadnie.

- Jestem martwy – odrzekł.
- Dobrze to ująłeś.
- I pan jest martwy.
- Też dobrze powiedziane.
- I jest pan... moją drugą osobą?

Kapitan podniósł papierosa. Uśmiechnął się, jakby mówił: *Uwierzysz że tu się pali? Potem zaciągnął się głęboko i wydmuchnął małą białą chmurkę.*

- Głowę dam, że się mnie nie spodziewałeś, co?

W czasie wojny Eddie nauczył się wielu rzeczy. Nauczył się jeździć na wierzchu czołgu. Nauczył się golić w zimnej wodzie zaczerpniętej hełmem. Nauczył się tak strzelać z dziury wygrzebanej w ziemi, żeby nie trafić w drzewo i nie dostać rykoszetem.

Nauczył się palić. Nauczył się maszerować. Nauczył się przechodzić mostem linowym, niosąc pełny rynsztunek: pelerynę, radio, karabin, maskę gazową, trójnog pod karabin maszynowy, plecak i kilka pasów z nabojami na ramieniu. Nauczył się pić najbrzydliwszą kawę na świecie.

Nauczył się kilku słów w kilku obcych językach. Nauczył się pluć na odległość. Nauczył się nerwowej radości żołnierza, który przeżył pierwszą bitwę, kiedy to ludzie poklepują się wzajemnie i uśmiechają, jakby było już po wszystkim i można było iść do domu, i nauczył się, co to głęboka depresja po drugiej bitwie, kiedy żołnierz uświadamia sobie, że walka nie kończy się na jednej bitwie i że potem jest ich o wiele, wiele więcej.

Nauczył się gwizdać przez zęby. Nauczył się spać na kamienistej ziemi. Nauczył się, że świerzby to takie małe robaczki, które wgryzają się w skórę, zwłaszcza jeśli nosi się to samo brudne ubranie od tygodnia. Nauczył się, że kości ludzkie, kiedy przebijają skórę, są naprawdę białe.

Nauczył się modlić szybko. Nauczył się, w której kieszeni trzymać listy do rodziny i do Marguerite, na wypadek gdyby koledzy znaleźli go zabitego. Nauczył się, że czasem siedzi się obok kumpla w ziemiance, gada szeptem o tym, jaki to człowiek jest głodny, a w następnej sekundzie rozlega się śśśśwwwisst, po czym kumpel zwala się ciężko i jego głód przestaje być aktualny.

Nauczył się, że jeden rok przechodzi w dwa lata, a dwa przechodzą w trzy, i że nawet silni, muskularni mężczyźni wymiotują, na własne buty, kiedy samolot transportowy ma ich rzucić, i że nawet oficerowie mówią przez sen w noc przed bitwą.

Nauczył się, jak się bierze jeńców, ale nigdy nie uczono go, jak się zostaje jeńcem. No i pewnej nocy na filipińskiej wyspie jego oddział dostał się w ciężki ogień i wszyscy rozproszyli się w poszukiwaniu schronienia, a niebo zapłonęło od rakiet. Eddie usłyszał wtedy, że jeden z kumpli, leżący na dnie okopu, łka jak dziecko, więc wrzasnął na niego: „Zamknij się, słyszysz?!” I wtedy zdał sobie sprawę, że tamten płacze, bo nad nim stoi żołnierz wroga z wycelowanym karabinem. Eddie poczuł coś zimnego na ramieniu i okazało się, że za nim stoi drugi.

Kapitan zgasił papierosa. Był starszy niż koledzy z oddziału Eddiego. Zawodowy wojskowy, chodzący rozkołysanym krokiem, miał wydatny podbródek, nadający mu podobieństwo do znanego aktora filmowego. Żołnierze na ogół dość go lubili, mimo że łatwo wybuchał gniewem i miał zwyczaj krzyczeć, przysunawszy się tuż do czyjejś twarzy, tak że widać było z bliska jego zęby pożółkłe od nikotyny. Jednak Kapitan obiecał, że cokolwiek się stanie, „nie

zostawi nikogo na pastwę losu”, i podwładni czerpali z tego pociechę.

– Kapitanie... – zaczął znowu Eddie, wciąż poruszony tym wszystkim.

– Zgadza się.

– Sir.

– Nie ma potrzeby. Ale dziękuję.

– To już... Wygląda pan...

– Jak wtedy, kiedy ostatni raz mnie widziałeś?

Uśmiechnął się i splunął nad gałęzią. Dostrzegł wyraz zdziwienia malujący się na twarzy Eddiego.

– Masz rację. Tu nie ma powodu, żeby płuć. I nie chorujesz. Twój oddech jest zawsze taki sam. I żarcie nie z tej ziemi.

Żarcie? Eddie nic z tego nie rozumiał.

– Kapitanie, chwileczkę. To musi być nieporozumienie. Nadal nie wiem, dlaczego tu jestem. Widzi pan, moje życie było kompletnie bez wartości. Pracowałem jako mechanik. Lata całe mieszkałem w tym samym miejscu. Naprawiałem karuzele, diabelskie młyny, kolejki górskie, głupie rakiety kosmiczne. Żaden powód do chwały. To nie życie, to wegetacja. Chcę jedynie powiedzieć, że...

Eddie przełknął ślinę.

– Co ja tu właściwie robię?

Kapitan spojrzał na niego czerwonymi, świecącymi oczami, a Eddie oparł się pokusie zadania pytania, jakie nie dawało mu spokoju od spotkania z Niebieskim Człowiekiem. Czy Kapitana też zabił?

– Wiesz, tak się zastanawiałem... – powiedział Kapitan, pocierając brodę. – Ludzie z naszej jednostki... czy miałeś z nimi

jakiś kontakt? Willingham? Morton? Smitty? Czy potem spotkałeś się z którymś z nich?

Eddie pamiętał dobrze te nazwiska. Prawda wyglądała tak, że nie mieli ze sobą kontaktu. Wojna wiązała ludzi jak magnes, ale jak magnes mogła ich też odpychać. Rzeczy, które widzieli, pewne rzeczy, które robili. Czasami chciało się o nich zapomnieć.

– Mówiąc szczerze, sir, jakoś nasze drogi się rozeszły. – Wzruszył ramionami. – Przykro mi.

Kapitan skinął głową, jakby się tego właśnie spodziewał.

– A ty? Wróciłeś do wesołego miasteczka, gdzie wszyscy obiecali sobie spotkać się pewnego dnia, jeśli wyjdą cało? Darmowe przejażdżki dla weteranów wojskowych? Dwie dziewczyny na jednego faceta w Tunelu Miłości? Czy to nie twoje własne słowa?

Eddie uśmiechnął się nieznacznie. Właśnie tak mówił. Wszyscy tak mówili. Ale wojna się skończyła i nikt nie przyjechał.

– Tak, wróciłem – odrzekł.

– I co?

– I... W końcu nie udało się odejść stamtąd. Próbowałem. Snułem plany... Przez tę przekłętą nogę... Sam nie wiem. Nie wyszło.

Wzruszył ramionami. Kapitan uważnie przyglądał się jego twarzy. Jego oczy zwięzły się. Zniżył głos.

– Nadal żonglujesz? – zapytał.

– Iść!... iść!... Ty iść! – Wrogowie krzyczeli i szturchali ich bagnetami. Eddie, Smitty, Morton, Rabozzo i Kapitan zostali spędzeni ze stromego wzgórza z rękami na głowach. Dokoła wybuchały pociski moździerzy. Eddie zobaczył postać biegnącą wśród drzew, a potem, jak pada przy świeście kul.

Podczas marszu w ciemnościach próbował zapamiętać teren – chaty, drogi, wszystko, co dało się zidentyfikować – wiedząc, że te informacje mogą okazać się bezcenne w razie ucieczki. Gdzieś daleko zahuczał samolot, napełniając go nagłą, przyprawiającą o mdłości falą rozpaczy. To wewnętrzna tortura każdego wziętego do niewoli żołnierza, ta niewielka odległość między wolnością a niewolą. Gdyby tylko Eddie mógł podskoczyć i złapać się skrzydła samolotu, odleciałby daleko od tego wielkiego nieporozumienia.

Tymczasem jemu i innym skrępowano ręce i nogi. Zostali wrzuceni do bambusowego baraku. Barak stał na palach na błotnistym gruncie, a oni tkwili tam dni, tygodnie, miesiące, zmuszeni do spania na workach z surowego płótna, wypełnionych słomą. Gliniane naczynie służyło za ubikację. W nocy strażnicy zakradali się pod chatę i podśluchiwali rozmowy. Im więcej upływało czasu, tym mniej rozmawiali.

Schudli i osłabli. Żebra mieli na wierzchu – nawet Rabozzo, który był całkiem przy kości, kiedy wstępował do wojska. Jedzenie składało się z kulek ryżowych z solą i, raz dziennie, jakiejś brązowej zupy z pływającą w środku trawą. Pewnego wieczoru Eddie wyłowił z miski martwego szerszenia. Nie miał skrzydeł. Pozostali przestali jeść.

Wrogowie najwyraźniej nie byli do końca pewni, co mają z nimi zrobić. Wiezorami przychodzili do chaty i wymachiwali bagnetami pod nosem Amerykanów, krzycząc coś w swoim języku, czekając na odpowiedź. Zawsze bezskutecznie.

Było ich tylko czterech, jak stwierdził Eddie, a Kapitan domyślał się, że oni też odłączyli się od większego oddziału i, jak to często bywa podczas prawdziwej wojny, żyli teraz z dnia na dzień. Twarze mieli wychudłe i kościste, z ciemnymi kępkami włosów. Jeden z nich wyglądał zbyt młodo jak na żołnierza. Inny miał

najbardziej krzywe zęby, jakie zdarzyło się Eddiemu widzieć. Kapitan nazwał ich Świr Pierwszy, Świr Drugi, Świr Trzeci i Świr Czwarty.

– Po co nam ich nazwiska – stwierdził. – I lepiej, żeby oni nie znali naszych.

Ludzie przywykają do niewoli, jedni znoszą ją lepiej, inni gorzej. Morton, chudy, gadatliwy chłopak z Chicago, zachowywał się jak niespokojne, nadpobudliwe dziecko, kiedy tylko usłyszał jakiś hałas dobiegający z zewnątrz. Pocierał wtedy nerwowo brodę i mruczał: „Do licha, do licha, do licha...”, dopóki nie kazali mu się zamknąć. Smitty, syn strażaka z Brooklynu, siedział cicho przez większość czasu, ale często sprawiał wrażenie, jakby coś połykał, gdyż jego jabłko Adama poruszało się nerwowo w górę i w dół. Rabozzo, młody rudowłosy chłopak z Portland w Oregonie, zachowywał pokerową twarz w dzień, ale w nocy, a nawet podczas drzemki, często budził się, krzycząc: „Nie ja! Nie ja!”

Eddie głównie się wściekał. Zaciskał pięść i jak niecierpliwy baseballowy gracz, którym był w młodości, godzinami bez końca uderzał nią w dłoń, wbijając mocno kostki w skórę. W nocy śniło mu się, że jest znów w wesołym miasteczku, na karuzeli zwanej Derbami, gdzie pięciu jeźdźców ścigało się na koniach, dopóki nie zabrzmiał gong. On ścigał się ze swoimi kolegami z pracy albo ze starszym bratem lub z Marguerite. A potem sen się zmieniał i to czterech Świrów galopowało na pozostałych koniach, poszturchując go i drwiąc z niego.

Lata wyczekiwania w wesołym miasteczku – na koniec jazdy, na odpływ, na to, że ojciec odezwie się do niego – nauczyły Eddiego sztuki cierpliwości. Ale chciał się wydostać i pragnął zemsty. Zaciskał zęby, walił pięścią w dłoń i wspominał w myślach walki, jakie stoczył w swojej dzielnicy, i jak kiedyś posłał dwóch chłopaków do szpitala, poturbowawszy ich pokrywą od pojemnika na śmieci. Wyobrażał sobie, co by zrobił strażnikom, gdyby nie mieli broni.

Pewnego ranka więźniów obudził krzyk i błysk bagnetów – czterech Świrów zmusiło ich do wstania. Związano ich i zaprowadzono do szybu. Nie było tam światła. Od ziemi wiało chłodem. Czekwały już na nich oskardy, łopaty i metalowe wiadra.

– O cholera, kopalnia węgla – powiedział Morton.

Począwszy od tego dnia, Eddie i reszta zmuszani byli do wydobywania węgla w ramach wspomaganie przemysłu wojennego wroga. Pracowali ciężko łopatami, odłupywali bryły węgla, wynosili kawały łupku, zbijali szalunki podtrzymujące sklepienie. Byli też z nimi inni więźniowie, cudzoziemcy, którzy nie znali angielskiego i którzy patrzyli na Eddiego zapadłymi oczami. Rozmowy były zabronione. Raz na parę godzin dostawali kubek wody. Pod koniec dnia twarze więźniów były beznadziejnie czarne, szyje i ramiona bolały niemiłosiernie od ciągłego schylania.

Przez pierwszych kilka miesięcy niewoli Eddie zasypiał, mając ustawione przed sobą w hełmie zdjęcie Marguerite. Nie modlił się wiele, ale jednak się modlił, składając słowa tak, by jednocześnie liczyć upływające dni. „Panie, ofiaruję Ci te sześć dni, jeśli dasz mi sześć dni z nią... Ofiaruję Ci te dziewięć dni, jeśli dasz mi dziewięć dni z nią... Ofiaruję Ci te szesnaście dni, jeśli dasz mi szesnaście dni z nią...”

Potem, w czwartym miesiącu, coś zaszło. Rabozzo dostał brzydkiej wysypki i biegunki. Nic nie mógł jeść. W nocy przepocił do cna brudną odzież, tak że można ją było wyźymać. Zrobił pod siebie. Nie mieli w co go przebrać, więc spał nago na worku, a Kapitan przykrył go swoim workiem jak kocem.

Następnego dnia w kopalni Rabozzo ledwo trzymał się na nogach. Strażnicy nie mieli dla niego litości. Kiedy zwalniał tempo, dźgali go kijami, żeby szybciej łupał węgiel.

– Zostawcie go! – ryknął Eddie.

Świr Drugi, najbardziej brutalny ze wszystkich, uderzył Eddiego tępym końcem bagnetu. Eddie upadł, a między łopatkami poczuł potworny ból. Rabozzo wyrwał ze ściany jeszcze kilka kawałków węgla i przewrócił się na ziemię. Świr Drugi ryknął na niego, żeby się podniósł.

– On jest chory! – wrzasnął Eddie, z trudem dźwigając się z ziemi.

Świr Drugi rąbnął go ponownie, tak że Eddie znowu upadł.

– Zamknij się, Eddie! – szepnął Morton. – Dla własnego dobra.

Świr Drugi pochylił się nad Rabozzem. Odchylił mu powieki. Rabozzo jęknął. Świr Drugi uśmiechnął się fałszywie i zagruchał, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem. Powiedział: „Aaaa” i zaśmiał się. Po chwili znów się zaśmiał. Śmiał się, patrząc na nich, spoglądając każdemu po kolei w oczy, upewniając się, czy wszyscy dobrze go widzą. Potem wyciągnął pistolet, przyłożył Rabozzowi do ucha i strzelił.

Eddie miał wrażenie, że ciało rozrywa mu się na pół. Wzrok zaszedł mu mgłą, w głowie czuł pustkę i odrętwienie. Echo wystrzału unosiło się jeszcze w kopalni, kiedy twarz Rabozza zanurzyła się w rozlewającej się coraz szerzej kałuży krwi. Morton ukrył twarz w dłoniach. Kapitan spuścił wzrok. Nikt się nie poruszył.

Świr Drugi nagarnął nogą trochę czarnego pyłu na ciało, potem łypnął groźnie na Eddiego i splunął mu pod nogi. Ryknął coś do Świra Trzeciego i Świra Czwartego, którzy stali równie skamieniali jak więźniowie. Przez chwilę Świr Trzeci potrząsał głową i mamrotał coś, jakby odmawiał modlitwę. Powieki miał spuszczone, a jego usta poruszały się gwałtownie. Ale Świr Drugi machnął bronią, wrzasnął coś znowu i Świr Trzeci ze Świrem Czwartym wywlekli ciało Rabozza za nogi, znacząc na ziemi mokry ślad krwi, która w ciemnościach wyglądała jak rozlany olej. Zaciągnęli je pod ścianę i rzucili koło oskarda.

Od tego dnia Eddie przestał się modlić. Przestał liczyć dni. Obaj z Kapitanem stale rozmawiali o tym, że trzeba uciec, zanim spotka ich ten sam los. Kapitan uważał, że sytuacja wroga jest dramatyczna i dlatego potrzebują każdego nawet na wpół martwego jeńca, żeby wydobywać więcej węgla. Co dzień w kopalni było coraz mniej więźniów. Nocą Eddie słyszał bombardowanie; zdawało się przybliżać. Gdyby sytuacja miała się pogorszyć, to, zdaniem Kapitana, wróg będzie uciekać, ale przedtem wszystko zniszczy. Widział rowy wykopane za barakami, w których trzymano jeńców, i wielkie beczki z ropą przygotowane na wzgórzach.

– Ropa, żeby spalić dowody – szepnął Kapitan. – Już kopią nam groby.

Trzy tygodnie później, gdy na niebie świecił zamglony księżyc, przy baraku trzymał straż Świr Trzeci. Z nudów próbował żonglować dwoma dużymi kamieniami wielkości cegły. Ciągłe mu upadały, a on podnosił je, podrzucał wysoko i znowu podnosił. Umorusany czarnym pyłem Eddie uniósł głowę, rozdrażniony hałasem, jaki robiły kamienie, upadając na ziemię. Najpierw mimo wszystko usiłował zasnąć, potem jednak wstał. Spojrzał bystro. Nerwy obudziły się do życia.

– Kapitanie... – szepnął. – Jest pan gotów?

Kapitan podniósł głowę.

– Co masz na myśli?

– A te tam kamienie. – Eddie pokazał głową strażnika.

– Po co ci one? – spytał Kapitan.

– Umiem żonglować – szepnął Eddie.

Kapitan zmrużył oczy.

– Co?

A Eddie już wołał do strażnika:

– Hej! Ty! Źle to robisz!

Wykonał rękami kilka kolistych ruchów.

– Tak trzeba! W ten sposób! Pokaż!

Wyciągnął ręce.

– Umiem żonglować. No pokaż.

Świr Trzeci spojrział na niego uważnie. Eddie czuł przez skórę, że właśnie z tym jednym strażnikiem może się to udać. Od czasu do czasu Świr Trzeci ukradkiem przynosił więźniom trochę chleba i wrzucał go przez niewielką dziurę, która pełniła rolę okna. Eddie znowu zatoczył rękami koło i uśmiechnął się. Świr Trzeci podszedł, przystanął, wrócił po bagnet, a potem znów podszedł i podał kamienie Eddiemu.

– O tak – powiedział Eddie i zacząć zręcznie żonglować. Nauczył się tej sztuki w wieku siedmiu lat od kuglarza Włocha, który żonglował sześcioma talerzami naraz. Wiele godzin spędził na molo, ćwicząc z kamykami, gumowymi piłeczkami i czym się tylko dało. To nie była jakaś wielka sztuka. Większość dzieci z wesołego miasteczka to potrafiła.

Teraz z pasją żonglował dwoma kamieniami, podrzucając je w górę coraz szybciej i wprawiając strażnika w podziw. Wreszcie przestał, wyciągnął kamienie w jego stronę i powiedział:

– Daj jeszcze jeden.

Świr Trzeci chrząknął.

– Trzy kamienie, rozumiesz? – Eddie pokazał trzy palce. – Trzy.

Morton i Smitty też się podnieśli i usiedli. Kapitan przysunął się bliżej.

– O co chodzi? – zamruczał Smitty.

– Gdybym dostał jeszcze jeden kamień... – szepnął Eddie.

Świr Trzeci otworzył bambusowe drzwi i zrobił to, na co Eddie liczył. Zawołał pozostałych. Po chwili pojawił się Świr Pierwszy z kamieniem, a za nim przyszedł Świr Drugi. Świr Trzeci rzucił kamień Eddiemu i wrzasnął coś po swojemu. Cofnął się, wyszczerzył zęby do tamtych i wskazał gestem, żeby usiedli, jakby mówił: „Tylko popatrzcie”.

Eddie zaczął rytmicznie podrzucać kamienie. Były wielkie jak jego dłonie. Zaśpiewał przy tym piosenkę z wesołego miasteczka. *Da, da-da-da daaaa...* Strażnicy się śmiali. Eddie też się śmiał. Kapitan się śmiał. Wymuszając śmiech, Eddie kupował sobie czas.

– *Blżej* – zaśpiewał Eddie, udając, że to słowa piosenki. Morton i Smitty przysunęli się nieco, udając zainteresowanie.

Strażnicy byli zachwyceni rozrywką. Rozluźnili się. Eddie starał się panować nad oddechem. Jeszcze trochę. Podrzucał jeden kamień wysoko w górę, żonglował dwoma pozostałymi, łapał trzeci i zaczynał od początku.

– Ach! – westchnął mimowolnie Świr Trzeci.

– *Podoba ci się?* – spytał Eddie. Żonglował teraz szybciej. Rzucał kamień w górę i patrzył, jak strażnicy śledzą wzrokiem jego lot. Zaśpiewał: *Da, da-da-da daaa...*, potem: *Kiedy policzę do trzech*, potem: *Da da-da-da daaa...*, potem: *Kapitan tego z leeweeej...*

Świr Drugi spojrzał podejrzliwie, a Eddie uśmiechnął się do niego, tak jak uśmiechali się żonglerzy w wesołym miasteczku, kiedy słabła uwaga widzów.

– *Patrzcie tylko, patrzcie tylko, patrzcie tylko!* – zawodził Eddie słodko. – *Największy żongler świata!*

Przyśpieszył tempo i zaczął liczyć.

– *Jeden... dwa...* – Podrzucił kamień o wiele wyżej niż poprzednio. Strażnicy śledzili wzrokiem jego lot.

– Teraz! – ryknął Eddie, łapiąc gwałtownie kamień, i ze zrećznością dobrego gracza baseballowego, jakim zawsze był, cisnął nim w twarz Świra Drugiego, łamiąc mu przy tym nos. Złapał drugi kamień i rzucił go lewą ręką prosto w brodę Świra Pierwszego, który upadł na plecy, a Kapitan skoczył na niego i odebrał mu bagnet. Świr Trzeci na ułamek sekundy zastygł w bezruchu, po czym sięgnął po broń i zaczął strzelać na oślep, podczas gdy Morton i Smitty chwytały go za nogi. Drzwi otworzyły się i wpadł Świr Czwarty. Eddie rzucił w niego ostatnim kamieniem, ale chybił, a kiedy strażnik odchylił głowę, Kapitan, który czekał pod ścianą, pchnął go bagnetem w żebra tak silnie, że obaj wytoczyli się przez drzwi. Eddie, któremu podwyższony poziom adrenaliny dodawał sił, skoczył na Świra Drugiego i uderzył go w twarz mocniej, niż kiedykolwiek przyłożył komukolwiek na Pitkin Avenue. Chwyciwszy leżący na ziemi kamień, walił nim w czaszkę strażnika raz po raz, aż wreszcie spojrzał na swoje ręce i zobaczył obrzydliwą fioletową maź, uświadamiając sobie, że to krew, skóra i pył węglowy zmieszane razem. Wtedy usłyszał wystrzał i złapał się za głowę, rozsmarowując sobie maź na skroniach. Podniósł wzrok i ujrzał Smitty'ego stojącego nad nim, trzymającego pistolet wroga i spoglądającego szyderczo. Ciało Świra Drugiego zwiotczało, górna warga opadła mu. Krwawił z klatki piersiowej.

– Za Rabozza – wycedził Smitty.

W ciągu paru minut wszyscy czterej strażnicy byli martwi.

Wychudli, boski i zakrwawieni więźniowie pobiegli w stronę wzgórze. Eddie spodziewał się strzałów i następnych strażników, ale nikt się nie zjawił. Chaty sprawiały wrażenie pustych. Okazało się, że cały obóz opustoszał. Ciekawe – pomyślał Eddie – od jak dawna byli tu tylko oni i czterech Świrów.

– Prawdopodobnie wszyscy czmychnęli, kiedy usłyszeli bombardowanie – szepnął Kapitan. – Jesteśmy ostatnią grupą, jaka tu została.

Beczki z ropą stały w miejscu, gdzie zaczynał się grzbiet wzgórza. Niecałe sto jardów dalej było wejście do kopalni węgla. W pobliżu znajdowała się pusta chata. Morton sprawdził, czy rzeczywiście jest pusta, i wszedł do środka; wyłonił się po chwili z naręczem granatów, karabinów i dwoma prymitywnymi miotaczami ognia. – Trzeba to spalić – oznajmił.

Dziś są Eddiego urodziny

Napis na torcie głosi: „Powodzenia! Do boju!”, a na boku, wzdłuż pokrytej cukrem waniliowym krawędzi, ktoś dodał słowa: „I wracaj szybko”, napisane niebieskimi, koślawymi literami, przy czym „szybko” było tak niewyraźne, że wyglądało raczej na „synku”.

Matka oczyściła i odprasowała ubranie, które Eddie miał na zajutrz włożyć. Wieszak z ubraniami powiesiła w jego pokoju na klamce szafy. Na podłodze obok postawiła jego jedyną parę butów.

Eddie jest w kuchni i dokazuje z kuzynami z Rumunii. Trzyma ręce założone do tyłu, a oni próbują wymierzać mu kuksańce w brzuch. Jeden z chłopców pokazuje widoczną przez kuchenne okno Paryską Karuzelę, która jest jasno oświetlona dla wieczornych klientów.

– Konie! – wykrzykuje dziecko.

Drzwi wejściowe otwierają się i Eddie słyszy głos, który sprawia, że jego serce zaczyna bić mocniej, nawet teraz. Myśli, że to jest słabość, której nie powinien zabierać ze sobą na wojnę.

– Cześć, Eddie – mówi Marguerite.

Stoi w drzwiach kuchni i wygląda tak cudownie, że Eddie czuje znajome łaskotanie w piersi. Dziewczyna strzepuje krople deszczu z włosów i uśmiecha się. W ręku trzyma małe pudełko.

– Przyniosłam ci coś. Na urodziny i... na twój wyjazd.

Znowu się uśmiecha. Eddie tak strasznie chce ją przytulić, że aż zdaje mu się, iż zaraz eksploduje. Nie obchodzi go, co jest w pudełku. Chce jedynie zapamiętać obraz Marguerite wręczającej mu prezent,

jak zawsze, gdy jest blisko niej, pragnie przede wszystkim zatrzymać czas.

– Bardzo elegancki – mówi.

Marguerite śmieje się.

– Nawet nie otworzyłeś!

– Wiesz... – Podchodzi bliżej. – Czy...

– Eddie! – woła ktoś z sąsiedniego pokoju. – Chodź zdmuchnij świeczki.

– Tak! Jesteśmy głodni!

– Och, Sal, daj spokój.

– No przecież jesteśmy głodni.

Jest tort, piwo, mleko i cygara, i toast za szczęśliwy powrót Eddiego, i jest też moment, kiedy matka zaczyna płakać i przytula drugiego syna, Joego, który zostaje w kraju ze względu na płaskostopie.

Później tego wieczoru Eddie odprowadza Marguerite promenadą. Zna po imieniu niemal wszystkich bileterów i sprzedawców na straganach, a oni życzą mu powodzenia. Starszym kobietom wilgotnieją oczy, kiedy machają mu na pożegnanie, i Eddiemu przychodzi na myśl, że ich synowie pewnie już wyruszyli.

Razem z Marguerite kupują sobie toffi o smaku karmelowym, jagodowym i korzennym. Wyciągają cukierki z małej białej torebki, przy czym ich dłonie żartobliwie walczą ze sobą. Eddie ciągnie gipsową rączkę maszyny zwanej Próba Miłości, strzałka mija napisy: „szczenięca” i „niegroźna” i „letnia” i „zmysłowa”, i dochodzi do „gorąca”.

– Ty naprawdę jesteś silny – mówi Marguerite.

– I gorący – odpowiada Eddie, preżąc mięśnie.

Pod koniec wieczoru stoją na molo oparci o barierkę, trzymając się za ręce, zupełnie jak aktorzy na oglądanych w kinie filmach. Na plaży, przy niewielkim ognisku z patyków i podartych ręczników, kuli się stary szmaciarz, szykując się do snu.

– Nie musisz mnie prosić, żebym na ciebie czekała – mówi nagle Marguerite.

Eddie przetyka ślinę.

– Nie muszę?

Marguerite kręci głową. Eddie uśmiecha się. Uwolniony od pytania, które uwięzło mu w gardle i siedziało tam przez cały wieczór, czuje, jakby mu z serca wystrzeliła nić i oplotła jej ramiona, przyciągając ją bliżej i sprawiając, że odtąd Marguerite należy do niego. Kocha ją w tej chwili bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczał, że będzie w stanie kogoś kochać.

Kropła deszczu spada mu na czoło. Potem następna. Eddie spogląda w górę na zbierające się chmury.

– Hej, panie gorący? – odbywa się Marguerite. Uśmiecha się, ale po chwili poważnieje i zaczyna mrugać powiekami, a Eddie nie potrafi powiedzieć, czy deszcz to sprawił, czy łzy.

– Nie daj się zabić, proszę cię... – szepcze Marguerite.

Uwolniony żołnierz często wpada w furję. Stracone bezpowrotnie dni i noce, wycierpiane tortury i upokorzenia – to wszystko domaga się bezwzględnej zemsty wyrównującej rachunki.

Tak więc kiedy Morton, stojąc z naręczem zdobyczej broni, powiedział im: „Trzeba to spalić”, wszyscy, choć nie miało to nic wspólnego z logiką, zgodzili się z nim. Nabuzowani po odzyskaniu poczucia panowania nad sytuacją, mężczyźni rozbiegli się, uzbrojeni w broń zabraną wrogowi. Smitty pobiegł do kopalni, Morton i Eddie w stronę beczek z ropą. Kapitan udał się na poszukiwanie jakiegoś auta.

– Za pięć minut spotykamy się tutaj – zakomenderował. – Zaraz zacznie się nalot i do tego czasu musimy stąd zniknąć. Zrozumiano? Pięć minut!

Tyle właśnie zajęło im zniszczenie tego, co było ich domem przez blisko pół roku. Smitty wrzucił granaty do szybu kopalni i uciekł. Eddie i Morton przytoczyli dwie beczki do chat, otworzyli je, podpalili ogniem z miotacza i patrzyli, jak chaty ogarnia płomień.

– Spalić! – krzyczał Morton.

– Spalić! – krzyczał Eddie.

W kopalni nastąpił wybuch. Z wejścia dobył się czarny dym. Smitty, wykonawszy swoją robotę, pobiegł na miejsce zbiórki. Morton kopnął kolejną beczkę ropy w stronę chaty i uwolnił nowy strumień ognia.

Eddie patrzył, uśmiechając się szyderczo, a potem pobiegł ścieżką do ostatniej chaty. Była większa i przypominała raczej stodołę. Podniósł broń do strzału. *Już po wszystkim* – powiedział do siebie. *Po wszystkim*. Długie tygodnie i miesiące w rękach tych drani, tych nieludzi z popsutymi zębami i kościstymi twarzami, i

martwymi szerszeniami w zupie. Nie wiedział, co dalej będzie, ale nie mogło ich czekać nic gorszego niż to, przez co już przeszli.

Nacisnął spust. Szszszsz. Ogień rozprzestrzenił się szybko. Bambus był wysuszony i w ciągu minuty ściany stodoły zaczęły lizać pomarańczowoczerwone płomienie. Z daleka dobiegał warkot silnika – to Kapitan, na co zresztą liczyli, znalazł pojazd, którym można będzie uciec – i wtedy nagle z nieba rozległ się znajomy ryk bombardowania, odgłos, którego przedtem słuchali co noc. Teraz był znacznie bliżej i Eddie zdał sobie sprawę, że ktokolwiek to jest, zobaczy płomienie. Może zaraz zostaną ocaleni. Może wróci do domu! Odwrócił się w stronę płonącej stodoły i...

Co to takiego?

Zamrugął.

Co to takiego?

Coś przemknęło na tle otwartych drzwi. Eddie nateżył wzrok. Było coraz goręcej, więc osłonił oczy wolną ręką. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że dojrzał niewielką postać biegnącą wśród płomieni.

– Hej! – krzyknął Eddie i ruszył naprzód, opuszczając broń.- HEJ!

Lewa ściana stodoły zaczęła się walić, strzelając iskrami i płomieniem. Eddie odskoczył w tył. Oczy zaszyły mu łzami. Może to tylko gra cieni.

– EDDIE! CHODŹ!

Na ścieżce stał Morton i machał doń gorączkowo. Eddie poczuł pieczenie w oczach. Oddychał ciężko. Wskazał na stodołę i krzyknął:

– Tam chyba ktoś jest!

Morton przyłożył dłoń do ucha.

– Co?

– Ktoś... tam... jest!

Morton potrząsnął głową. Nic nie słyszał. Eddie był niemal pewien, że zobaczył to coś znowu: we wnętrzu płonącej stodoły pełzła na czworakach postać drobna jak dziecko. Przeszło rok minął, odkąd Eddie widział ludzi innych niż dorośli mężczyźni, i ten niewyraźny cień przywiódł mu na myśl małych kuzynów z Rumunii i Pociąg Liliputów, który obsługiwał, i kolejki górskie, i dzieci na plaży, i Marguerite i jej zdjęcie, i wszystko, od czego psychicznie odgrodził się w ciągu tych strasznych miesięcy.

– HEJ, WYCHODŹ! – krzyknął, opuszczając miotacz i podchodząc jeszcze bliżej. – NIE BĘDĘ STRZE...

Czyjaś ręka złapała go za ramię i szarpnęła w tył. Eddie odwrócił się z zaciśniętymi pięściami. Wśród szalejących płomieni Morton krzyczał:

– EDDIE! Musimy iść! CHODŹ!

Eddie potrząsnął głową.

– Nie, nie, czekaj, czekaj, czekaj. Zdaje mi się, że ktoś jest w...

– Nikogo tam nie ma. CHODŹ!

Eddie zachowywał się jak desperat. Rzucił się w stronę stodoły. Morton znowu złapał go za ramię. Tym razem Eddie, odwracając się, zamachnął się mocno i rąbnął go w pierś. Morton upadł na kolana. Serce Eddiego waliło jak młotem. Twarz miał wykrzywioną z gniewu. Odwrócił się w stronę szalejącego ognia, oczy miał półprzymknięte. *Tam. Co to? Tam przy ścianie? Tam?*

Zrobił krok do przodu, przekonany, że coś całkiem niewinnego płonie żywcem na jego oczach. Wykrzyknął niezrozumiałe słowo, kiedy z głośnym trzaskiem zawaliła się druga ściana, rozrzucając iskry jak elektryczny pył, który opadł na jego głowę.

W tej sekundzie cała wojna w sensie dosłownym wylała się z niego jak żółć. Mdlilo go od niewoli i od morderstw, mdlilo go od

krwi i od mazi wysychającej na skroniach, mdliło go od bombardowania i od pożarów, i od bezsensu tego wszystkiego. Nagle zapragnął uratować coś, cząstkę Rabozza, cząstkę samego siebie. Cokolwiek. Chwiejnie ruszył w stronę płomieni w szaleńczym przekonaniu, że w każdym czarnym cieniu kryje się dusza. W górze ryczały samoloty, a strzały karabinów maszynowych przypominały walenie w bęben.

Poruszał się jak w transie. Wszedł w kałużę płonącej ropy i natychmiast jego ubranie zajęło się od ognia. Żółty płomień podpełzł po łydce aż do uda. Eddie podniósł ramiona i wykrzyknął:

– POMOŻĘ CI! WYJDŹ! NIE BĘDĘ STRZE...

Nogę przeszył mu ostry ból. Wyrzucił z siebie siarczyste przekleństwo i zwałił się na ziemię. Spod kolana popłynęła krew. Silniki samolotów ryczały. Niebo rozjaśniały niebieskawe błyski.

Leżał na ziemi, krwawiąc i płonąc, powieki miał zaciśnięte z powodu piekącego gorąca i wtedy poczuł, że ktoś ciągnie go w tył, potem obraca jego ciałem w pyle, gasząc płomienie, ale był zbyt przerażony i słaby, żeby się opierać, dawał się ciągnąć jak worek kartofli. Niebawem znalazł się w samochodzie terenowym wśród kolegów powtarzających ciągle, żeby zaczekał, zaczekał, zaczekał. Plecy paliły go, kolana nie czuł wcale, w głowie szumiało mu coraz bardziej i był zmęczony, tak bardzo zmęczony.

Kapitan wolno skinął głową, jakby przypominał sobie te ostatnie momenty.

– Czy pamiętasz, jak się stamtąd wydostałeś? – spytał.

– Nie bardzo – przyznał Eddie.

– Trwało to dwa dni. Traciłeś i odzyskiwałeś przytomność. Straciłeś mnóstwo krwi.

– Ale się nam jednak udało – powiedział Eddie.

– Taaak. – Kapitan przeciągnął to słowo i zaakcentował je westchnieniem. – Ta kulka nieźle cię trafiła.

Ostatecznie kula nie została usunięta. Przebiła kilka nerwów i ścięgien i roztrzaskała się na kości, rozszczepiając ją pionowo. Eddie przeszedł dwie operacje. Żadna z nich nie rozwiązała problemu. Lekarze powiedzieli, że będzie kulał, i to z wiekiem coraz bardziej, a zniekształcone kości będą ulegać stopniowemu zwyrodnieniu. „To wszystko, co możemy zrobić” – powiedziano mu. Czy na pewno? Kto to mógł wiedzieć? Eddie wiedział jedynie, że obudził się na oddziale szpitalnym i że życie już nigdy nie było takie jak przedtem. Skończyło się bieganie. Skończyło się tańczenie. Gorzej, z jakiegoś powodu skończyło się także jego dotychczasowe podejście do wielu spraw. Zapadł się w siebie. Wszystko wydawało się głupie i bez sensu. Wojna wpełzła do wnętrza Eddiego, do jego nogi i do jego duszy. Wielu rzeczy nauczył się, będąc żołnierzem. Wrócił do domu jako zupełnie inny człowiek.

– Czy wiedziałeś – spytał Kapitan – że pochodzę z rodziny wojskowych od trzech pokoleń?

Eddie wzruszył ramionami.

– Otóż właśnie. Już w wieku sześciu lat wiedziałem, jak się strzela. Rano ojciec sprawdzał, jak posłałem łóżko, czy na prześcieradle nie ma najmniejszej fałdki. Przy stole było zawsze: „Tak, sir” i „Nie, sir”.

Nim wstąpiłem do służby, jedynie wykonywałem rozkazy. Potem nauczyłem się je wydawać. Czasy pokoju to coś całkiem innego niż wojna. Ćwiczyłem rekrutów, takich co to wszystkie rozumy pozjadali. Ale potem zaczęła się wojna i napłynęli nowi ludzie – młodzi mężczyźni, tacy jak ty. Salutowali mi i chcieli, żebym mówił, co mają robić. W ich oczach widziałem strach. Zachowywali się tak, jakbym był w posiadaniu jakiejś tajemnej wiedzy na temat

wojny. Myśleli, że mogą zachować ich przy życiu. Ty też tak myślałeś, prawda?

Eddie musiał przyznać, że tak.

Kapitan podniósł rękę i potarł kark.

– Oczywiście nie mogłem. Ja też miałem swoje rozkazy. Ale pomyślałem, że nawet jeśli nie będę w stanie was ocalić, przynajmniej mogę sprawić, że będziemy się trzymać razem. W piekle wielkiej wojny szuka się małych prawd, w które można wierzyć. Gdy się już taką prawdę znajdzie, człowiek ściska ją jak żołnierz krucyfiks, kiedy się modli w okopie. Dla mnie taką prawdą było to, co wam, chłopcy, powtarzałem codziennie. Nikogo nie zostawimy.

Eddie ponownie skinął potakująco.

– To wiele dla nas znaczyło. Kapitan spojrzał mu prosto w oczy.

– Mam nadzieję – rzekł.

Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął kolejnego papierosa i zapalił.

– Dlaczego pan mi to mówi? – spytał Eddie. Kapitan wydmuchnął dym i końcem papierosa wskazał nogę Eddiego.

– Ponieważ to ja do ciebie strzeliłem – powiedział.

Eddie spojrzał na swoją nogę zwisającą z gałęzi drzewa. Na skórze pojawiły się blizny pooperacyjne i wrócił ból. Czuł, jak wzbiera w nim coś, czego nie odczuwał od chwili śmierci, a tak naprawdę nie odczuwał od wielu, wielu lat: był to potężny przypływ gniewu i pragnienie, by dać mu upust. Zmrużył oczy i spojrzał ostro na Kapitana, który odpowiedział mu pustym spojrzeniem, jakby doskonale wiedział, co się zaraz stanie. Papieros wypadł mu spomiędzy palców.

– No dalej – szepnął.

Eddie krzyknął coś głośno i zamachnął się. Obaj mężczyźni spadli z gałęzi i szamocząc się wśród konarów i pnączy, polecili na ziemię.

– Dlaczego? Ty draniu! To naprawdę ty? DLACZEGO?!

Mocowali się teraz na błotnistej ziemi. Eddie siedział okrakiem na piersi kapitana, okładając mu twarz pięściami. Kapitan nie krwawił. Eddie chwycił go za kołnierz i wbił mu głowę w błoto. Kapitan nawet nie mrugnął. Przekręcał się tylko z boku na bok przy każdym ciosie, pozwalając Eddiemu wyładować złość. W końcu jedną ręką złapał Eddiego i przewrócił go na ziemię.

– Dlatego – powiedział spokojnie, przytrzymując ramieniem pierś Eddiego – że stracilibyśmy cię w tym ogniu. Zginałbyś. A to nie był twój czas.

Eddie dyszał ciężko.

– Mój... czas?

Kapitan ciągnął dalej:

– Za wszelką cenę usiłowałeś tam wejść. Niemal ogłuszyłeś Mortona, kiedy próbował cię zatrzymać. Mieliśmy dosłownie minutę, żeby zdążyć uciec, a ty, cholera, byłeś zbyt silny, żeby się z tobą szamotać.

Eddie, czując jeszcze resztki gniewu, złapał Kapitana za kołnierz. Przyciągnął go blisko do siebie. Zobaczył zęby pożółkłe od nikotyny.

– Moja... nogaaaa! – wysyczał. – Moje życie!

– Poświęciłem twoją nogę – rzekł cicho Kapitan – żeby ci dać życie.

Eddie puścił go i wyczerpany upadł na plecy. Bolały go ramiona. Kręciło mu się w głowie. Przez tyle lat prześladował go

właśnie ten moment, ten jeden błąd, który zaważył na całym jego życiu.

– Przecież w tej chacie nie było nikogo. O co mi chodziło? Przecież gdybym się tam nie pchał... – Jego głos zniżył się do szeptu.
– Dlaczego nie daliście mi zginąć?

– Nikogo nie zostawiamy, pamiętasz? – przypomniał Kapitan. – Widziałem już przedtem to, co się przydarzyło tobie. Żołnierz dochodzi do pewnego punktu i dalej już nie może. Czasami dzieje się tak w środku nocy. Człowiek wychodzi z namiotu i zaczyna iść na bosaka, na wpół nagi, jakby szedł do domu, jakby mieszkał zaraz za rogiem. Czasami dzieje się tak w środku bitwy. Mężczyzna rzuca broń, jego oczy są puste. Jest skończony. Nie może dalej walczyć. Zazwyczaj ginie od kuli.

Ty załamałeś się, stojąc przed ogniem, chwilę przedtem, nim zrobiliśmy porządek. Nie mogłem pozwolić, żebyś się spalił żywcem. Liczyłem na to, że rana w nodze się zaleczy. Wyciągnęliśmy cię stamtąd, a oni zawieźli cię do jednostki sanitarnej.

Serce Eddiego waliło w piersi jak młot. Głowę miał umazaną błotem, do którego poprzyklejały się liście. Chwilę trwało, zanim dotarło do niego znaczenie ostatnich słów Kapitana.

– Oni? – spytał. – Co pan ma na myśli, mówiąc „oni”? Dlaczego nie „my”?

Kapitan wstał. Stracił gałazkę z nogi.

– A widziałeś mnie później? – spytał.

Nie widział. Przetransportowano go samolotem do szpitala wojskowego, a potem z powodu kalectwa został zwolniony ze służby i przewieziony do Ameryki. Dopiero po paru miesiącach dowiedział się, że Kapitan nie przeżył, ale myślał, że zginął podczas późniejszych walk w innej jednostce. W końcu przyszedł list z medalem w środku, ale Eddie odłożył go, nie otwierając koperty. Miesiące

powojenne były smutne i ponure, a on zapomniał o wielu szczegółach i nie miał ochoty ich sobie przypominać. Po jakimś czasie zmienił adres.

– Jak już powiedziałem – odezwał się Kapitan. – Teżec? Żółta febra? Jedna wielka strata czasu.

Pokazał wzrokiem coś ponad ramieniem Eddiego i Eddie odwrócił się w tamtą stronę.

Zobaczył przed sobą już nie nagie wzgórza, ale noc ich ucieczki, zamglony księżyc na niebie, nadlatujące samoloty i płonące chaty. Kapitan prowadził samochód, w którym jechali Smitty, Morton i Eddie. Eddie leżał na tylnym siedzeniu, poparzony, ranny, na wpół przytomny, a Morton wiązał mu opaskę uciskową nad kolanem. Kanonada przybliżała się. Czarne niebo zapalało się co kilka sekund, jakby słońce to włączało się, to wyłączało. Dojechawszy na szczyt wzgórza, samochód skręcił i zatrzymał się. Stała tam brama, prowizorycznie sklecona z drewna i drutu, której nie mogli objechać, ponieważ teren opadał ostro po obu jej stronach. Kapitan wziął karabin i wyskoczył. Przestrzelił zamek i otworzył skrzydła bramy. Skinął na Mortona, żeby usiadł za kierownicą, a potem, wskazując na swoje oczy, dał znak, że sprawdzi drogę, która skręcała w gęstwinę drzew. Pobiegł, najszybciej jak mógł, będąc na bosaka, i zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt jardów za zakrętem.

Droga była wolna. Zasygnalizował to swoim ludziom. W górze przelatywał samolot, więc Kapitan podniósł głowę, żeby zobaczyć, swój czy wroga. I w tym momencie, kiedy wzrok miał skierowany ku niebu, pod jego prawą stopą rozległ się lekki trzask.

Mina lądowa eksplodowała w ułamku sekundy niczym ognista czkawka dobywająca się z trzewi ziemi. Wybuch wyrzucił Kapitana na dwadzieścia stóp w górę i rozerwał go na kawałki: jeden ognisty kłęb kości i chrząstek, i kilkaset strzępów zwęglonego ciała, których

część przeleciała nad błotnistą ziemią i wylądowała na drzewach figowych.

Druga lekcja

– O Jezu! – jęknął Eddie, zamykając oczy i odchylając głowę do tyłu. – O Boże! O Boże! Nie miałem pojęcia, sir. To straszne. To potworne.

Kapitan skinął potakująco i odwrócił wzrok. Wzgórza znowu były puste i nagie, pojawiły się z powrotem kości zwierzęce i rozbity wóz oraz tłące się ruiny wioski. Eddie uświadomił sobie, że właśnie tu Kapitan znalazł swój grób. Bez pogrzebu. Bez trumny. Tylko rozrzucone kości i błotnista ziemia.

– Pan tu czekał przez cały ten czas? – spytał szeptem Eddie.

– Czas – odparł Kapitan – nie jest tym, czym ci się wydaje. – Usiadł obok. – Śmierć? Wcale nie jest końcem wszystkiego. Myślimy, że tak jest. Tymczasem to, co dzieje się na ziemi, to dopiero początek.

Eddie sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się w tym wszystkim połapać.

– Moim zdaniem to trochę tak jak w Biblii, mam na myśli historię Adama i Ewy – ciągnął Kapitan. – Adam, pierwszy człowiek na ziemi, gdy zasypia, uważa, że to już koniec. On nie wie, co to sen. Zamyka oczy i wydaje mu się, że opuszcza ten świat, prawda? Oczywiście go nie opuszcza. Budzi się następnego ranka i ma wokół siebie nowy świat, w którym musi sobie radzić. I ma jeszcze coś. Ma wczoraj.

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

– Tak ja to widzę i właśnie to jest nam tutaj dane, żołnierzu. Na tym polega niebo. Masz zrozumieć swoje wczoraj.

Wyciągnął pudełko papierosów i popukał w nie palcem.

– Nadażasz za tym, co mówię? Nigdy nie byłem zbyt dobrym nauczycielem.

Eddie przyjrzał się Kapitanowi. Zawsze wydawało mu się, że dowódca jest znacznie starszy od niego. Ale teraz, kiedy pył węglowy został starty z jego twarzy, Eddie zauważył pojedyncze zaledwie zmarszczki i bujną, ciemną czuprynę. Kapitan musiał być tuż po trzydziestce.

– Jest pan tu, odkąd pan umarł – rzekł – a to dwa razy dłużej, niż pan żył.

Kapitan skinął głową.

– Czekałem na ciebie.

Eddie spuścił wzrok.

– To samo powiedział Niebieski Człowiek.

– No bo on też czekał. Był częścią twego życia, częścią tego, dlaczego żyłeś i jak żyłeś, częścią historii, którą powinienes znać. On już ci swoje powiedział i teraz jest daleko stąd, podobnie niebawem stanie się ze mną. A zatem posłuchaj tego, czego masz się nauczyć ode mnie.

Eddie poczuł, że jego plecy się wyprostowują.

– Ofiara – zaczął Kapitan. – Ty ją poniosłeś. Ja ją poniosłem. Wszyscy ponosimy ofiary. Ale ty byłeś bardzo zły z powodu swojej. Myślałeś tylko o tym, co straciłeś.

Nie zrozumiałeś, o co naprawdę chodzi. Ofiara jest częścią życia, czasem najlepszą. Tym właśnie powinna być. To nie jest coś, czego należy żałować. Wręcz przeciwnie, to coś, do czego należy dążyć. Małe ofiary. Wielkie ofiary. Matka pracuje, żeby syn mógł

chodzić do szkoły. Córka rezygnuje z pracy, aby zająć się chorym ojcem. Mężczyzna idzie na wojnę...

Urwał na chwilę i spojrzał w górę na szare, zachmurzone niebo.

– Wiesz, Rabozzo nie umarł na darmo. Złożył ofiarę dla swego kraju. Jego rodzina o tym wiedziała i jego młodszy braciszek został potem dobrym żołnierzem i wspaniałym człowiekiem, bo przykład brata go do tego pobudził. Ja też nie umarłem na darmo. Tamtej nocy wszyscy mogliśmy wjechać na minę. Wtedy wszyscy czterej byśmy zginęli.

Eddie pokręcił przecząco głową.

– Ale pan... – ściszył głos. – Pan przecież stracił życie.

Kapitan przesunął językiem po wargach.

– O to chodzi. Czasami, gdy składasz w ofierze coś naprawdę cennego, wcale tego nie tracisz. Ty tylko przekazujesz to komuś innemu.

Kapitan podszedł do hełmu, karabinu i tabliczek identyfikacyjnych, do tego symbolu grobu wciąż tkwiącego w ziemi. Wziął hełm i tabliczki pod pachę, a potem wyrwał karabin z błota i rzucił nim jak oszczepem. Karabin nie spadł z powrotem na ziemię. Poszybował w niebo i zniknął. Kapitan odwrócił się.

– Strzeliłem do ciebie, to prawda – rzekł. – A ty straciłeś coś, ale też coś zyskałeś. Tylko o tym jeszcze nie wiesz. I ja coś zyskałem.

– Co?

– Dotrzymałem obietnicy. Nie zostawiłem cię.

Wyciągnął dłoń.

– Wybaczysz mi tę nogę?

Eddie zastanawiał się chwilę. Pomyślał o goryczy, jaką czuł po odniesieniu rany, o własnym gniewie z powodu tego wszystkiego,

czego musiał się wyrzec. Potem pomyślał o tym, co utracił Kapitan, i zawstydział się. Wyciągnął dłoń. Kapitan uścisnął ją mocno.

– Na to właśnie czekałem.

Nagle z drzewa figowego opadły grube pnącza i z sykiem zniknęły w ziemi. Po chwili wyrosły nowe, zdrowe gałęzie, obficie obsypane gładkimi, skórzastymi liśćmi i przypominającymi woreczki figami. Kapitan rzucił na nie okiem, jakby tego właśnie oczekiwał. Dłonią starł resztę pyłu z twarzy.

– Kapitanie... – zaczął Eddie.

– Tak?

– Dlaczego właśnie tutaj? Przecież mógł pan wybrać dowolne miejsce. Tak powiedział Niebieski Człowiek. Więc dlaczego akurat to?

Kapitan uśmiechnął się.

– Ponieważ zginałem w bitwie. Zostałem zabity na tych wzgórzach. Opuściłem ten świat, nie znając prawie niczego oprócz wojny – rozmów o wojnie, planów wojennych... moją rodziną było wojsko.

Bardzo pragnąłem przekonać się, jak wyglądałby świat bez wojny. Gdybyśmy nie zaczęli zabijać się wzajemnie.

Eddie zmarszczył brwi.

– Ale przecież tu jest wojna.

– Dla ciebie tak. Ale mamy różne oczy – powiedział Kapitan. – Ty widzisz jedno, ja drugie.

Podniósł rękę i nagle dymiący pejzaż całkiem się odmienił. Gruzy zniknęły, dokoła wyrosły drzewa i wypuściły liście, zamiast błota wszędzie rozpościerała się soczysta, zielona trawa. Mroczne chmury rozsunęły się jak kurtyna, odsłaniając szafirowe niebo. Lekka, biała mgła spływała na wierzchołki drzew, a słońce koloru

dojrzałej brzoskwini wisiało świetliście nad horyzontem, odbijając się w migoczącym oceanie, który teraz otaczał wyspę. Było to czyste, nieskażone, niezmacone niczym piękno.

Eddie spojrzał na swego dawnego dowódcę, którego twarz była teraz czysta, a mundur odprasowany.

– To właśnie widzę – rzekł Kapitan, pokazując ręką.

Stał przez chwilę, sycąc się widokiem.

– A tak przy okazji, ja już nie palę. To wszystko było tylko w twoich oczach. – Zachichotał. – Po co miałbym palić w niebie?

Odwrócił się, jakby miał odejść.

– Niech pan zaczeka! – zawołał Eddie. – Muszę coś wiedzieć. O mojej śmierci. W wesołym miasteczku. Czy uratowałem dziewczynkę? Czulem jej ręce, ale nie pamiętam...

Kapitan zatrzymał się i Eddiemu słowa uwięzły w gardle, poczuł się zażenowany swoim pytaniem, przypomniawszy sobie, w jak straszny sposób zginął Kapitan.

– Chciałem tylko wiedzieć... – wymamrotał niewyraźnie.

Kapitan podrapał się za uchem. Spojrzał na Eddiego ze współczuciem.

– Nie umiem ci powiedzieć, żołnierzu.

Eddie spuścił głowę.

– Ale jest ktoś, kto może to zrobić.

Rzucił Eddiemu hełm i tabliczki.

– To twoje.

Eddie spojrzał. W hełmie tkwiła zgnieciona fotografia kobiety, na której widok poczuł znajomy ból w sercu. Kiedy podniósł wzrok, Kapitana już nie było.

PONIEDZIAŁEK, 7.30 RANO

Następnego ranka po wypadku Dominguez zjawił się w warsztacie wcześnie, rezygnując z prysznica i codziennego rytuału kupowania bajgla i soku na śniadanie. Wesole miasteczko było zamknięte, ale i tak przyszedł do pracy. Odkręcił kran nad zlewem i przesunął ręce pod strumieniem wody. Pomyślał przy tym, że może oczyści kilka części urządzeń. Potem zakręcił wodę, rezygnując z tego zamiaru. Miał wrażenie, że nagle zrobiło się o wiele ciszej, niż było jeszcze przed chwilą.

– Co jest?

W progu stał Willie. Miał na sobie zieloną bluzę mechanika i luźne dżinsy. W ręku trzymał gazetę. Nagłówek głosił: „Tragedia w lunaparku”.

– Nie mogłem spać – odparł Dominguez.

Willie westchnął. Usiadł ciężko na metalowym obrotowym stołku.

– Ja też. – Zrobił pół obrotu w jedną stronę, patrząc tępo na gazetę. – Jak myślisz, kiedy nas otworzą?

Dominguez wzruszył ramionami.

– Spytaj policji.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, od czasu do czasu zmieniając pozycję. Dominguez wzdychał. Willie sięgnął do kieszeni koszuli po gumę do żucia. Był poniedziałek. Rano. Czekali na to, żeby świat wrócił do normalności, żeby przyszedł stary człowiek i zarządził rozpoczęcie dnia pracy.

Trzecia osoba, która Eddie spotkał w niebie

Nagły powiew wiatru uniósł Eddiego i okręcił nim jak zegarkiem wiszącym na łańcuszku. Wybuch dymu ogarnął go zewsząd i wessał jego ciało w strumień kolorów. Wydawało mu się, że niebo zacieśnia się wokół niego, aż poczuł na skórze jego dotyk, kojarzący się z pofałdowanym kocem. Potem wystrzeliło i wybuchło kolorem jadeitu. Pojawiły się na nim gwiazdy, miliony gwiazd, jak sól rozsypana na zielonkawym firmamencie.

Eddie zamrugał oczami. Był teraz w górach, ale przedziwnych górach, których ciągnące się w nieskończoność pasmo miało pokryte śniegiem wierzchołki, chropowate skały i jaskrawo fioletowe zbocza. Na płaskim terenie między dwoma grzbietami rozpościerało się wielkie czarne jezioro. W jego wodzie odbijał się jasny księżyc.

U podnóża grzbietu Eddie zauważył migoczące kolorowe światło, które zmieniało się rytmicznie co kilka sekund. Ruszył w tym kierunku i uświadomił sobie, że stoi po kostki w śniegu. Uniósł stopę i mocno nią potrząsnął. Płatki, które opadły, lśniły złotym blaskiem. Dotknął ich, nie były ani zimne, ani wilgotne.

Gdzie ja teraz jestem? – pomyślał. Po raz kolejny zbadał swoje ciało, obmacując ramiona, klatkę piersiową, brzuch. Mięśnie ramion pozostały jędrne, ale na tułowiu skóra była już nieco zwiotczała i obwisła. Zawahał się, po czym nacisnął lewe kolano. Odpowiedziało pulsującym bólem, aż się skrzywił. Miał nadzieję, że po rozstaniu z Kapitanem ból zniknie. Tymczasem coraz bardziej przypominał siebie takiego, jakim był pod koniec ziemskiego życia: pojawiły się

blizny, ból, tłuszcz i cała reszta. Dlaczego niebo każe mu przeżywać własną nędzę?

Ruszył w dół w kierunku migoczącego światełka. Krajobraz, surowy i cichy, był przepiękny i bardziej odpowiadał jego dawnemu wyobrażeniu o niebie. Zastanawiał się przez moment, czy już przypadkiem nie zakończył swej drogi, może Kapitan mylił się, zapowiadając spotkanie z następnymi osobami. Brnąc w śniegu, zszedł skalną półką i dotarł do sporej doliny, z której dochodziło światło. Znowu zamrugał, tym razem z niedowierzaniem.

Na zaśnieżonym polu samotnie stał przypominający wagon budynek o wnętrzu urządzonym w lśniącej stali, nakryty czerwonym beczkowym dachem, a widoczny na nim neon mrugał słowem:

JADŁO.

Jadłodajnia.

Eddie spędził wiele godzin w tego rodzaju lokalach. Wszystkie one wyglądały tak samo – odgródzone wysokimi ściankami boksy, lśniące blaty, rząd okien z małymi szybkami od frontu, w których widziani z zewnątrz goście wyglądali jak pasażerowie w pociągu. Widział teraz wyraźnie ludzi w środku, rozmawiających ze sobą i gestykułujących. Wszedł po zaśnieżonych schodach i zbliżył się do drzwi z podwójną szybą. Zajrzał do środka. Po prawej stronie siedziała starsza para. Jedli placek i nie zwracali na Eddiego uwagi. Inni klienci siedzieli na obrotowych stołkach przy marmurowym barze lub w boksach, a ich palta wisiały na wieszaku. Wszystko wyglądało dość zwyczajnie, z wyjątkiem tego, że po bliższym przyjrzeniu się okazało się, że goście pochodzą z różnych okresów: Eddie zobaczył kobietę w sukience z lat trzydziestych i długowłosego młodzieńca z modną w latach sześćdziesiątych pacyfą, wytatuowaną na ramieniu. Wielu gości wyraźnie nosiło ślady obrażeń. Czarnoskóry mężczyzna w roboczej koszuli nie miał ręki. Młoda dziewczyna miała głębokie cięcie przez całą twarz. Nikt nie obejrzał się nawet, kiedy Eddie zabębnił palcami w szybę. Zobaczył kucharzy

w białych papierowych czapach i talerze z parującym jedzeniem, czekające na ladzie na podanie – jedzenie miało niezwykle soczyste kolory: sosy były intensywnie czerwone, kremy żółte. Jego wzrok padł nagle na ostatni boks w kącie z prawej strony. Zastygł w bezruchu.

Zobaczył coś zupełnie nieprawdopodobnego.

– Nie – usłyszał swój własny szept. Odwrócił się tyłem. Wziął kilka głębokich oddechów. Serce waliło mu mocno. Znów się odwrócił i spojrzał raz jeszcze, a potem zaczął rozpaczliwie walić w szybę.

– Nie! – krzyczał. – Nie! Nie! – Walił pięściami, aż zdawało się, że szyba zaraz trzaśnie. – Nie!

Cały czas wrzeszczał, aż wreszcie jego gardło wyartykułowało słowo, które tak pragnął mówić, ale którego nie wypowiedział od kilkudziesięciu lat. Wykrzyczał to słowo tak głośno, że aż poczuł w głowie bolesne dudnienie. Ale człowiek w boksie, zgarbiony, z jedną ręką opartą na stole, w drugiej trzymający cygaro, pozostawał tego nieświadomy i ani razu nie podniósł głowy, choć Eddie wył raz za razem:

– Tato! Tato! Tato!

Dziś są Eddiego urodziny

W mrocznym, sterylnym korytarzu szpitala wojskowego matka Eddiego otwiera białe pudełko z cukierni i poprawia świece na torcie, dwanaście po jednej stronie, dwanaście po drugiej. Reszta towarzystwa – ojciec Eddiego, Joe, Marguerite, Mickey Shea – stoi obok.

– Czy ktoś ma zapalki? – pyta szeptem.

Wszyscy macają się po kieszeniach. Mickey wyjmuje pudełko zapalek z wewnętrznej kieszeni marynarki, przy okazji gubiąc dwa papierosy. Matka zapala świece. W holu zatrzymuje się winda. Wytaczają się z niej nosze.

– No dobrze,, idziemy – mówi matka. Małe płomyczki kołyszają się w rytm ich kroków. Wszyscy razem wchodzi do pokoju Eddiego, śpiewając cicho:

– Sto lat, sto lat...

Leżący na łóżku żołnierz budzi się z krzykiem:

– CO, DO CHOLERY?! – Ale zaraz uświadamia sobie, gdzie jest, i opada na poduszki, zawstydzony. Przerwana piosenka wydaje się nagle zbyt ciężka, żeby ją podjąć na nowo, i tylko matka drżącym głosem jest w stanie samotnie kontynuować: – Niech żyje, żyje nam... – potem szybko: – Niechżyjenam.

Eddie leży oparty na poduszkach. Oparzenia ma zabandażowane. Nogę na całej długości pokrywa gips. Przy łóżku stoją kule. Spogląda na twarze przybyłych i ogarnia go przemożna chęć ucieczki.

Joe chrząka.

– No, wyglądasz całkiem, całkiem – mówi. Pozostali skwap-liwie przytakują. Dobrze. Tak. Dobrze. Bardzo dobrze.

– Mama przyniosła tort – szepcze Marguerite.

Matka wysuwa się naprzód, jakby nadeszła jej kolej. Wyciąga przed siebie tekturowe pudełko.

Eddie mruczy niewyraźnie:

– Dzięki, mamó.

Matka rozgląda się wokół.

– Gdzie mam to postawić? – pyta. Mickey szybko podsuwa krzesło. Joe opróżnia mały stolik. Marguerite przesuwa kule. Jedynie ojciec nie bierze udziału w tej tylko pozornie celowej krzątaninie. Stoi pod ścianą, z kurtką przewieszoną przez ramię, i patrzy na nogę Eddiego, która uwięziona jest w gipsie od kostki po udo.

Eddie napotyka jego wzrok. Ojciec spuszcza oczy, a potem wolno przesuwa ręką po parapecie. Eddie napina wszystkie mięśnie i siłą woli stara się zdusić łzy, aby cofnęły się do swoich kanalików.

Wszyscy rodzice wyrządzają krzywdę swoim dzieciom. Nic nie można na to poradzić. Młodość, niczym najczystsze szkło, odbija ślady rąk, które jej dotykają. Jedni rodzice zostawiają smugi, inni rysy, jeszcze inni rozbijają dzieciństwo na małe kawałeczki o ostrych krawędziach, których już potem nigdy nie da się skleić.

Na początku krzywda wyrządzona przez ojca polegała na obojętności. Jako małe dziecko Eddie rzadko był trzymany na rękach przez mężczyznę, a gdy podrośł, najczęściej chwytano go za ramię, ale raczej z gniewem niż z miłością. Matka dawała dzieciom czułość; ojciec był od dyscypliny.

W soboty ojciec zabierał go do wesołego miasteczka. Gdy wychodzili z domu, przed oczami Eddiego roztaczały się rozkoszne wizje karuzeli i kul cukrowej waty, ale kończyło się to tym, że mniej więcej po godzinie ojciec spotykał jakiegoś znajomka i mówił:

– Popilnuj mi dzieciaka, dobra?

Dopóki nie wrócił, przeważnie późnym popołudniem, często pijany, Eddie pozostawał pod opieką któregoś z akrobatów czy treserów.

Przez ciągnące się w nieskończoność godziny dzieciństwa spędzonego w wesołym miasteczku Eddie czekał na zainteresowanie ze strony ojca, siedząc na barierce albo w warsztacie na skrzynce z narzędziami. Często prosił: „Ja pomogę! Ja pomogę!”, ale jedyne zajęcie, jakie mu powierzano, to wczolgiwanie się pod diabelski młyn rano, przed otwarciem wesołego miasteczka, żeby zebrać monety, które poprzedniego wieczoru wypadły gościom z kieszeni.

Przez co najmniej cztery wieczory w tygodniu ojciec grał w karty. Na stoliku stały butelki, leżały karty i papierosy, a przy stoliku panowały pewne zasady. Zasada obowiązująca Eddiego była prosta: Nie przeszkadzać. Raz odważył się stanąć obok ojca i zajrzeć

mu w karty, a wtedy tatuś odłożył cygaro i grzbietem dłoni z wściekłością uderzył go w policzek. „Nie chuchaj na mnie” – powiedział. Eddie wybuchnął płaczem, matka przytuliła go do siebie, patrząc gniewnie na męża. Eddie nigdy więcej w ten sposób nie zbliżył się do ojca.

Bywały też takie wieczory, kiedy karta nie szła, butelki zostały opróżnione, matka już spała, a ojciec wyładowywał gniew w pokoju Eddiego i Joego. Rozrzucał ubogie zabawki i ciskał nimi o ścianę. Potem kazał synom kłaść się na materacu na brzuchu, ściągał pasek i okładał ich, krzycząc, że wydają jego pieniądze na głupoty. Eddie modlił się, żeby matka się obudziła, ale nawet jeśli się tak zdarzyło, ojciec kazał jej „trzymać się z dala”. Widok matki stojącej w korytarzu, ściskającej nerwowo koszulę nocną, równie bezsilnej jak on, tylko jeszcze to wszystko pogarszał.

Ręce na szkle dzieciństwa Eddiego były twarde, nieczułe i poczerwieniałe z gniewu. Pierwsze lata życia upłynęły mu na ciągłym laniu, biciu i dostawaniu w skórę. To była druga krzywda, jaka się dokonała za sprawą ojca. Przemoc. Doszło do tego, że Eddie potrafił rozpoznać po głuchym dźwięku kroków na schodach, jak mocno dostanie tym razem.

Przez cały czas, pomimo wszystko, Eddie w skrytości ducha wielbił swego tatę, ponieważ synowie uwielbiają swych ojców, nawet gdy ci zachowują się wyjątkowo podle. Właśnie w ten sposób uczą się oddania. Zanim chłopiec będzie mógł oddać się Bogu albo kobiecie, oddaje się ojcu, nawet jeśli wydaje się to bez sensu i wymyka się wszelkim wytłumaczeniom.

Czasami, jakby chcąc podsycić słabiutkie iskierki ognia, ojciec pozwalał, by gładką powłokę obojętności przecięła rysa dumy. Bywało, że stawał za płotem szkolnego boiska baseballowego przy 14 Alei, przyglądając się grze. Gdy Eddiemu zdarzyło się wybić piłkę na pole zewnętrzne, ojciec z uznaniem kiwał głową i w takiej chwili

Eddie niemal tańczył dokoła bazy. Albo kiedy wracał do domu po ulicznej bójce, a ojciec zauważał startą skórę na kostkach palców lub rozciętą wargę, i pytał, co się stało z tym drugim, a Eddie odpowiadał, że dostał, co mu się należało. To również spotykało się z aprobatą. Kiedy Eddie rzucił się na chłopaków, którzy dokuczali jego bratu – na chuliganów, jak ich nazwała matka – zawstydzony Joe ukrył się potem w swoim pokoju, a ojciec powiedział:

– Nie przejmuj się nim. To ty jesteś silny. Opiekuj się bratem. Nie daj nikomu go tknąć.

Kiedy już Eddie chodził do gimnazjum, w czasie letnich wakacji miał ten sam rozkład zajęć, co ojciec, to znaczy wstawał przed wschodem słońca i do zmroku pracował w wesołym miasteczku. Na początku obsługiwał najprostsze urządzenia: głównie wciskał dźwignie hamulca, łagodnie zatrzymując wagoniki. W późniejszych latach pracował w warsztacie. Ojciec sprawdzał, jak syn radzi sobie z naprawami. Wręczał mu złamaną kierownicę, mówiąc: „Zrób to”. Pokazywał splątany łańcuch i mówił: „Zrób to”. Przynosił zardzewiały zderzak i papier ścierny i mówił: „Zrób to”. Za każdym razem po skończonej pracy Eddie oddawał ojcu zreperowany przedmiot i mówił: „Zrobione”.

Wieczorami rodzina zbierała się przy kolacji: matka, pulchna i spocona, gotowała na kuchence, brat Joe gadał na okrągło, a jego włosy i skóra pachniały morską wodą. Joe świetnie pływał i w lecie pracował na basenie w Rubylandzie. Chętnie opowiadał o ludziach, którzy tam przychodzili, o ich strojach kąpielowych, o pieniądzach. Na ojcu nie robiło to wrażenia. Raz Eddie podsłuchiwał rozmowę ojca z matką na temat Joego:

– To cherlak – stwierdził pogardliwie ojciec. – Nadaje się tylko do wody.

Mimo to Eddie zazdrościł bratu wyglądu, jego opalenizny i schludności. Paznokcie Eddiego, podobnie jak ojca, poplamione były smarem i nieraz przy stole Eddie wydlubywał zza nich brud

paznokciem kciuka. Raz w takim momencie zauważył, że ojciec mu się przygląda. Ojciec zaśmiał się.

– Od razu widać, że masz za sobą dzień solidnej pracy – powiedział i pokazał własne brudne palce, które chwilę później pochwyliły szklanę piwa.

Do tego czasu – a był już wyrosniętym nastolatkiem – Eddie tylko przytakiwał. Sam nieświadomie zapoczątkował w relacji z ojcem ten rytuał semafora, pozbawiony słów i okazywania uczuć. Wszystko musiało pozostać w środku. Wystarczało przyjąć do wiadomości i już. Zaprzeczanie uczuciom. Krzywda się stała.

Aż pewnego wieczoru kontakt słowny urwał się całkowicie. Stało się to po wojnie, kiedy Eddiemu zdjęto gips, kiedy wyszedł ze szpitala i wrócił do rodzinnego domu, do mieszkania przy Beachwood Avenue. Ojciec pił w pobliskim barze i przyszedł do domu późno. Zastał syna śpiącego na kanapie. Ciemna strona wojny zmieniła Eddiego. Całymi dniami przesiadywał w domu. Rzadko się odzywał, nawet do Marguerite. Godzinami gapił się w kuchenne okno, obserwując wirującą karuzelę i rozcierając chore kolano. Matka szeptała, że on po prostu „potrzebuje trochę czasu”, ale ojca z każdym dniem coraz bardziej to drażniło. Nie rozumiał depresji. Dla niego to była słabość.

– Wstawaj! – ryknął teraz, a język mu się plątał. – I weź się do roboty.

Eddie drgnął. Ojciec ryknął ponownie:

– Wstawaj... i do roboty!

Chwiejnie podszedł do Eddiego i szturchnął go.

– Wstawaj i do roboty! Wstawaj i do roboty! Wstawaj... i... DO ROBOTY!

Eddie uniósł się na łokciach.

– Wstawaj i do roboty! Wstawaj i...

– DOŚĆ! – wrzasnął Eddie, zrywając się mimo eksplozji bólu w nodze. Spojrzał dzikim wzrokiem na ojca, na pijaną twarz znajdującą się tuż obok jego twarzy. Poczłł nieświeży oddech, przesycony alkoholem i papierosami.

Ojciec popatrzył na nogę Eddiego. Zniżył głos, który przeszedł w gardłowy warkot:

– Widzisz? Nic... ci... nie jest.

Zamachnął się, chcąc wymierzyć cios, ale Eddie odruchowo chwycił ojca za ramię i przytrzymał. Ojcowskie oczy rozwarły się szeroko. Po raz pierwszy Eddie się bronił, pierwszy raz zrobił cokolwiek, zamiast przyjąć bicie jak coś należnego. Ojciec spojrzł na swoją zaciśniętą pięść, znajdującą się tak niedaleko od celu, nozdrza mu zadrgały i jednym szarpnięciem uwolnił ramię. Popatrzył na Eddiego, jakby patrzył na odjeżdżający pociąg.

Nigdy więcej nie odezwał się do syna.

To był ostatni ślad ręki na szkle Eddiego. Cisza. Prześladowała go w ciągu następnych lat. Ojciec milczał na weselu Eddiego; milczał, kiedy Eddie przeprowadził się do własnego mieszkania; milczał, kiedy Eddie został taksówkarzem; milczał, kiedy Eddie przychodził odwiedzić matkę. Błagała i płakała, prosiła męża, żeby zmienił zdanie, żeby darował, ale mówił jej tylko przez zaciśnięte zęby to, co powtarzał wszystkim, którzy go o to prosili: „Chłopak podniósł na mnie rękę”. I to był koniec rozmowy.

Wszyscy rodzice wyrządzają krzywdę swoim dzieciom. Takie było to ich wspólne życie. Obojętność. Przemoc. Cisza. A teraz, w jakimś przedziwnym miejscu, po swojej własnej śmierci, przytulony do stalowej ściany Eddie z wolna osunął się w zaspę, ponownie zraniony odrzuceniem przez mężczyźnę, którego miłości w niezrozumiały dla siebie sposób nadal pragnął i potrzebował. Jego ojciec. Krzywda się stała.

*

– Nie bądź na niego zły – odezwał się jakiś głos. – On cię nie słyszy.

Eddie gwałtownie podniósł głowę. Na śniegu przed nim stała starsza pani. Twarz miała wychudłą, policzki obwisłe, usta uszminkowane na różowo, a siwe włosy, ciasno związane z tyłu, tak rzadkie i cienkie, że miejscami prześwitywała przez nie różowa skóra. Wąskie niebieskie oczy spoglądały zza okularów w drucianej oprawie.

Eddie nie przypominał jej sobie. Ubrana była w strój, jaki modny był jeszcze przed jego czasami: suknię z jedwabiu i szyfonu z żabotem przypominającym śliniak, naszytym białymi koralikami i zwieńczonym aksamitną kokardą pod szyją. Spódnica miała sprzączkę ze sztucznych brylantów i zapinana była z boku na zatrzaski. Kobieta stała w wytwornej pozie, w obu dłoniach trzymała parasolkę. Eddie domyślił się, że była bogata.

– Nie zawsze byłam bogata – rzekła, uśmiechając się, jakby usłyszała jego myśli. – Wychowałam się w podobnych warunkach jak ty, na przedmieściu, i w wieku czternastu lat musiałam przerwać naukę. Byłam dziewczyną pracującą. Podobnie jak moje siostry. Każdy zarobiony grosz oddawałyśmy rodzinie...

Eddie przerwał jej. Nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnej historii.

– Dlaczego ojciec mnie nie słyszy? – zadał konkretne pytanie.

Uśmiechnęła się.

– Ponieważ jego duch... bezpieczny i szczęśliwy... stanowi część mojej wieczności. Ale tak naprawdę go tu nie ma. Natomiast ty jesteś.

– A dlaczego właśnie przy pani ojciec miałby być bezpieczny i szczęśliwy?

Zawahala się.

– Chodź – powiedziała.

Nagle znaleźli się u stóp góry. Światło dochodzące z jadłodajni przypominało zaledwie punkcik, gwiazdę, która wpadła w szczelinę.

– Pięknie tu, prawda? – stwierdziła starsza pani. Eddie spojrzał w tamtą stronę. W tej kobiecie było coś, co sprawiało, że miał wrażenie, jakby gdzieś kiedyś widział jej fotografię.

– Czy pani... jest moją trzecią osobą?

– Tak, owszem – odparła. Eddie podrapał się w głowę. *Kim jest ta kobieta?* W przypadku Niebieskiego Człowieka i w przypadku Kapitana przynajmniej miał jakieś wspomnienia tego, co ich kiedyś w życiu łączyło. Ale dlaczego ktoś obcy? Dlaczego teraz? Kiedyś Eddie miał nadzieję, że śmierć oznacza połączenie się z tymi, którzy odeszli wcześniej. Brał udział w tak wielu pogrzebach. Wyczyściwszy starannie buty i wyciągnawszy z szafy kapelusz, udawał się na cmentarz, gdzie w trakcie uroczystości dręczyło go zawsze to samo rozpaczliwe pytanie. *Dlaczego oni odeszli, a ja wciąż tu jestem?* Matka. Brat. Ciotki i wujowie. Najlepszy kumpel Noel. Marguerite.

– Pewnego dnia – mówił ksiądz – wszyscy spotkamy się w królestwie niebieskim.

Gdzie w takim razie są oni wszyscy, skoro to ma być niebo? Eddie spojrzał na obcą kobietę. Poczul się jeszcze bardziej samotnie niż przedtem.

– Czy mogę zobaczyć Ziemię? – szepnął.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Czy mogę rozmawiać z Bogiem?

– Zawsze.

Zawahał się przed zadaniem następnego pytania.

– Czy mogę wrócić?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Wrócić?

– Tak, wrócić – potwierdził Eddie. – Do mojego życia. Do ostatniego dnia. Może jest coś, co mógłbym zrobić? Na przykład obiecać, że będę dobry? Że będę chodzić do kościoła? Coś w tym stylu.

– Dlaczego? – Najwyraźniej ją to rozbawiło.

– Dlaczego? – powtórzył. Strzepnął śnieg, który nie był zimny, gołą ręką, która nie czuła wilgoci. – Dlaczego? Ponieważ wygląda na to, że to wszystko tutaj nie bardzo ma sens. Ponieważ nie czuję się wcale jak ktoś, kto posiadał królestwo niebieskie, jeśli to o to chodzi. I nie sędzę, bym rozumiał wszystko, co się stało. Nawet nie pamiętam własnej śmierci. Nie pamiętam wypadku. Pamiętam jedynie małe rączki... tę dziewczynkę, którą próbowałem ratować, rozumie pani? Ciągnąłem ją, pewnie chwyciłem ją za rękę i właśnie wtedy...

Wzruszył ramionami.

– Umarłeś? – spytała kobieta. – Zszedłeś ze świata? Rozstałeś się z życiem? Poszedłeś do swego Stwórcy?

– Umarłem – odrzekł, oddychając ciężko. – Tyle tylko pamiętam. Potem pojawiła się pani, tamci inni, to wszystko. Czy nie powinno się osiągnąć wiecznego pokoju, kiedy się już umrze?

– Pokój osiągniesz dopiero wtedy – powiedziała kobieta – kiedy sam go zawrzesz ze sobą.

– Nie – zaprzeczył Eddie, potrząsając głową. – Wcale tak nie jest.

Miał ochotę opowiedzieć jej o rozdrażnieniu, jakie odczuwał codziennie od czasów wojny, o złych snach, o niemożności

odczuwania chęci na cokolwiek, o tym, że czasami samotnie chodził do doków, patrzył na ryby wyciągane niewodem na brzeg i czuł się zażenowany, ponieważ w tych bezradnych, żalonych, trzepoczących się stworzeniach, schwytyanych w pułapkę bez żadnej możliwości ucieczki, widział samego siebie.

Jednak nie powiedział jej tego. Rzekł jedynie:

– Bez urazy, szanowna pani, ale ja nawet pani nie znam.

– Ale ja cię znam – odparła.

Eddie westchnął.

– Naprawdę? Skąd?

– No cóż – rzekła – porozmawiajmy chwilę...

Usiadła, choć nie było niczego, na czym mogłaby usiąść. Po prostu spoczywała w powietrzu, z nogami skrzyżowanymi jak dama, wyprostowana, z głową uniesioną wysoko. Długa spódnica układała się wokół jej kostek w miękkie fałdy. Powiał wiatr i Eddiego doleciał słaby zapach perfum.

– Jak wspomniałam, byłam kiedyś pracującą dziewczyną. Podawałam jedzenie w jadłodajni „Pod Konikiem Morskim”. Usytuowana była blisko oceanu, nad którym się wychowałeś. Może ją pamiętasz?

Skinęła głową w stronę jadłodajni i nagle wszystko się Eddiemu przypomniało. Oczywiście. Znajomy lokal. Jadał w nim śniadania. Nazywali go garkuchnią. Budynek został rozebrany już dawno temu.

– Pani?! – zawołał rozbawiony. – Pani była kelnerką w „Koniku Morskim”?

– Otóż to – odparła, niemal z dumą. – Podawałam urzędnikom portowym kawę, a tragarzom placuszki krabowe i bekon. Muszę się pochwalić, że byłam wtedy bardzo atrakcyjną dziewczyną. Odrzu-

ciłam wiele oświadczyń. Siostry gderwały. „Co ty tak przebierasz? – wyrzucały mi. – Znajdź sobie męża, zanim będzie za późno”. Aż pewnego ranka w drzwiach stanął najprzystojniejszy dżentelmen, jakiego widziałam w życiu. Ubrany był w garnitur w prążki, na głowie nosił melonik. Ciemne włosy miał schludnie przycięte, a nad uśmiechającymi się ustami niewielki wąsik. Skinął mi głową, kiedy go obsłużyłam, a ja usiłowałam za bardzo się na niego nie gapić.

Kiedy rozmawiał z kolegami, słyszałam jego donośny, świadczący o pewności siebie śmiech. Dwa razy przyłapałam go na tym, że patrzy w moją stronę. Przy płaceniu rachunku powiedział, że ma na imię Emil, i spytał, czy może mnie odwiedzić. Od tej chwili wiedziałam, że siostry nie będą już dłużej narzekać na mój brak zdecydowania.

Nasze narzeczeństwo było urocze, jako że Emil okazał się człowiekiem zamożnym. Zabierał mnie w miejsca, w jakich nigdy przedtem nie bywałam, kupował mi ubrania, o jakich nigdy nie śniłam, płacił za potrawy, jakich nigdy nie miałam okazji skosztować w moim dotychczasowym skromnym życiu. Emil dorobił się majątku na inwestycjach w drewno i stal. Lubił wydawać pieniądze, lubił ryzyko i lubił iść na całość, kiedy przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. Myślę, że dlatego pociągała go taka biedna dziewczyna jak ja. Pogardzał ludźmi bogato urodzonymi, wolał robić rzeczy, jakich „ludzie na poziomie” nigdy nie robili. Jedną z tych rzeczy było odwiedzanie nadmorskich kurortów. Uwielbiał tamtejsze rozrywki, jedzenie, Cyganów, wróżby z kart, zgadywaczy wagi i nurkujące dziewczęta. I oboje kochaliśmy morze. Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy na piasku, a fale podpływały łagodnie do naszych stóp, poprosił mnie o rękę.

Byłam nieludzko szczęśliwa. Zgodziłam się i wtedy dobiegły nas głosy dzieci bawiących się w wodzie. Emil, jak zwykle szalony, obiecał, że specjalnie dla mnie wybuduje wesołe miasteczko, by na

zawsze zachować ten cudowny moment – i aby na zawsze zachować młodość.

Starsza pani uśmiechnęła się.

– No i dotrzymał obietnicy. Kilka lat później podpisał umowę z towarzystwem kolejowym, które chciało zwiększyć liczbę pasażerów podróżujących w weekendy. I tak powstało wesołe miasteczko, jak sam wiesz.

Eddie skinął głową. Wiedział o tym. Większość ludzi nie wiedziała. Myśleli, że wesołe miasteczka powstawały za sprawą elfów wymachujących czarodziejskimi różdżkami. Tymczasem lunaparki stanowiły korzystne przedsięwzięcia dla linii kolejowych, gdyż dzięki nim pasażerowie, którzy codziennie dojeżdżali do pracy, mieli też powód do korzystania z kolei w weekendy. „Wiecie, gdzie pracuję? – pytał często Eddie żartobliwie. – Na szarym końcu linii kolejowej. Dalej już nic nie ma, to koniec świata”.

– Emil – ciągnęła kobieta – zbudował nabrzeże z drewna i stali, których zawsze miał pod dostatkiem. Potem sprowadził przeróżne atrakcje: wyścigi, karuzele, statki i miniaturowe pociągi. Była też karuzela z Francji i diabelski młyn przywieziony z jednej z międzynarodowych wystaw w Niemczech. Były wieże i baszty, i tysiące elektrycznych świateł, tak jasnych, że nasze miasteczko widać było z pokładu statku płynącego po oceanie.

Mój mąż zatrudnił setki pracowników, miejscowych, wędrownych, sezonowych i zagranicznych. Sprowadził zwierzęta, akrobatów i klaunów. Na ostatku wybudowano główną bramę. Była naprawdę wspaniała. Wszyscy tak twierdzili. Kiedy ją ukończono, zaprowadził mnie tam, zawiązawszy naprzód oczy. Dopiero na miejscu zdjął mi chustkę i wtedy ją zobaczyłam.

Kobieta cofnęła się o krok. Spojrzała na Eddiego z zaciekawieniem i jakby z lekkim rozczarowaniem.

– Brama – przypomniwała. – Nie pamiętasz? Nie zastanawiałeś się nigdy, skąd się wzięła nazwa? Przecież pracowałeś tam. I twój ojciec tam pracował.

Palcem obciągniętym białą rękawiczką dotknęła lekko jego piersi. Potem pochyliła głowę, jakby się oficjalnie przedstawiała.

– Ja jestem Ruby – powiedziała.

Dziś są Eddiego urodziny

Ma trzydzieści trzy lata. Budzi się drżący, nie mogąc złapać tchu. Jego gęste, czarne włosy zlepione są potem. Mruga gwałtownie powiekami, usiłując w ciemnościach dojrzeć rękę, palce, cokolwiek, aby upewnić się, że jest we własnym łóżku, w mieszkaniu nad piekarnią, a nie na wojnie, w tamtej wiosce, w płomieniach. Ten sen. Czy ten sen przestanie go wreszcie kiedyś dręczyć?

Dochodzi czwarta nad ranem. Nie ma sensu zasypiać na nowo. Czka, aż oddech wróci do normy, potem wolno zwleka się z łóżka, starając się nie obudzić żony. Z przyzwyczajenia stawia na podłodze najpierw prawą nogę, znając aż za dobrze bezlitosną sztywność lewej. Każdy poranek zaczyna się w ten sam sposób. Jeden krok i jeden kuśtyk.

W łazance ogląda nabiegłe krwią oczy i przemywa twarz. Sen jest zawsze taki sam: Ostatnia noc wojny na Filipinach, stoi wśród płomieni. Wiejskie chaty ogarnięte są pożarem, rozlega się jednostajny, wysoki pisk. Coś niewidzialnego uderza go w nogę, on stara się to coś odbić, ale nie trafia, potem jeszcze raz i też nie trafia. Płomienie są coraz większe, ryczą jak silnik, a wtedy zjawia się Smitty, krzycząc na niego, wrzeszczy: „Chodzi Chodź!” Eddie usiłuje coś powiedzieć, ale kiedy otwiera usta, z jego gardła dobywa się jedynie wysoki pisk. Potem coś łapie go za nogi i wciąga pod błotnistą ziemię.

I wtedy budzi się. Spocony. Zdyszany. Zawsze to samo. To nie bezsenność jest najgorsza. Najgorsza jest wszechogarniająca ciemność, jaka zostaje w nim po tym śnie, szara błona zasnuwająca cały dzień. Nawet szczęśliwe momenty są w niej zamknięte, jak dziury wyryte w grubej płycie lodu.

Cicho ubiera się i schodzi na dół. Jego taksówka stoi w zwykłym miejscu za rogiem. Eddie wyciera rosę z przedniej szyby. Nigdy nie rozmawia z Marguerite o ciemności. Ona pieszczotliwie mierzwi jego włosy i mówi: „Co się dzieje?”, a on na to: „Nic, po prostu jestem wykończony”, i na tym koniec. Przecież nie może mówić jej o smutku, skoro ona ma go uszczęśliwić. A tak naprawdę to sam nie potrafi tego wytłumaczyć. Wie jedynie, że coś zastąpiło mu drogę, zagroziło ją, aż wreszcie porzucił myśl o różnych rzeczach, o studiach na politechnice, o podróżach. Zdomowił się w swoim dotychczasowym życiu. I tak już pozostało.

Tego wieczoru, po powrocie z pracy Eddie parkuje taksówkę za rogiem i podchodzi wolno do schodów. Z mieszkania słyszy muzykę, znajomą piosenkę.

*„Sprawiłeś, że cię pokochałam...
Nie chciałam, żeby tak się stało,
Nie chciałam, żeby tak się stało...”*

Otwiera drzwi i widzi na stole tort oraz małą, białą torebkę przewiazaną wstążką.

– Kochanie? – To Marguerite woła z sypialni.

Podnosi białą torebkę i uśmiecha się. Toffi. Z wesołego miasteczka.

– Sto lat, sto lat... – Marguerite wchodzi, śpiewając miękkim, słodkim głosem. Wygląda pięknie we wzorzystej sukience, którą on tak bardzo lubi, włosy ma starannie uczesane, umalowane usta. Nagle brak mu tchu, jakby nie zasługiwał na tę chwilę. Zmaga się z ciemnościami, które nim owładnęły. „Zostawcie mnie – błaga je. – Dajcie mi się poczuć tak, jak powinienem się czuć”.

Marguerite kończy piosenkę i całuje go w usta.

– Chcesz powalczyć ze mną o toffi? – szepcze.

Eddie chce ją znowu pocałować. Ktoś puka do drzwi.

– Eddie! Jesteś tam? Eddie!

To pan Nathanson, piekarz, zajmujący mieszkanie na parterze za sklepem. Ma telefon. Eddie otwiera drzwi, za nimi stoi pan Nathanson w szlafroku. Jest wyraźnie zaniepokojony.

– Eddie – mówi. – Zejdź na dół. Jest telefon do ciebie. Chyba coś się stało z twoim ojcem.

– Ja jestem Ruby.

Nagle Eddie zrozumiał, dlaczego kobieta wydała mu się znajoma. Widział jej zdjęcie, walające się w warsztacie na zapleczu wśród starych instrukcji obsługi i papierów należących do pierwszego właściciela miasteczka.

– Stara brama... – szepnął Eddie.

Skinęła głową z zadowoleniem. Pierwsza brama Rubylandu, słynna na całą okolicę, była gigantyczną budowlą przypominającą francuski kościół, wspartą na żłobkowanych kolumnach i zwieńczoną kopułą na szczycie. Pod kopułą, pod którą wszyscy przechodzili, namalowana była twarz pięknej kobiety. Tej właśnie kobiety. Ruby.

– Ale brama została zniszczona dawno temu – powiedział Eddie. – Był wielki...

Urwał.

– Pożar – dokończyła starsza pani. – Tak. Wielki pożar. – Spuściła głowę, spojrzała w dół przez okulary, jakby czytała tekst leżący na kolanach.

– Święto Niepodległości, Czwarty Lipca. Emil uwielbiał święta. Najlepszy biznes – mawiał. Jeśli Święto Niepodległości było udane, całe lato się udawało. Więc zamówił fajerwerki. Sprowadził orkiestrę wojskową. Na ten weekend zatrudnił nawet dodatkowych ludzi, głównie robotników portowych.

No i w przeddzień święta stało się nieszczęście. Było bardzo gorąco, nawet po zachodzie słońca, i kilku robotników postanowiło spać na dworze, za magazynami. Rozpalili ogień, żeby podgrzać sobie jedzenie. Długo w noc pili i bawili się. Potem zaczęli puszczać fajerwerki. Powiał wiatr. Sypnęły się iskry. Wszystko wtedy było z desek i smoły...

Potrząsnęła głową.

– To stało się w okamgnieniu. Ogień rozprzestrzenił się na molo, na stragany i klatki ze zwierzętami. Robotnicy uciekli. Zanim ktoś zdążył przybiec i nas obudzić, Rubyland stał w płomieniach. Z okien widzieliśmy upiorny pomarańczowy blask. Słyszeliśmy stukot kopyt na bruku i syreny wozów strażackich. Ludzie wylegli na ulice.

Na próżno błagałam Emila, żeby tam nie szedł. Oczywiście poszedł. Prosto w szalejący ogień, usiłując ratować lata pracy. Targał nim gniew i strach, i bezsilność, a kiedy płomień ogarnęły bramę, tę bramę noszącą moje imię i mój wizerunek, całkiem stracił poczucie rzeczywistości. Próbował łąć wodę wiadrami i wtedy przygniotła go osuwająca się kolumna.

Złączyła czubki palców i dotknęła nimi ust.

– W ciągu tej jednej nocy nasze życie odmieniło się całkowicie. Jak zwykle mój mąż ryzykant wykupił najniższe ubezpieczenie. Stracił cały majątek. Jego wspianały prezent dla mnie przestał istnieć. Zrozpaczony sprzedał pogorzelnisko biznesmenowi z Pensylwanii po cenie znacznie niższej od rzeczywistej wartości. Nowy właściciel zachował nazwę Rubyland i po jakimś czasie otworzył na nowo wesołe miasteczko. Ale nie było już ono nasze.

Duch Emila ucierpiał na równi z ciałem. Minęły trzy lata, zanim mój mąż zaczął samodzielnie chodzić. Przeprowadziliśmy się za miasto, do małego mieszkania, gdzie żyliśmy skromnie. Opiekowałam się niedomagającym mężem i w duchu stale myślałam o jednym.

Zamilkła.

– O czym? – spytał Eddie.

– Żeby był nigdy nie wybudował tego miasteczka.

*

Starsza pani siedziała w milczeniu. Eddie przyglądał się bezkresnemu niebu w kolorze jadeitu. Myślał o tym, jak wiele razy ogarniało go to samo pragnienie. Jak bardzo żałował, że ten, kto zbudował Rubyland, nie wydał swoich pieniędzy na inny cel.

– Przykro mi z powodu pani męża – powiedział, głównie dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Dziękuję, mój drogi. Ale żyliśmy jeszcze przez wiele lat. Dochowaliśmy się trojga dzieci. Emil był chorowity, dużo czasu spędzał w szpitalu. W wieku lat pięćdziesięciu paru zostałam wdową. Widzisz tę twarz? Te zmarszczki? – Podniosła głowę do góry. – Na każdą z nich uczciwie zapracowałam.

Eddie zmarszczył brwi.

– Jednego nie rozumiem. Czy my... się kiedyś spotkaliśmy? Czy przychodziła pani na nabrzeże?

– Nie – odparła. – Nie chciałam więcej widzieć tego miejsca. Moje dzieci tam chodziły i dzieci ich dzieci. Ale ja nie. Moja wizja nieba była jak najdalsza od oceanu, najchętniej znalazłabym się z powrotem w pełnej gości jadalni, gdzie życie było proste, a Emil uderzał do mnie w konkury.

Eddie potarł skronie. Kiedy oddychał, pojawiała się w powietrzu mgiełka, ale wcale nie czuł zimna.

– Więc czemu ja jestem tutaj? – spytał. – Przecież to, o czym pani mówi... mam na myśli pożar... zdarzyło się przed moim urodzeniem.

– Rzeczy, które zdarzyły się przed naszym urodzeniem, też mają wpływ na nasze życie – odparła. – Podobnie jak ludzie, którzy żyją przed nami. Codziennie trafiamy do miejsc, których by nie było, gdyby nie ci, którzy żyli wcześniej. Nasze miejsca pracy, gdzie spędzamy tak wiele czasu, gdzie kształtujemy się, stajemy się

innymi ludźmi... często się nam wydaje, że zaistniały w chwili naszego przybycia. A to nieprawda.

Złączyła czubki palców.

– Gdyby nie Emil, nie miałabym męża. Gdyby nie nasze małżeństwo, nie byłoby wesołego miasteczka. Gdyby nie wesołe miasteczko, nie zacząłbyś tu pracować.

Eddie podrapał się w głowę.

– Więc jest tu pani po to, żeby opowiadać mi o mojej pracy?

– Nie, kochanie – odparła Ruby, a jej głos złagodniał. – Jestem tu po to, żeby ci opowiedzieć o śmierci twego ojca.

Dzwoniła matka Eddiego. Ojciec zemdłał na słońcu, na wschodnim końcu molo, niedaleko Księżycowej Rakiety. Miał wysoką gorączkę.

– Bardzo się boję o niego – powiedziała matka trzęsącym się głosem. Opowiedziała Eddiemu, że parę dni wcześniej ojciec wrócił o świcie, ociekając wodą. Ubranie miał pełne piasku. Zgubił gdzieś jeden but. I pachniał oceanem. Eddie gotów był się założyć, że także alkoholem.

– Strasznie kaszlał – dodała. – Potem mu się pogorszyło. Powinniśmy byli od razu wezwać lekarza... – Wymawiała słowa wolno. Powiedziała, że taki chory poszedł następnego dnia do pracy, z narzędziami, z młotkiem... tak jak zawsze... ale nie chciał nic jeść, a w łóżku kaszlał, sapał i pocił się. Nazajutrz mu się pogorszyło. A teraz po południu zemdłał.

– Lekarz mówi, że to zapalenie płuc. Och, powinnam była coś zrobić. Powinnam była coś zrobić...

– A co mogłaś zrobić? – spytał Eddie. Wściekły był, że czuje się winna. To wszystko była przecież ewidentna wina ojca-pijaka.

Usłyszał w słuchawce, że matka płacze.

Ojciec Eddiego powtarzał często, że tak wiele lat przeżył nad oceanem, że oddychał morską wodą. Teraz, z dala od oceanu, przykuty do szpitalnego łóżka, zamierał jak ryba wyciągnięta na brzeg. Wdały się komplikacje. Płuca miał zajęte. Jego stan przeszedł z dość dobrego w stabilny, ze stabilnego w poważny. Przyjaciele mówili najpierw: „Lada dzień wyjdzie do domu”, a potem: „Lada tydzień wyjdzie do domu”. Pod nieobecność ojca Eddie pomagał w wesołym miasteczku. Pracował tam wieczorami, kiedy już skończył jeździć taksówką: smarował szyny, sprawdzał hamulce, testował dźwignie, reperował w warsztacie uszkodzone części.

W ten sposób pilnował posady ojca. Właściciele docenili jego starania i zapłacili mu połowę tego, co zarabiał ojciec. Oddał pieniądze matce, która codziennie jeździła do szpitala, a nawet często tam spała. Eddie i Marguerite sprząтали jej mieszkanie i robili zakupy.

Kiedy będąc nastolatkiem, Eddie skarżył się, że ma powyżej uszu wesołego miasteczka, ojciec karmił go: „Co? To nie jest wystarczająco dobre dla ciebie?” Później ojciec zaproponował, żeby po skończeniu szkoły średniej poszedł tam do pracy. Eddie omal się nie roześmiał, a ojciec na to: „Co? To nie jest wystarczająco dobre dla ciebie?” A kiedy Eddie – jeszcze zanim poszedł na wojnę - napomknął o ślubie z Marguerite i o zdobyciu zawodu inżyniera, ojciec powiedział: „Co? To nie jest wystarczająco dobre dla ciebie?”

A teraz, pomimo wszystko, był w wesołym miasteczku i wykonywał pracę ojca.

W końcu, pewnego wieczoru, ulegając namowom matki, Eddie pojechał do szpitala. Wolno wszedł do pokoju. Ojciec, który od lat nie chciał z nim rozmawiać, teraz nawet nie miałby na to siły. Patrzył na syna spod ciężkich powiek. Eddie najpierw gorączkowo

zastanawiał się, co powiedzieć, a potem zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy: podniósł do góry obie dłonie i pokazał pobrudzone smarem palce.

– Nie martw się, chłopcze – powiedział mu jeden z mechaników.
– Twój stary wyjdzie z tego. To największy twardziel, jakiego znam.

Rzadko się zdarza, że rodzice pozwalają dzieciom odejść, więc przeważnie dzieci odchodzą same. Idą dalej. Oddalają się. Momenty, które dotąd wyznaczały ich drogę w życiu – aprobata matki, skiniecie głową ojca – zostają przysłonięte przez własne sukcesy. I niewiele później, kiedy skóra staje się wiotka i pomarszczona, a serce słabnie, dzieci zaczynają pojmować, że ich życie, ze wszystkimi osiągnięciami, ma u swoich podstaw życie ich matek i ojców, jak kamienie na dnie rzeki posadowione na innych kamieniach.

Kiedy przyszła wiadomość, że ojciec umarł – „odszedł”, jak powiedziała pielęgniarka, zupełnie jakby gdzieś sobie poszedł – Eddie odczuł gniew, a zarazem pustkę, jakby on sam nie miał teraz dokąd pójść, jakby chodził w kółko po klatce. Jak wiele robotniczych dzieci wyobrażał sobie heroiczny finał ostatnich chwil ojca, rekompensujący szarość jego życia. Tymczasem nie było nic heroicznego w zasłabnięciu pijaka na plaży.

Następnego dnia Eddie poszedł do mieszkania rodziców, wszedł do sypialni i otworzył wszystkie szuflady, jakby chciał znaleźć ojca w środku. Przerzucił ich zawartość, na którą składały się monety, spinka do krawata, mała butelka jabłkowej brandy, gumki, rachunki za elektryczność, długopisy i zapalniczka z syreną. Na koniec znalazł talię kart. Schował ją do kieszeni.

Pogrzeb był skromny i krótki. Przez następne tygodnie matka Eddiego żyła w oszołomieniu. Mówiła do męża, jakby wciąż przy niej był. Krzyczała na niego, żeby ściszył radio. Gotowała dla dwóch

osób. Poprawiała poduszki po obu stronach łóżka, choć tylko jedna była zajęta.

Pewnego wieczoru Eddie zobaczył, że ustawia umyte naczynia na blacie.

– Pomogę ci – zaproponował.

– Nie trzeba – odparła matka. – Ojciec je schowa.

Eddie położył rękę na jej ramieniu.

– Mamo – powiedział łagodnie. – Ojca nie ma.

– A gdzie jest?

Następnego dnia Eddie zgłosił się do centrali i zawiadomił, że odchodzi z pracy. Dwa tygodnie później oboje z Marguerite przenieśli się do domu, w którym Eddie się wychował – przy Beachwood Avenue, mieszkanie 6B – gdzie korytarze były wąskie, a z kuchennego okna widać było starą karuzelę. Eddie podjął pracę, dzięki której mógł opiekować się matką, otrzymał stanowisko, do którego przygotowało go wiele miesięcy letnich wakacji: został konserwatorem urządzeń w Rubylandzie. Nigdy się nie przyznał – ani żonie, ani matce, ani nikomu – ale przeklął ojca za to, że umarł i skazał go na życie, od którego próbował uciec. Życie, które – zupełnie jakby słyszał szyderczy śmiech ojca zza grobu – było teraz dla niego wystarczająco dobre.

Dziś są Eddiego urodziny

Ma trzydzieści siedem lat. Na stole stygnie mu śniadanie.

– Widzisz gdzieś sól? – zwraca się do Noela.

Noel, z ustami pełnymi kielbasek, wychodki z, boksu, sięga do innego stolika i bierze solniczkę.

– Masz – mówi niewyraźnie. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Eddie mocno potrząsa solniczką.

– Czy to tak trudno trzymać sól na każdym stole?

– A ty co? Kierownik sali? – żartuje Noel.

Eddie wzrusza ramionami Ranek jest gorący i ciężki od wilgoci. To ich stały zwyczaj: śniadanie raz w tygodniu, w sobotni poranek, zanim w miasteczku zacznie się obłęd. Noel pracuje w pralni chemicznej – Eddie załatwił mu kontrakt na pranie uniformów pracowników Rubylandu.

– Co myślisz o tym przystojniaczku? – pyta Noel. Ma przed sobą magazyn „Life” ze zdjęciem młodego polityka. – Jak ktoś taki może startować na prezydenta? Przecież to jeszcze smarkacz!

Eddie wzrusza ramionami.

– Jest prawie w naszym wieku.

– Chyba żartujesz – wykrzykuje Noel. – Myślałem, trzeba być starszym, żeby zostać prezydentem.

– My jesteśmy starsi – mruczy Eddie.

– Aha – mówi Noel, składając pismo. Ścisza głos. – Słyszaleś, co się stało w Brighton?

Eddie kiwa głową. Popija kawę. Słyszał. Park rozrywki. Gondola. Coś się zerwało. Matka i syn zabili się, spadając z wysokości sześćdziesięciu stóp.

– Znasz kogoś stamtąd? – pyta Noel. Eddie zaciska zęby – Od czasu do czasu słyszy się takie historie o wypadku gdzieś w lunaparku. Wstrząsa się, jakby mu koło ucha przeleciała osa. Nie ma dnia, żeby się nie denerwował, że to się stanie tu, pod jego okiem.

– Neeee – odpowiada. – Nie znam nikogo z Brighton.

Wpatruje się w okno, przez które widać tłum plażowiczów idących od stacji. Niosą ręczniki, parasole, wiklinowe kosze z kanapkami owiniętymi w papier. Niektórzy mają nawet najnowszy wynalazek: lekkie składane aluminiowe krzeselka.

Wśród nich idzie starszy mężczyzna w kapeluszu panama, z cygarem w ręku.

– Spójrz na tego jegomościa – mówi Eddie. – Zobaczysz że rzuci cygaro na molo.

– Tak? – pyta Noel – No i co z tego?

– Cygaro wpada w szparę, potem zaczyna się tlić. Czuć zapach chemikaliów, którymi nasączone jest drewno. Niedopałek dymi. Wczoraj przyłapałem dzieciaka... miał góra cztery lata... jak pakował sobie niedopałek cygara do buzi.

Noel krzywi się.

– I?

Eddie nie podejmuje zaczepki.

– I nic. Ludzie powinni bardziej uważać, to wszystko – kończy.

Noel pakuje sobie spory kawałek kielbaski do ust.

– Coś taki poważny? Zawsze jesteś taki smutas w swoje urodziny?

Eddie nie odpowiada. Stare ciemności znalazły sobie kątek w jego wnętrzu. Przywykł już do nich, zrobił im miejsce, tak jak robi się miejsce dla współpasażera w zatłoczonym autobusie.

Myśli o dzisiejszej pracy. Stłuczone lustro w Gabinetcie Śmiechu. Nowe zderzaki do samochodzików. Klej – przypomina sobie – trzeba zamówić więcej kleju. Myśli o tych nieszczęśnikach w Brighton. Zastanawia się, kto tam jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo.

– O której kończysz dzisiaj? – pyta Noel.

Eddie oddycha głośno.

– Będzie duży ruch. Lato. Sobota. Wiesz.

Noel unosi jedną brew.

– Może urwalibyśmy się na tor koło szóstej.

Eddie myśli o Marguerite. Zawsze myśli o Marguerite, kiedy Noel wspomina o wyścigach.

– Daj spokój. W końcu masz urodziny – mówi Noel.

Eddie rozgrzebuje widelcem jajecznicę, zbyt już zimną, żeby nią sobie zawracać głowę.

– No dobrze – zgadza się.

Trzecia lekcja

– Aż tak źle było ci w miasteczku? – spytała starsza pani.

– Nie znalazłem się tam z własnego wyboru – odparł Eddie z westchnieniem. – Matka potrzebowała pomocy. I tak już zostało. Mijały lata. W końcu nie odszedłem stamtąd. Nigdy nie mieszkałem w żadnym innym miejscu. Nigdy nie dorobiłem się prawdziwych pieniędzy. Wie pani, jak to jest, człowiek przyzwyczaja się do czegoś, ludzie zaczynają na nim polegać, i pewnego dnia przestaje się odróżniać wtorek od czwartku. Robi się te same nudne rzeczy, jest się tylko „karuzelnikiem”, zupełnie jak...

– Ojciec?

Eddie nic nie powiedział.

– Był twardy i surowy dla ciebie – rzekła cicho kobieta.

Eddie spuścił oczy.

– Owszem.

– A może ty też byłeś dla niego surowy?

– Raczej nie. Wie pani, kiedy ostatni raz się do mnie odezwał?

– Wtedy, kiedy ostatni raz próbował cię uderzyć.

Eddie rzucił jej wymowne spojrzenie.

– I wie pani, co mi wtedy powiedział? Wrzasnął: „Do roboty!” Kochany tatuś, nie ma co.

Kobieta wydeła lekko usta.

– Ale jednak zacząłeś potem pracować. Wzięłeś się w garść.

Eddiego ogarnęła fala gniewu.

– Proszę pani – powiedział ostro. – Pani go nie знаła.

– To prawda. – Wstała. – Ale wiem coś, o czym ty nie wiesz. I czas ci to pokazać.

Ruby wyciągnęła parasolkę i zakreśliła na śniegu krąg. Kiedy Eddie w niego spojrział, poczuł się tak, jakby oczy wyszły mu z oczodołów i rozpoczęły samodzielną podróż w głąb jakiejś dziury, do innego miejsca w czasie. Obrazy wyostrzyły się. To było wiele lat temu, w starym mieszkaniu. Widział je jednocześnie od frontu i od tyłu, z góry i z dołu.

Oto co zobaczył.

Zobaczył matkę, strasznie czymś przejętą, siedzącą przy kuchennym stole. Zobaczył Mickeya Shea, siedzącego naprzeciwko niej. Mickey wyglądał okropnie. Był cały mokry i nieustannie pocierał rękami czoło i wargę pod nosem. W końcu zaczął płakać. Matka Eddiego przyniosła mu szklankę wody. Gestem kazała zaczekać, a sama przeszła do sypialni i zamknęła drzwi. Zdjęła buty i sukienkę. Wzięła do ręki bluzkę i spódnicę.

Eddie widział wszystkie pokoje, ale nie słyszał, co tych dwoje do siebie mówiło, dobiegał go jedynie jednostajny, niewyraźny dźwięk. Zobaczył, że siedzący w kuchni Mickey wcale nie pije wody ze szklanki, tylko wyjmuje flaszkę z kieszeni marynarki i pociąga potężny łyk. Wreszcie Mickey wolno wstał i zataczając się, ruszył w stronę sypialni. Otworzył drzwi.

Eddie zobaczył matkę, na wpół ubraną, zaskoczoną tym wtargnięciem. Mickey chwiał się na nogach. Matka szybko włożyła szlafrok, ale on podszedł bliżej. Odruchowo wyciągnęła przed siebie rękę, chcąc go powstrzymać, i Mickey zastygł na moment, ale tylko na moment, a po chwili złapał za tę rękę, chwycił matkę, przyparł ją

do ściany i mocno pochwycił w talii. Wrywała się, krzyczała, odpychała go, cały czas zaciskając szlafrok rozchylający się na piersi. Mickey był wyższy i znacznie silniejszy; tulił do niej nieogoloną twarz, rozmazując łzy na jej szyi.

Nagle otworzyły się drzwi frontowe i stanął w nich ojciec, mokry od deszczu, z młotkiem zatkniętym za pas. Wpadł do pokoju i ujrzał Mickeya tarposzącego jego żonę. Ryknął i podniósł młotek, a Mickey rzucił się w stronę drzwi, z rękami uniesionymi nad głową, potrącając go po drodze. Matka oddychała ciężko, po jej twarzy spływały łzy. Mąż złapał ją za ramiona. Zaczął nią gwałtownie potrząsać. Szlafrok opadł na ziemię. Oboje krzyczeli. Potem ojciec wypadł z mieszkania, po drodze rozbijając młotkiem lampę. Zbiegł ciężko po schodach i wybiegł z domu w deszczową noc.

– Co to było? – spytał Eddie z niedowierzaniem. – Co to, do diabła, ma znaczyć?

Kobieta nic nie odpowiedziała. Stojąc na skraju śnieżnego kręgu, narysowała następny. Eddie usiłował nie spoglądać w dół. Nie mógł się jednak powstrzymać. I znowu zapadł się, stał się oczami obserwującymi następującą scenę.

Zobaczył najdalszy kraniec Rubylandu – nazywany Północnym Przylądkiem – wąski pas lądu ciągnący się daleko w ocean. Niebo było czarnoniebieskie, deszcz lał strumieniami. Mickey Shea dotarł chwiejnym krokiem na skraj przylądka. Upadł na ziemię, zwrócił zawartość żołądka. Leżał chwilę twarzą do ciemnego nieba, następnie przekręcił się na bok i przetoczył pod drewnianą barierką. Wpadł do wody.

Parę sekund później pojawił się ojciec. Najpierw biegał jak oszalały, ciągle trzymając w dłoni młotek, i przytrzymując się barierki, przeszukiwał wzrokiem fale. Wiał silny wiatr, zacinając deszczem. Ojciec miał ubranie kompletnie przemoczone, a skórzany

pas na narzędzia był niemal czarny od wody. Dojrzał coś w falach. Przystanął, ściągnął pas, zrzucił jeden but, usiłował rozplatać sznurrowadło drugiego, ale zrezygnował, przecisnął się pod barierką i skoczył, rozbryzgując niezgrabnie wodę we wzburzonym oceanie.

Mickey unosił się na skłębionych falach, na wpół przytomny, z jego ust dobywała się żółta pienista ciecz. Ojciec podpłynął do niego, przekrzykując wiatr. Złapał Mickeya. Mickey pociągnął go w dół. Ojciec ciągnął mocniej. Niebo zagrzmiało rykiem piorunu. W siekących strumieniach deszczu zmagali się i mocowali wśród przevalających się bałwanów.

Mickey zakrztusił się, a ojciec złapał go za rękę i zarzucił ją sobie na ramiona. Poszedł pod wodę, wyłonił się znowu, potem naparł całym ciężarem na ciało Mickeya, skierowując ich obu w stronę brzegu. Mocno pracował nogami. Posuwali się naprzód. Znow zgarnęła ich fala. Po chwili udało się im popłynąć kawałek do przodu. Ocean srożył się i burzył, a ojciec tkwił zaklinowany pod pachą Mickeya i gorączkowo pracując nogami, mrugał gwałtownie, aby pozbyć się wody z oczu.

Dostali się na grzbiet fali i w ten sposób pokonali spory dystans. Mickey jęczał i dyszał. Ojciec pluł morską wodą. Wydawało się, że to wszystko trwa bez końca: deszcz bębniący o wodę, dwaj mężczyźni parskający, wymachujący ramionami, biała piana waląca w twarz. W końcu przyszła wysoka fala z załamanym grzbietem, uniosła ich i wyrzuciła na piasek. Ojciec wydostał się spod Mickeya, po czym wziął go pod ramiona od tyłu i przytrzymał, aby nie porwała go kolejna fala. Kiedy morze się cofnęło, ostatkiem sił wtaszczył Mickeya na brzeg, a potem zwałił się na ziemię, dysząc z otwartymi ustami, pełnymi wody i piasku.

Wzrok Eddiego wrócił do ciała. Poczul się wyczerpany, tak wykończony, jakby sam przebywał we wzburzonym oceanie. Głowa

mu ciążyła. Dotąd był przekonany, że wszystko wie o swoim ojcu, a tymczasem nie wiedział nic.

– Co on robił? – spytał szeptem.

– Ratował przyjaciela.

Spojrzał na kobietę surowo.

– Ładny mi przyjaciel! Na jego miejscu, gdybym wiedział, co zrobił Mickey, pozwoliłbym temu staremu pijakowi się utopić.

– Twój ojciec też tak myślał na początku – odparła starsza pani.

– Gonił Mickeya, żeby go pobić, może nawet zabić. Ale okazało się, że nie potrafi tego zrobić. Wiedział, jaki Mickey jest naprawdę. Znał jego słabości. Wiedział, że pije. Wiedział, że w gruncie rzeczy tamten tego nie chciał.

Przed wieloma laty, kiedy twój ojciec szukał pracy, Mickey udał się do właściciela wesołego miasteczka i poręczył za niego. A kiedy ty się urodziłeś, Mickey pożyczył twoim rodzicom swoje skromne oszczędności, żeby mogli wyżywić jeszcze jedną osobę. Twój ojciec poważnie traktował stare przyjaźnie...

– Hola, hola, pani szanowna – rzucił się Eddie. – Czy nie widziała pani, co ten drań próbował zrobić mojej matce?

– Widziałam – odparła kobieta. – To było złe. Ale rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają. Mickeya zwolniono z pracy tego popołudnia. Przespał swoją zmianę, bo był zbyt pijany, żeby się obudzić, i jego pracodawca stwierdził, że ma tego dosyć. Mickey zareagował na tę wiadomość tak, jak reagował na wszystkie złe wiadomości. Upił się i był nasiąknięty whisky jak gąbka, kiedy przyszedł do twojej matki. Błagał o pomoc. Chciał odzyskać pracę. Tego dnia twój ojciec pracował do późna. Matka zamierzała pójść do niego z Mickeyem.

Mickey był gruboskórny, ale nie był złym człowiekiem. W tym momencie czuł się strasznie zagubiony i to, co zrobił, spowodowane

było samotnością i rozpaczą. Działał pod wpływem impulsu. Złego impulsu. Twój ojciec też działał pod wpływem impulsu, ale podczas gdy pierwszy impuls mówił: zabić, ostatni kazał mu ratować ludzkie życie.

Kobieta skrzyżowała dłonie na rączce parasolki.

– Właśnie dlatego się rozchorował. Przez kilka godzin leżał na plaży, przemoczony i wyczerpany, zanim zebrał siły na tyle, by dowlec się do domu. Twój ojciec nie był już młodzieniaszkiem. Był po pięćdziesiątce.

– Miał pięćdziesiąt sześć lat – powiedział Eddie głucho.

– Pięćdziesiąt sześć lat – powtórzyła kobieta. – Jego organizm był osłabiony po walce z oceanem. Dostał zapalenia płuc i po jakimś czasie umarł.

– Przez Mickeya – rzekł z goryczą Eddie.

– Przez lojalność.

– Ludzie nie umierają z powodu lojalności.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się. – A religia? A polityka? Czy wobec tych rzeczy nie jesteśmy lojalni, czasami aż do śmierci?

Eddie wzruszył ramionami.

– To dobrze, jak ludzie są lojalni wobec siebie – powiedziała.

Spędzili dłuższy czas w zaśnieżonej dolinie. Przynajmniej Eddiemu czas płynął wolno. Sam już nie był pewien, jak długo tu trwają różne rzeczy.

– Co się stało z Mickeyem? – spytał.

– Umarł w samotności kilka lat później – odparła kobieta. – Zapił się na śmierć. Nigdy nie wybaczył sobie tego, co się stało.

– Ale przecież mój tata – stwierdził Eddie, pocierając czoło – nic nikomu nie powiedział.

– Nigdy nie rozmawiał o wydarzeniach tamtego wieczoru ani z twoją matką, ani z nikim. Wstydził się za nią, za Mickeya, za siebie. W szpitalu w ogóle przestał mówić. Cisza stała się jego ucieczką, ale tak naprawdę rzadko udaje się uciec w ciszę. Nie potrafił uwolnić się od dręczących go myśli. Pewnej nocy oddech miał znacznie zwolniony, oczy zamknięte, i nie można go było dobudzić. Lekarze orzekli, że zapadł w śpiączkę.

Eddie pamiętał tę noc. Znów telefon do pana Nathansona. Znów pukanie do jego drzwi.

– Potem twoja matka stale czuwała przy jego łóżku. Dzień i noc. Jęczała cichutko, jakby się modliła: Powinnam była coś zrobić. Powinnam była coś zrobić... Wreszcie któregoś dnia, ulegając namowom lekarzy, poszła do domu przespać się trochę. Następnego dnia, wczesnym rankiem, pielęgniarki znalazły twego ojca przewieszzonego przez okienny parapet.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Eddie. Zmrużył oczy. – Jak to przez parapet?

Ruby pokiwała głową.

– Twój ojciec obudził się w środku nocy. Wstał z łóżka, chwiejnie przeszedł przez pokój i znalazł w sobie dość sił, żeby otworzyć okno. Słabym głosem zaczął wzywać twoją matkę, wołał ciebie i twego brata Joego. I wołał Mickeya. W tym momencie w jego sercu obudził się wielki żal i ból. Może czuł już światło zbliżającej się śmierci. Może myślał tylko o tym, że wy wszyscy gdzieś tam jesteście, na ulicach za tym oknem. Przechylił się przez parapet. Noc była chłodna. Wiatr i wilgoć przy jego stanie okazały się zabójcze. Nim nadszedł świt, był martwy.

Pielęgniarki, które go znalazły, zaciągnęły go z powrotem do łóżka. Personel bał się, że straci pracę, więc nikt nie szepnął słowa. Oficjalna wersja brzmiała, że zmarł we śnie.

Eddie cofnął się, zaskoczony. Pomyślał o tym ostatnim obrazie. Ojciec, ten twardy stary drań, próbujący wypełznąć przez okno. Dokąd chciał pójść? O czym wtedy myślał? Co jest gorsze, jeśli nie zostanie wyjaśnione: życie czy śmierć?

– Skąd pani o tym wszystkim wie? – spytał.

Westchnęła.

– Twój ojciec nie miał pieniędzy na osobny pokój w szpitalu. Podobnie jak inny pacjent leżący w tym samym pokoju, odgradzony zasłoną.

Umilkła na chwilę.

– Emil. Mój mąż.

Eddie podniósł wzrok. Odchylił głowę do tyłu, jakby właśnie rozwiązał zagadkę.

– Więc widziała pani mojego ojca.

– Tak.

– I moją matkę.

– Słyszałam, jak jęczała w samotnie spędzane noce. Ani razu nie rozmawiałyśmy. Ale po śmierci twego ojca popytałam trochę o twoją rodzinę. Kiedy dowiedziałam się, gdzie pracował, zabolalo mnie, jakbym sama straciła kogoś bliskiego. Przez wesołe miasteczko, które nosiło moje imię. Znowu ogarnął mnie przeklęty cień i znowu żalowałam, że w ogóle zostało zbudowane. I ten żal nie opuścił mnie nawet w niebie, kiedy na ciebie czekałam.

Eddie sprawiał wrażenie, jakby nie wszystko rozumiał.

– Jadłodajnia – wyjaśniła. – Tam, w górze.

Wskazała świetlny punkcik w górach.

– Chciałam wrócić do lat młodości, do życia skromnego, ale bezpiecznego. Chciałam mieć przy sobie wszystkich, którzy ucierpieli przez Rubyland – w każdym wypadku, pożarze, bójce, upadku – i chciałam, aby byli bezpieczni, cali i zdrowi. Chciałam też mieć blisko mego Emila, ciepło ubranego, nakarmionego i bezpiecznego w zaciszu pięknego miejsca daleko od morza.

Ruby wstała. Eddie również. Nie mógł przestać myśleć o śmierci ojca.

– Nienawidziłem go – wymamrotał.

Kobieta skinęła głową.

– Okrutnie mnie traktował, kiedy byłem dzieckiem. I był skończonym draniem, kiedy dorosłem.

Ruby podeszła do niego.

– Edwardzie – powiedziała łagodnie. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. – Naucz się ode mnie jednej rzeczy. Duszenie gniewu w sobie zatruwa. Zżera od środka. Wydaje się nam, że nienawiść jest bronią wymierzoną w osobę, która zrobiła nam krzywdę. Ale nienawiść jest jak bumerang. Krzywdę, jaką robimy innym, zadajemy samym sobie.

Wybaczyć, Edwardzie. Wybaczyć. Czy pamiętasz tę lekkość, jaką odczuwałeś zaraz po przybyciu do nieba?

Pamiętał. *Gdzie jest mój ból?*

– Doświadczyłeś jej, ponieważ nikt nie rodzi się z gniewem. Kiedy umieramy, dusza uwalnia się od niego. Ale teraz, tutaj, aby przejść dalej, musisz zrozumieć, dlaczego w życiu czułeś to, co czułeś, i dlaczego już dłużej nie musisz tego czuć.

Dotknęła jego ręki.

– Powinieneś przebaczyć ojcu.

Eddie pomyślał o latach, jakie nastąpiły po pogrzebie ojca. Nigdy niczego nie osiągnął, nigdy nigdzie nie wyjechał. Przez cały czas wyobrażał sobie życie, „jakie mógłby wieść”, jakie mogłoby być jego udziałem, gdyby nie śmierć ojca i załamanie się matki. Przez wiele lat idealizował to wymaginowane życie i winił ojca za wszystkie poniesione straty: za utratę wolności, za utratę możliwości wyboru, za utratę nadziei. Nigdy nie sięgnął po więcej niż brudna, męcząca praca, którą przedtem wykonywał ojciec.

– Umierając – powiedział Eddie – zabrał ze sobą część mnie. Znalazłem się w pułapce.

Ruby potrząsnęła głową.

– To nie z powodu ojca nie odszedłeś z wesołego miasteczka.

Spojrzał na nią.

– W takim razie z jakiego?

Wyglądziła spódnicę. Poprawiła okulary. Wolno zaczęła się oddalać.

– Masz jeszcze spotkać dwie osoby – powiedziała.

– Proszę zaczekać... – usiłował ją zatrzymać Eddie, ale zimny wiatr niemal wtłoczył mu głos z powrotem do gardła. Nagle wszystko dokoła pociemniało.

Ruby odeszła, a on znalazł się znowu w dolinie, pod jadłodajnią, po kostki w śniegu.

Stał długo i samotnie w przytłaczającej ciszy, aż pojął wyraźnie, że starsza pani już nie wróci. Wolno otworzył drzwi i wtedy usłyszał szcęk sztućców i stuk talerzy. Poczł zapach świeżo przygotowanego jedzenia: chleba, mięsa, sosów i kawy. Lokal zapełniały duchy tych, którzy za życia ucierpieli przez wesołe miasteczko. Duchy zajęte były sobą, jadły, piły i rozmawiały.

Eddie poruszał się z wahaniem, w pełni świadom tego, co ma teraz zrobić. Udał się w prawo do narożnego boksu, do ducha swego ojca palącego cygaro. Poczul w ciele dreszcz. Pomyślał o ojcu wychylającym się ze szpitalnego okna, umierającym samotnie w środku nocy.

– Tato? – szepnął Eddie.

Ojciec go nie słyszał. Eddie podszedł bliżej.

– Tato, teraz już wiem, co się stało.

Poczul dławienie w piersi. Upadł na kolana przy boksie. Ojciec był tak blisko, że Eddie widział jego bokobrody i spopieliał koniec cygara. Widział też worki pod jego zmęczonymi oczami, złamany nos, kościste palce i kanciaste ramiona robotnika. Spojrzał na własne ramiona i uświadomił sobie, że w swoim ziemskim ciele był teraz starszy od ojca. Przeżył go pod każdym względem.

– Byłem na ciebie zły, tato. Nienawidziłem cię.

Poczul, że napływają mu do oczu łzy. Poczul drżenie w piersi. Coś się z niego wylewało.

– Biłeś mnie. Odpędzałeś mnie od siebie. Nie rozumiałem tego. Nadal nie rozumiem. Dlaczego to robiłeś? Dlaczego?

Boleśnie westchnął kilka razy.

– Nie wiedziałem, słyszysz? Nie wiedziałem, co zaszło w twoim życiu. Nie znałem ciebie. Ale jesteś moim ojcem. Wybaczam ci. W porządku? Dobrze? Czy możemy sobie wzajemnie odpuścić?

Głos mu się załamał, stał się wysoki i piskliwy, jakby to już nie był jego własny głos.

– WIĘC JAK? SŁYSZYSZ MNIE? – Potem już spokojniej: – Słyszysz mnie, tato?

Przysunął się bliżej. Zobaczył brudne dłonie ojca. Ostatnie znajome słowa wymówił szeptem:

– Tato. Zrobione.

Uderzył pięścią w stół, po czym zwalił się ciężko na podłogę. Kiedy podniósł głowę, zobaczył stojącą w przejściu Ruby, teraz młodą i piękną. Pochyliła głowę, otworzyła drzwi i uniosła się na spotkanie jadeitowego nieba.

CZWARTEK, 11 RANO

Kto miał zapłacić za pogrzeb Eddiego? Nie miał krewnych. Nie zostawił żadnych instrukcji. Jego ciało pozostało w kostnicy miejskiej, podobnie jak ubrania i rzeczy osobiste: koszula, skarpetki, buty, płócienna czapka, obrączka, papierosy i wyciorki do fajek. Wszystko czekało na kogoś, kto się po to zgłosi.

W końcu pan Bullock, właściciel wesołego miasteczka, zapłacił rachunek, korzystając z pieniędzy, jakie zaoszczędził na nietaktu- alnej już wypłacie dla Eddiego. Trumna była prostą drewnianą skrzynią. Kościół wybrano ze względu na lokalizację – położony najbliżej wesołego miasteczka; większość uczestników pogrzebu musiała potem wracać do pracy.

Na kilka minut przed rozpoczęciem nabożeństwa pastor poprosił Domingueza, ubranego w granatowy sportowy płaszcz i paradne czarne dżinsy, żeby na chwilę wstąpił do kancelarii.

– Czy mógłby mi pan opowiedzieć coś o zaletach zmarłego? – poprosił pastor. – Zdaje się, że pan z nim pracował.

Dominguez przełknął ślinę. Nie czuł się zbyt swobodnie w towarzystwie osób duchownych. Splótł palce, zastanawiając się chwilę. W końcu przemówił tonem tak uroczystym, jakim, jego zdaniem, powinno się mówić przy takich okazjach.

– Eddie – rzekł – naprawdę kochał swoją żonę.

Rozplótł palce i szybko dodał:

– Oczywiście jej nie znałem.

Czwarta osoba, która Eddie spotkał w niebie

Eddie zamrugał i znalazł się w małym, okrągłym pokoju. Góry zniknęły, podobnie jak jadeitowe niebo. O mało nie uderzył głową w niski gipsowy sufit. Pokój był brązowy – gładki jak papier do pakowania – i pusty, nie licząc drewnianego stołka i owalnego lustra wiszącego na ścianie.

Eddie podszedł do lustra. Nie zobaczył w nim swego odbicia. Widział jedynie odwrócony widok pokoju, który nagle powiększył się, a w okrągłych ścianach pojawił się rząd drzwi. Eddie odwrócił się. W tym momencie zakaszłał.

Dźwięk ten przestraszył go, jakby pochodził od kogoś innego. Zakaszłał znowu, mocno i głęboko, jakby musiał coś tam sobie przemeblować w piersiach.

A to kiedy się zaczęło? – pomyślał Eddie. Dotknął własnej skóry, która postarzała się od spotkania Ruby. Wydawała się teraz cieńsza i bardziej sucha. Ciało, które podczas spotkania z Kapitanem było jędrne i zwarte jak napięta guma, teraz zwiotczało i obwisło ze starości.

Masz jeszcze spotkać dwie osoby – powiedziała mu Ruby. A potem co? W dole krzyża czuł tępy ból. Uświadomił sobie teraz, co się z nim działo na kolejnych etapach pobytu w niebie. Jego ciało ulegało degradacji.

Zbliżył się do jednych z wielu drzwi i otworzył je. Nagle znalazł się na zewnątrz, przed domem, którego nigdy wcześniej nie widział,

w kraju, którego nie rozpoznawał, w samym centrum uroczystości, która wyglądała na weselne przyjęcie. Na trawniku stali goście ze srebrnymi talerzami w rękach. Na jednym końcu znajdowała się brama przystrojona czerwonymi kwiatami i gałązkami brzoźowymi, a na drugim końcu, obok Eddiego, były drzwi, którymi wszedł. Panna młoda, młodziutka i śliczna, stała w środku grupy i właśnie wyjmowała szpilkę z jasnych włosów. Pan młody był wysoki i szczupły. Miał na sobie czarny weselny frak, w rękę trzymał szpadę, a na rękojęści szpady zatknięty był pierścionek. Podsunął go pannie młodej, a goście zgotowali głośną owację, kiedy go wzięła. Eddie słyszał głosy, ale język był mu nieznany. Niemiecki? Szwedzki?

Zakaszłał znowu. Wszyscy podnieśli głowy. Uśmiechnęli się, a uśmiech ten speszył Eddiego. Szybko wycofał się przez drzwi, którymi wszedł, myśląc, że znów znajdzie się w okrągłym pokoju. Tymczasem trafił na inne wesele, tym razem odbywające się wewnątrz, w dużej sali. Obecni tu ludzie wyglądali na Hiszpanów, a panna młoda miała we włosach kwiaty pomarańczy. Przechodziła tańcującym krokiem od jednego gościa do drugiego, a każdy wręczał jej mały woreczek z monetami.

Eddie zakaszłał znowu – nie mógł się powstrzymać – i kiedy kilka osób spojrzało na niego, wycofał się przez drzwi i znalazł się na kolejnym weselu, tym razem afrykańskim, jak się domyślił, gdzie goście wylewali wino na ziemię, a młoda para, trzymając się za ręce, skakała przez miotłę. Potem przeszedł do wesela chińskiego, na którym przed wiwatującymi gośćmi puszczano fajerwerki, potem do jeszcze innego – może francuskiego – gdzie młoda para piła wspólnie z jednego naczynia z dwoma uchami.

Jak długo to ma trwać? – pomyślał Eddie. Na żadnym z przyjęć nie było śladu świadczącego o tym, w jaki sposób ludzie się na nie dostali, nie było żadnych samochodów, żadnych wozów, żadnych koni. Wyjazd też najwyraźniej nie był przewidziany. Goście kręcili się to tu, to tam, a Eddie traktowany był jak jeden z nich, uśmiechano

się do niego, ale nikt się do niego nie odzywał, zupełnie jak na weselach, w których uczestniczył na ziemi. Tak zresztą wolał. Na weselach było, zdaniem Eddiego, zbyt wiele żenujących momentów, na przykład kiedy para prosiła, żeby przyłączyć się do tańca albo żeby pomóc przenieść pannę młodą na krzesło. Chora noga paliła go w takich chwilach niemiłosiernie, miał wrażenie, że wszyscy o tym wiedzą i mu się przyglądają. Dlatego też Eddie raczej unikał przyjęć, a kiedy już na jakieś poszedł, często sterczał samotnie na parkingu, paląc papierosa i pragnąc w duchu, aby czas jak najszybciej minął. I tak bardzo długo nie chodził na żadne wesela. Dopiero w późniejszych latach życia, kiedy paru młodocianych pracowników miasteczka dorosło i zaczęli się żenić, od czasu do czasu musiał wyjmować z szafy wypłowiały garnitur i nakładać koszulę z kołnierzykiem nieznośnie pijącym w szyję. Do tego momentu strzaskane niegdyś kości uległy dalszemu zwyrodnieniu. Kolano zaatakował artretyzm. Eddie wyraźnie kulał i dzięki temu nie musiał uczestniczyć w zwyczajowych punktach programu, jak tańce czy wspólne krojenie tortu. Uważany był za „starszego pana”, samotnego, stanu wolnego, i nikt nie oczekiwał od niego, żeby robił cokolwiek poza uśmiechaniem się, kiedy do stołu zbliżał się fotograf.

Tutaj, teraz, w swoim roboczym stroju odwiedzał kolejne wesela, przechodził z jednego przyjęcia na drugie, od jednego języka, jednego tortu i jednego rodzaju muzyki do innego języka, innego tortu, innego rodzaju muzyki. To, że uroczystości były w pewnym sensie identyczne, nie zdziwiło go wcale. Zawsze uważał, że wesela niewiele różnią się od siebie. Nie rozumiał jedynie, co to ma z nim wspólnego.

Przeszedł przez próg raz jeszcze i znalazł się w scenerii kojarzącej mu się z włoską wioską. Zbocza wzgórz porośnięte były winnicami, wiejskie domy zbudowane z trawertynu. Mężczyźni mieli na ogół gęste, czarne włosy, zaczesane do tyłu i wypomadowane, oczy kobiet były ciemne, a rysy ostre. Eddie znalazł sobie miejsce przy ścianie i przyglądał się młodej parze przepiłowującej polano

zębata piłą. Zagrała muzyka – fleciści, skrzypkowie, gitarzyści – i goście zaczęli tańczyć tarantellę w dzikim, wirującym rytmie. Eddie odruchowo cofnął się kilka kroków. Jego wzrok padł na koniec weselnego tłumu.

Wśród gości szła druhnna w długiej sukni w kolorze lawendy i słomkowym kapeluszu, częstując wszystkich z koszyka migdałami w cukrze. Z daleka wyglądała na dwadzieścia kilka lat.

– *Per l'amaro e il dolce?* – mówiła, podając gościom słodycze. – *Per l'amaro e il dolce?... Per l'amaro e il dolce?*

Na dźwięk jej głosu Eddie zadrżał na całym ciele. Zaczął się pocić. Coś kazało mu biec, ale coś innego przykuło go do miejsca. Szła w jego stronę. Jej oczy, spoglądające spod ronda zwieńczonego pergaminowymi kwiatami kapelusza, odnalazły go.

– *Per l'amaro e il dolce?* – powiedziała, uśmiechając się i wyciągając migdały. – Na gorycz i na słodycz?

Ciemne włosy opadły jej na jedno oko, a serce Eddiegoomal nie pękło na tysiąc kawałków. Chwilę trwało, zanim wreszcie otworzył usta i z jego gardła dobył się dźwięk, będący pierwszą głoską jedyne go imienia na całym świecie, które zdolne było sprawić, że czuł się właśnie tak jak teraz. Upadł na kolana.

– Marguerite... – wyszeptał.

– Na gorycz i na słodycz – odparła.

Dziś są Eddiego urodziny

Eddie i jego brat siedzą w warsztacie.

– To – mówi z dumą Joe, podnosząc do góry wiertarkę – jest najnowszy model.

Joe ubrany jest w kraciastą sportową kurtkę i czarno-białe buty. Eddie myśli sobie, że brat wygląda frymuśnie – a frymuśnie znaczy sztucznie – ale Joe jest teraz akwizytorem firmy produkującej narzędzia, a w końcu Eddie, od lat noszący to samo ubranie, i tak się na tym nie zna.

– Tak jest – powtarza Joe. – Zobacz sam. Działa na baterię.

Eddie bierze baterię w palce – jest mała, niklowo-kadmowa. Wprost nie do wiary.

– Włącz – zachęca go Joe, podając mu wiertarkę.

Eddie przyciska guzik. Rozlega się warkot.

– Niezłe, co?! – woła Joe.

Tego ranka Joe zdradził Eddiemu, ile teraz zarabia. Wyszło na to, że trzy razy więcej niż Eddie. A potem pogratulował Eddiemu awansu na kierownika obsługi technicznej Rubylandu, czyli na dawne stanowisko ojca. Eddie miał ochotę odpowiedzieć: „Skoro to taka świetna posada, dlaczego sam jej nie obejmiesz a ja wezmę twoją pracę”. Ale nie zrobił tego. Nigdy nie mówił na głos tego, co było dla niego naprawdę ważne.

– Dzień dobry! Czy jest tu ktoś?

W drzwiach staje Marguerite, trzymając w dłoni bloczek pomarańczowych biletów. Wzrok Eddiego natychmiast biegnie, jak za-

wsze, do jej twarzy, oliwkowej cery, ciemnych oczu w kolorze kawy. Tego lata zaczęła pracować w kasie biletowej w Rubylandzie i teraz też ubrana jest w strój służbowy: białą koszulę, czerwoną kamizelkę, czarne wąskie spodnie, czerwony beret, a pod obojczykiem przypięty ma identyfikator z nazwiskiem. Jak zwykle ten widok napędza Eddiego gniewem – zwłaszcza w obecności chełpiącego się sukcesem brata.

– Pokaż jej wiertarkę – mówi Joe i zwraca się do Marguerite: – Jest na baterię.

Eddie naciska guzik. Marguerite chwytą się za uszy.

– To jeszcze głośniejsze niż twoje chrapanie – żartuje.

– Ho, ho! – ryczy Joe, zaśmiewając się. – Ho, ho! Ale ci powiedziała!

Eddie spuszcza wzrok potulnie, a wtedy widzi uśmiech żony.

– Czy możesz wyjść na chwilę? – pyta Marguerite.

Eddie potrząsa wiertarką.

– Pracuję.

– Na sekundkę, dobrze?

Wolno wstaje i idzie za nią w stronę drzwi. Wita go słońce.

– WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, PANIE EDDIE! – krzyczy chórem gromadka dzieci.

– A niech mnie! – mówi Eddie.

Marguerite woła:

– No, dzieci. Teraz włóżcie świece w tort!

Dzieci biegną do waniliowego tortu stojącego na składanym stoliku. Marguerite nachyla się w stronę Eddiego i szepcze:

– Obiecałam im, że zdmuchniesz naraz wszystkie trzydzieści osiem.

Eddie pociąga nosem. Patrzy, jak żona sprawnie wszystko organizuje. Jak zawsze, gdy widzi Marguerite z dziećmi, rozczula się, że tak łatwo nawiązuje z nimi kontakt, a jednocześnie przygnębia go, że ona sama nie może ich mieć. Jeden z lekarzy stwierdził, że jest zbyt nerwowa. Inny orzekł, że za długo zwlekała, że powinna była mieć dzieci przed dwudziestym piątym rokiem życia. Potem stopniowo skończyły się im pieniądze na lekarzy. I wszystko było po staremu.

Od prawie roku dowiadywała się o adopcję. Chodziła do biblioteki. Przyniosła do domu papiery. Eddie powiedział, że są za starzy.

– Za starcy dla dziecka? – spytała.

Eddie obiecał, że się zastanowi.

– No dobrze! – woła teraz Marguerite znad lukrowanego tortu. – Bardzo proszę, panie Eddie! Proszę, dmuchać! Ach, nie, chwileczkę...
– Sięga do torby i wyjmuje aparat fotograficzny, wymyślne urządzenie z okrągłą lampą błyskową.

– Charlene mi pożyczyła. To polaroid.

Marguerite ustawia wszystkich do zdjęcia: Eddie stoi nad tortem, dzieci tłoczą się wokół niego, wpatrzone z nabożeństwem w trzydzieści osiem małych płomyków. Jedno z dzieci trąca Eddiego:

– Zdmuchniesz wszystkie, prawda?

Eddie spogląda na tort. Lukier nosi ślady niezliczonych małych paluszków.

– Tak – odpowiada, patrząc przy tym na żonę.

Eddie wpatrywał się w młodą Marguerite.

– To nie ty – stwierdził.

Opuściła koszyczek z migdałami. Uśmiechnęła się smutno. Za nimi tańczono tarantellę, a słońce przyblakło za wstęgą białych chmur.

– To nie ty – powtórzył.

– Hej! Hej! – pokrzykiwali tancerze i potrząsali tamburynami.

Podawała mu rękę. Sięgnął po nią szybko i odruchowo, jakby łapał spadający przedmiot. Ich palce spotkały się. Nigdy dotąd nie czuł czegoś takiego, jakby inne ciało formowało się wokół jego własnego ciała, miękkie i ciepłe, lekko łaskoczące. Uklękła obok niego.

– To nie ty – powiedział znowu.

– To naprawdę ja – szepnęła.

Hej! Hej!

– To nie ty, to nie ty, to nie ty – mruczał pod nosem Eddie. Oparł głowę na jej ramieniu i po raz pierwszy, odkąd umarł, zapłakał.

Ich własne wesele odbyło się w Wigilię Bożego Narodzenia w mrocznej sali na drugim piętrze chińskiej restauracji „U Sammy'ego Honga”. Właściciel, Sammy, zgodził się wynająć ją na ten wieczór, gdyż nie spodziewał się dużego ruchu tego dnia. Eddie całą gotówkę, jaka została mu jeszcze ze służby w wojsku, wydał na przyjęcie: pieczone kurczaki, chińskie warzywa, portwajn i akordeonistę. Krzesła, z których korzystano podczas ceremonii, potrzebne były do kolacji, więc kiedy już młodzi złożyli przysięgę, kelnerzy poprosili

gości, żeby je zwolnili i znieśli na dół do restauracji. Akordeonista siedział na stołku. Przez wiele lat Marguerite żartowała, że na ich weselu brakowało jedynie „kart do bingo”.

Kiedy przyjęcie się skończyło, młodej parze wręczono skromne prezenty i wzniesiono ostatni toast. Akordeonista spakował instrument. Eddie i Marguerite wyszli frontowymi drzwiami. Padało lekko, deszcz był zimny, ale młodzi poszli do domu na piechotę, jakby to było tylko kilka przecznic. Marguerite w swojej ślubnej sukience i w grubym różowym swetrze, Eddie w białej marynarce i koszuli pijącej w szyję. Trzymali się za ręce. Szli w milczeniu, stąpając po plamach światła rzucanego przez uliczne latarnie. Świat dokoła wydawał się cichy i milczący.

Ludzie mówią, że miłość się „znajduje”, jakby to był przedmiot ukryty pod kamieniem. Ale miłość przybiera wiele form i nigdy nie jest jednakowa dla wszystkich mężczyzn i kobiet. Ludzie znajdują jedynie „swoją” miłość. Tak więc Eddie znalazł „swoją” miłość w osobie Marguerite, miłość wdzięczną, głęboką, lecz cichą, miłość, o której wiedział, że jest jedna jedyna i niezastąpiona. Kiedy Marguerite odeszła, pogodził się z szarą, monotonią dni. Uspiał swoje serce.

A teraz znów była przy nim, tak młoda jak tego dnia, kiedy się pobrali.

– Przejdźmy się – zaproponowała.

Eddie próbował wstać, ale chore kolano odmówiło posłuszeństwa. Podniosła go bez wysiłku.

– Twoja noga – szepnęła, przyglądając się zbielełej bliźnie z czułą poufałością. Potem podniosła głowę i dotknęła kosmyków nad jego uszami.

– Siwe – zauważyła, uśmiechając się.

Eddie nie mógł zmusić języka do poruszenia się. Nie mógł w ogóle nic zrobić, tylko patrzył. Była dokładnie taka sama, jaką zapamiętał – nawet piękniejsza, naprawdę, gdyż jego ostatnie wspomnienia o niej były obrazem postarzałej, cierpiącej kobiety. Stał przy niej w milczeniu, aż wreszcie zmrużyła oczy, a jej usta wygięły się figlarnie.

– Eddie – niemal zachichotała. – Tak szybko zapomniałeś, jak kiedyś wyglądałam?

Eddie z trudem przełknął ślinę.

– Nigdy tego nie zapomniałem.

Dotknęła lekko jego twarzy, a on poczuł ciepło rozlewające się po całym ciele. Skinęła w kierunku wioski i tańczących gości.

– Same wesela – stwierdziła radośnie. – Tak sobie wybrałam. Świat ślubów za każdymi drzwiami. Och, Eddie, to nigdy się nie zmienia, kiedy pan młody unosi welon, kiedy panna młoda przyjmuje obrączkę, ta wiara, jaką widać w ich oczach – wszędzie jest to samo, na całym świecie. Naprawdę wierzą w swoją miłość i w to, że ich ślub przyćmi wszystkie inne.

Uśmiechnęła się.

– Czy nie sądzisz, że nasz też taki był?

Eddie nie wiedział, co odpowiedzieć.

– My mieliśmy akordeonistę – odparł.

Wyszli z przyjęcia i ruszyli wysypaną żwirem ścieżką. Muzyka stawała się coraz cichsza i teraz dobiegała z daleka. Eddie chciał powiedzieć jej o wszystkim, co przeżył, o wszystkim, co się stało. Chciał zapytać ją o rzeczy drobne, ale też i o rzeczy wielkie. Czuł, jak coś się w nim burzy i kotłuje, jak lęk wzbiera i opada. Nie wiedział, od czego zacząć.

– Ty też przez to przeszłaś? – spytał w końcu. – Spotkałaś pięć osób?

Skinęła potakująco głową.

– Pięć różnych osób – upewnił się.

Znowu skinęła głową.

– I wyjaśniły ci wszystko? I od tej pory było inaczej?

– Zupełnie inaczej – uśmiechnęła się. Dotknęła jego brody. – Wtedy zaczęłam czekać na ciebie.

Spojrzał uważnie w jej oczy. Przyjrzał się jej uśmiechowi. Zastanawiał się, czy jej czekanie było podobne do jego czekania na to spotkanie.

– Co wiesz... o mnie? To znaczy: co wiesz, odkąd... Wciąż miał problemy z wymówieniem tego słowa.

– ...odkąd umarłaś.

Zdjęła słomkowy kapelusz i odsunęła gęste, dziewczęce loki z czoła.

– Wiem o wszystkim, co się stało, kiedy byliśmy razem...

Ściągnęła usta.

– I wiem, dlaczego tak się stało...

Przyłożyła obie dłonie do piersi.

– I wiem też, że... bardzo mnie kochałeś.

Wzięła go w tym momencie za rękę. Poczuł zniewalające ciepło.

– Nie wiem natomiast, jak umarłeś – stwierdziła.

Eddie zastanowił się przez moment.

– Ja też nie jestem tego pewien – wyznał.

Czekała.

– Była tam dziewczynka, taka mała dziewczynka, podeszła pod kolejkę i znalazła się w niebezpieczeństwie...

Oczy Marguerite otworzyły się szeroko. Wyglądała tak młodo. To było trudniejsze, niż Eddie sobie wyobrażał: opowiadanie żonie o dniu, w którym zginął.

– Teraz są takie kolejki, wiesz, całkiem nowe, inne niż te, które mieliśmy kiedyś... dziś wszyscy koniecznie muszą jeździć z prędkością tysiąca mil na godzinę. No i w tej kolejce wagonik spada z dużej wysokości, potem dzięki hamulcom hydraulicznym zatrzymuje się i dalej jest spuszczaany wolno, ale coś przerwało kabel, wagonik odpadł całkiem... Nadal nie bardzo to rozumiem, ale wagonik spadł, ponieważ powiedziałem im, żeby zwolnili hamulce... to znaczy powiedziałem Domowi, to taki chłopak, który teraz ze mną pracuje... to nie była jego wina... ale tak mu powiedziałem, no, a potem próbowałem go zatrzymać, ale mnie nie słyszał, a ta dziewczynka akurat tam usiadła, a ja starałem się ją złapać i odciągnąć. Starałem się ją uratować. Poczułem dwie małe rączki i wtedy...

Urwał. Przechyliła głowę, zachęcając go, żeby mówił dalej. Westchnął głęboko.

– Odkąd tu jestem, jeszcze nie mówiłem tak dużo naraz.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się łagodnym uśmiechem, na którego widok zwilgotniały mu oczy i ogarnęła go fala smutku, i nagle, tak po prostu, nic już nie było ważne, ani jego śmierć, ani wesołe miasteczko, ani tłum, na który Eddie krzyczał: „Cofnąć się!” Dlaczego opowiadał o tym? Co on robił? Czy był z nią naprawdę? Jak skrywany żal, który wzbiera i ogarnia serce, jego dusza wpadła w pułapkę dawnych emocji, a usta zaczęły drżeć i oto wszedł w strumień tego wszystkiego, co utracił. Patrzył na swoją żonę, na swoją zmarłą żonę, swoją młodą żonę, na żonę, do której tak bardzo tęsknił, swoją jedyną żonę, i jednocześnie nie chciał już dłużej patrzeć.

- O Boże, Marguerite - szepnął. - Tak mi przykro. Tak mi przykro. Nie umiem nawet tego wyrazić. Nie umiem. Nie umiem.

Ukrył głowę w dłoniach i wreszcie powiedział to, co mówią wszyscy:

- Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Dziś są Eddiego urodziny

Na trybunach na torze wyścigowym jest pełno ludzi. Kobiety mają na głowach słomkowe kapelusze od słońca, mężczyźni palą cygara. Eddie i Noel wychodzą wcześniej z pracy i razem w podwójnych zakładach obstawiają numer jego urodzin, czyli trzydzieści dziewięć. Siedzą teraz na drewnianych, składanych krzeselkach. U ich stóp na dywanie z wyrzuconych biletów stoją dwa papierowe kubki z piwem.

Wcześniej Eddie wygrał pierwszą gonitwę tego dnia. Postawił połowę wygranej na drugą gonitwę i też wygrał, po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się coś takiego. To mu dało dwieście dziewięć dolarów jednego dnia. Po dwukrotnym przegraniu mniejszych zakładów postawił wszystko na jednego konia w gonitwie szóstej, ponieważ obaj z Noelem, kierując się pokrętną logiką, doszli zgodnie do wniosku, że skoro przyszedł na wyścigi, nie mając zbyt wiele w kieszeni, nic takiego się nie stanie, jeśli wróci do domu równie ubogi.

– Pomyśl tylko, co będzie, jak wygrasz – kusi Noel – Będziesz miał forszę na dzieciaka.

Dzwon dzwoni i konie ruszają. Trzymają się razem na długiej prostej, ich jedwabiste sierści zlewają się w płynnym ruchu. Eddie postawił na konia numer osiem, o imieniu Jersey Finch, który jest całkiem niezły, choć może nie cztery do jednego. Jednak to, co Noel właśnie powiedział o dziecku – tym, które Eddie i Marguerite mają zamiar zaadoptować – napętnia go poczuciem winy. Mogli inaczej wydać te pieniądze. Czemu on robi takie rzeczy?

Tłum podnosi się z miejsc, gdy konie wychodną z za zakrętu. Jersey Finch odłącza się z boku od reszty i przechodzi w pełny galop. Okrzyki zlewają się ze stukiem kopyt. Noel głośno wrzeszczy. Eddie

ściska bilet. Bardziej się denerwuje, niżby chciał. Dostaje gęsiej skórki. Jeden koń wysuwa się na czoło.

Jersey Finch!

Teraz Eddie ma blisko osiemset dolarów.

- Muszę zadzwonić do domu – mówi.*
- Zepsujesz wszystko – ostrzega Noel.*
- Co ty wygadujesz?*
- Jak powiesz komuś, szczęście odwróci się od ciebie.*
- Zwariowałeś!*
- Nie rób tego.*
- Zadzwonię do niej. Na pewno się ucieszy.*
- Nie ucieszy się.*

Utykając, idzie do automatu i wrzuca monetę. Marguerite podnosi słuchawkę. Eddie oznajmia jej nowinę. Noel miał rację. Wcale się nie cieszy. Każe mu wracać do domu. Odpowiada jej, żeby mu nie mówiła, co ma robić.

- Będziemy mieć dziecko – bezta go. – Nie możesz się w ten sposób zachowywać.

Eddie odwiesza słuchawkę uszy mu płoną, wraca do Noela, który stoi przy barierce i je orzeszki.

- A nie mówiłem? – stwierdza Noel.

Podchodzą do okienka i wybierają następnego konia. Eddie wyjmuje pieniądze z kieszeni. Jakaś jego część nie chce więcej grać, ale druga pragnie tego w dwójnasób, by po powrocie do domu mógł rzucić pieniądze na łóżko i powiedzieć żonie: „Proszę, kup sobie, co tylko chcesz”.

Noel przygląda mu się, gdy wsuwa banknoty przez okienko. Unosi brwi.

– Wiem, wiem – mówi Eddie niecierpliwie.

Nie wie natomiast, że Marguerite, nie mogąc do niego zadzwonić, postanowiła przyjechać na wyścigi i go odnaleźć. Przykro jej jest, że na niego nakrzyczała, przecież to jego urodziny, więc chce go przeprosić; pragnie też poprosić go, żeby więcej nie grał. Wie z doświadczenia, pamiętając o innych podobnych wieczorach, że Noel będzie go namawiał, żeby zostali do końca – Noel już taki jest. A ponieważ wyścigi są kilka minut drogi od domu, bierze torebkę i jedzie swoim używanym nash ramblerem wzdłuż Ocean Parkway. Skręca w prawo w Lester Street. Słońce już zaszło, niebo spływa czerwienią. Większość samochodów jedzie w przeciwną stronę. Dojeżdża do kładki nad Lester Street, którą kiedyś chodziło się nad jezdnią na wyścigi, dopóki właściciele toru nie zapłacili miastu za sygnalizację świetlną, dzięki czemu kładka stała się o wiele mniej uczęszczana.

Ale tej nocy nie jest całkiem pusta. Stoi na niej dwóch młodzińców, którzy nie chcą rzucać się w oczy, dwóch siedemnastolatków, ściganych kilka godzin wcześniej przez sprzedawcę ze sklepu monopolowego, gdzie ukradli pięć kartonów papierosów i trzy półlitrowe butelki whisky Old Harper's. Teraz, kiedy alkohol już się skończył i wiele papierosów zostało wypalonych, wieczór stał się nudny i wymachują pustymi butelkami nad zardzewiałą barierką.

– Myślisz, że rzucę? – pyta jeden.

– Myślę, że rzucisz – odpowiada drugi.

Pierwszy upuszcza butelkę i obaj przechylają się przez metalową kratę, śledząc ją wzrokiem. Butelka o mało nie trafia w samochód i rozbija się na jezdni.

– Uuuuu! – drze się ten drugi.

– Teraz twoja kolej, palancie.

Drugi chłopak wyprostowuje się, wyciąga rękę z butelką i wybiera prawy pas, na którym ruch jest niewielki. Huśta butelką w tę i z powrotem, jakby starał się tak wycelować, żeby upadła na ziemię między samochodami, jakby to był jakiś rodzaj sztuki, a on sam był artystą.

Palce uwalniają uchwyt. Chłopak zdaje się uśmiechać.

Czterdzieści stóp niżej Marguerite nie przychodzi do głowy, żeby spojrzeć do góry, przez myśl jej nie przechodzi, że coś może się dziać na kładce. Nie myśli o niczym innym, jak tylko o wyciągnięciu Eddiego z wyścigów, dopóki jeszcze zostały mu jakieś pieniądze. Zastanawia się, w której części trybun go szukać, gdy nagle butelka po whisky Old Harper's rozbija przednią szybę w drobny mak. Samochód skręca gwałtownie i uderza w betonowy murek, jej ciało, bezwładne jak korpus szmacianej lalki, zderza się z drzwiami i deską rozdzielczą, a uderzenie o kierownicę uszkadza wątrobę, łamie jej rękę i powoduje tak silny uraz głowy, że przestają do niej docierać jakiegokolwiek dźwięki. Nie słyszy pisku hamulców innych samochodów. Nie słyszy gorączkowych klaksonów. Nie słyszy głuchego odgłosu gumowych podeszew sportowych butów, dobiegającego ze schodów kładki nad Lester Street.

Miłość, jak deszcz, może czerpać siły z góry – poi wówczas obficie zakochane pary, a wszystko przesiąknięte jest radością. Ale czasem, w okresach smutnej życiowej posuchy, miłość wysycha na powierzchni i wtedy musi czerpać siły z wewnątrz – stara się wówczas przetrwać, zapuszczając głębiej korzenie.

Wskutek wypadku przy Lester Street Marguerite wylądowała w szpitalu. Została przykuta do łóżka na blisko pół roku. Uszkodzona wątroba zregenerowała się, ale związane z chorobą opóźnienie i wydatki kosztowały ich adopcję. Dziecko, na które czekali, trafiło do kogoś innego. Niewypowiedziane oskarżenia długo nie dawały im spokoju – jak cień przechodziły od męża do żony. Marguerite na długi czas wyciszyła się i zamknęła w sobie, Eddie zatracił się zupełnie w pracy. Cień rozgościł się przy ich stole i posiłki jedli w jego obecności, wśród głuchego szczerku widelców i talerzy. Kiedy rozmawiali, mówili o rzeczach nieistotnych. Fala ich miłości cofnęła się i skryła gdzieś głęboko. Eddie nie grał więcej na wyścigach. Śniadania z Noelem stopniowo ustały, gdyż nie potrafili już rozmawiać swobodnie jak kiedyś.

Park rozrywki w Kalifornii wprowadził pierwsze kolejki górskie na metalowych szynach – skręcały one pod wyjątkowo ostrym kątem, co było niemożliwe w przypadku starych drewnianych torów – i nagle kolejki, które zdążyły już ulec pewnemu zapomnieniu, na nowo stały się modne. Pan Bullock, właściciel wesołego miasteczka, zamówił stalowe tory i nowy model do Rubylandu, a Eddie nadzorował prace montażowe i sztorcował monterów, sprawdzając dokładnie każdą ich czynność. Nie ufał niczemu, co porusza się tak szybko. W dodatku pod kątem sześćdziesięciu stopni. Pewien był, że komuś w końcu się coś stanie. A jednak pozwalało mu to zająć myśli.

Muszla Gwiazdnej Orkiestry została rozebrana. Podobnie jak Młot i Tunel Miłości, który teraz młodzi uważali za staroświecki.

Kilka lat później wprowadzono nowe łódki, które nazywano Autopluskiem i które, ku zaskoczeniu Eddiego, stały się bardzo popularne. Płynęło się wodnymi korytami, by w końcu z wielkim pluskiem spaść do dużego stawu. Eddie nie był w stanie pojąć, dlaczego ludzie tak bardzo lubią moczyć się w wodzie, skoro zaledwie trzysta jardów dalej jest ocean. Ale te urządzenia też sprawdzał i reperował, stojąc bosy w wodzie, patrząc pilnie, czy żadna łódź nie obluźowała się i czy nie grozi jej wypadnięcie z toru.

Po jakimś czasie mąż i żona zaczęli znowu rozmawiać i pewnego wieczoru Eddie nawet napomknął o adopcji. Marguerite potarła czoło i powiedziała:

– Jesteśmy już za starzy.

– Co to znaczy za starzy dla dziecka? – powiedział Eddie na to.

Mijały lata. I choć dziecko nigdy nie pojawiło się w ich życiu, rany z wolna zaczęły się zblizniać, a wspólne bycie razem coraz szczelniej wypełniało tę przestrzeń, którą mieli zarezerwowaną dla niego. Rano ona robiła mu grzanki i kawę, a on podwoził ją do biura, gdzie pracowała jako sprzątaczką, a potem jechał na nabrzeże. Czasami po południu wychodziła wcześniej i szła z nim na molo, towarzyszyła mu w codziennym obchodzie, jeździła na koniach karuzeli albo w pomalowanych na żółty kolor muszlach, a Eddie objaśniał jej działanie mechanizmów i połączenia kabli albo słuchał pracy silników.

Pewnego czerwcowego wieczoru poszli po pracy nad morze, gdzie jedli winogronowe lody, brodząc na bosaka w płytkiej wodzie i w mokrym piasku. Rozejrzeli się dokoła i stwierdzili, że są najstarszymi plażowiczami.

Marguerite powiedziała coś o kostiumach bikini, jakie teraz nosiły dziewczęta, i że nigdy nie ośmieliłaby się czegoś takiego włożyć, a Eddie odparł, że w takim razie dziewczyny mają szczęście, bo gdyby włożyła bikini, żaden mężczyzna nie patrzyłby na nie. I

mimo że w tym momencie Marguerite była już dobrze po czterdziestce, jej biodra znacznie się poszerzyły, a wokół oczu pojawiła się siateczka zmarszczek – z wdzięcznością podziękowała Eddiemu i czule spojrzała na jego krzywy nos i szeroką szczękę. Fala miłości ogarnęła ich znowu, jak obmywające ich stopy morze.

Trzy lata później panierowała kurze piersi w kuchni ich mieszkania, w którym mieszkali przez wiele lat i w którym zostali po śmierci matki Eddiego, ponieważ Marguerite stwierdziła, że przypomina jej ono czasy ich dzieciństwa. Lubiała też patrzeć przez okno na starą karuzelę. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, palce jej prawej dłoni rozprostowały się w niekontrolowany sposób. Potem zakrzywiły się, ale nie mogła ich zwinąć w pięść. Mięso wyslizgnęło się z dłoni. Wpadło do zlewu. W ramieniu zaczęło coś pulsować. Oddech stał się przyśpieszony. Wpatrywała się chwilę w rękę z nieruchomymi palcami, jakby ta ręka należała do kogoś innego, do kogoś ściskającego duży, niewidzialny słoik.

Potem wszystko zaczęło się rozplýwać.

– Eddie?! – zawołała, ale zanim przyszedł, osunęła się zemdlna na podłogę.

Był to, jak to określono, guz mózgu, a choroba postępowała nieubłaganie, jak w tylu innych przypadkach, kiedy leczenie łagodzi jedynie jej przebieg, kiedy włosy wypadają garściami, ranki upływają wśród natrętnego szumu maszyn do naświetlania, a wieczory na wymiotowaniu w szpitalnej ubikacji.

W ostatnich dniach, kiedy rak odniósł niezaprzeczalne zwycięstwo, lekarze mówili jedynie: „Odpoczywać. Jak najmniej się przejmować”. Gdy zadawała pytania, kiwali głowami ze współczuciem, dawkując te skinienia jak odmierzane kroplomierzem lekarstwo. Świadoma była tego, że to taki rytuał, że w ten sposób

starają się być mili, podczas gdy tak naprawdę są bezradni, a kiedy jeden z nich zasugerował „uporządkowanie pani spraw”, poprosiła, aby wypisano ją ze szpitala. Właściwie bardziej zażądała, niż poprosiła.

Eddie pomógł jej wejść po schodach i wziął od niej płaszcz, kiedy ona rozglądała się po mieszkaniu. Chciała coś ugotować, ale on posadził ją i nastawił wodę na herbatę. Dzień wcześniej kupił kotlety jagnięce i tego wieczoru udało im się jakoś przebrnąć przez kolację z udziałem kilku zaproszonych przyjaciół i kolegów z pracy, których większość wykrzykiwała na widok Marguerite i jej bladozielonej cery kwestie w rodzaju: „Patrzcie, patrzcie, kto do nas wrócił!”, zupełnie jakby to było przyjęcie powitalne, a nie pożegnalne.

Jedli purée ze słodkich kartofli podane na talerzach w kwiaty, na deser był mleczny nugat, a kiedy Marguerite skończyła drugi kieliszek wina, Eddie nalał jej trzeci.

Dwa dni później obudziła się z krzykiem. W ciszy szarego poranka zawiózł ją do szpitala. Rozmawiali urywanymi zdaniami, głównie o tym, który lekarz może być teraz na dyżurze i do kogo Eddie powinien zadzwonić. A choć siedziała na drugim fotelu, czuł ją wszędzie, w kierownicy, w pedale gazu, w mruganiu własnych powiek, w przelanej ślinie. Całym sobą, każdym ruchem, jaki wykonywał, odczuwał potrzebę przytulenia jej.

Miała czterdzieści siedem lat.

– Zabrałeś legitymację? – spytała.

– Legitymację... – powtórzył tępo.

Wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy, a kiedy znowu przemówiła, jej głos był słabszy, jakby ten oddech wiele ją kosztował.

– Ubezpieczeniową – wykrztusiła z trudem.

– Tak, tak – odparł szybko. – Mam legitymację.

Zatrzymali się na parkingu i Eddie zgasił silnik. Nagle ogarnął ich zbyt wielki spokój i zapadła zbyt wielka cisza. Słyszał każdy szmer, ocieranie się własnego ciała o skórzaną tapicerkę siedzenia, kliknięcie klamki samochodu, wdarcie się świeżego powietrza, odgłos własnych kroków na chodniku, brzęk kluczyków.

Otworzył drzwi samochodu i pomógł jej wysiąść. Ramiona miała uniesione aż pod brodę, jak marznące dziecko. Włosy opadły jej na twarz. Pociągnęła nosem i podniosła głowę. Skinęła na niego i pokazała mu wzrokiem majaczące w dali wielkie białe koło z czerwonymi wagonikami, wiszącymi jak zabawki na choince.

– Widać stąd – westchnęła.

– Diabelski młyn? – spytał.

Odwróciła wzrok.

– Dom.

Eddie nie spał w niebie, więc wydawało mu się, że z każdą spotkaną osobą spędził nie więcej niż kilka godzin. Ponieważ jednak nie było tu dnia ani nocy, snu ani czuwania, zachodu słońca, przyływów, posiłków ani innych stałych zjawisk, nie mógł być niczego pewny.

Jedyne, czego pragnął, będąc z Marguerite, to czas – mieć jak najwięcej czasu – i dostał go: czas nocny i dzienny, i znów nocny. Wchodzili przez drzwi na wybrane przyjęcia weselne i rozmawiali o wszystkim, o czym chciał rozmawiać. Na weselu szwedzkim powiedział jej o swoim bracie Joem, który zmarł dziesięć lat wcześniej na zawał, zaledwie miesiąc po kupieniu nowego mieszkania na Florydzie. Na ślubie rosyjskim spytała, czy został w ich starym mieszkaniu, a on odpowiedział, że tak, co ją bardzo ucieszyło. Na odbywającym się pod gołym niebem ślubie w libańskiej

wiosce opowiedział jej, co mu się przytrafiło w niebie, a ona zdawała się słuchać i jednocześnie wszystko wiedzieć. Mówił o Niebieskim Człowieku i jego historii, o tym, dlaczego jedni umierają, podczas gdy inni żyją, mówił o Kapitanie i o jego opowieści o ofierze. Kiedy mówił o ojcu, Marguerite przypomniała mu, ile nocy zadręczał się swoją złością na niego, upokorzony jego milczeniem. Eddie wyjaśnił jej, że się z nim pogodził, a jej brwi uniosły się, usta rozchyliły i Eddie poczuł to dawne ciepło, za którym tęsknił tyle lat, to najzwyczajniejsze poczucie, że właśnie uszczęśliwił swoją żonę.

Pewnego wieczoru opowiedział jej o zmianach w Rubylandzie, o tym, że zdemontowano dawne atrakcje, że dawny lekki jazz w pasażu rozrywki został wyparty przez ryczącego rock'n'rolla, że stare kolejki górskie otrzymały teraz spiralne zakręty, a wagoniki wręcz zwisają z torów. Mówił też o tym, że „tunele ciemności”, których główną atrakcją były kiedyś postacie kowbojów wymalowane świecąca farbą, teraz wyposażone są w ekrany wideo i że ma się w nich wrażenie, jakby cały czas oglądało się telewizję.

Opowiedział jej o nowych nazwach. Nie było już zwykłej Kolejki Górskiej ani Toru Gokartowego. Nadeszły czasy nazw w stylu: Szalony Ekspres, Błękitna Strzała, Wielki Wir i Top Gun.

– Dziwnie to brzmi, nie sądzisz? – spytał.

– Brzmi tak – powiedziała z zadumą – jakby to było lato kogoś innego, nie nasze.

Eddie uświadomił sobie, że od lat czuł to samo.

– Powinienem być robić coś innego, pracować gdzie indziej – powiedział jej. – Przepraszam, że nigdy nie wyrwaliśmy się stamtąd. Tata. Noga. Po wojnie zawsze czułem się taki do niczego.

Zobaczył, że po jej twarzy przemknął cień smutku.

– Co się stało? – spytała. – Wtedy podczas wojny?

Nigdy jej o tym nie mówił. To było całkiem zrozumiałe. Za jego czasów żołnierze robili to, co musieli robić, i nie mówili o tym po powrocie do domu. Pomyślał o ludziach, których zabił. Pomyślał o strażnikach. Pomyślał o krwi na swoich rękach. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mu to wybaczone.

- Zgubiłem gdzieś samego siebie – wyznał.
- Nie – zaprzeczyła jego żona.
- Tak – szepnął, a ona już nic więcej nie powiedziała.

Czasami tam w niebie leżeli przy sobie blisko. Ale nie spali. Na ziemi – powiedziała Marguerite – kiedy się zasypia, czasami człowiekowi śni się jego niebo i te sny pomagają je tworzyć. Ale teraz nie było powodu dla takich snów.

Zamiast spać Eddie trzymał ją w ramionach, krył twarz w jej włosach i głęboko, długo oddychał. W pewnym momencie spytał żonę, czy Bóg wie, że on tu jest. Uśmiechnęła się. „Oczywiście” – odparła, mimo to, że Eddie przyznał, iż część życia spędził, ukrywając się przed Bogiem, a przez resztę czasu miał nadzieję, że pozostaje niezauważony.

Czwarta lekcja

Wreszcie, po wielu rozmowach, Marguerite przeprowadziła Eddiego przez kolejne drzwi. Znaleźli się znowu w małym, okrągłym pokoju. Usiadła na stołku i splotła dłonie. Odwróciła się do lustra i Eddie ujrzał jej odbicie. Jej tak, ale swojego nie.

– Tu czeka panna młoda – wyjaśniła, gładząc dłonią włosy i jakby nieobecny wzrokiem patrząc w lustro. – Nadchodzi chwila, w której myśli o tym, co robi. Kogo wybrała. Kogo będzie kochać. Jeśli to dobry wybór, Eddie, chwila ta jest po prostu cudowna.

Odwróciła się do niego.

– Przez wiele lat musiałeś żyć bez miłości, prawda?

Eddie nic nie powiedział.

– Czuleś się tak, jakby ci coś odebrano. Bo za szybko odeszłam.

Wolno pochylił głowę. Jej lawendowa suknia rozpościerała się przed nim.

– Bo naprawdę odeszłaś za szybko – rzekł.

– Byłeś zły na mnie.

– Nie.

W jej oczach pojawił się błysk.

– No dobrze. Byłem – przyznał.

– Był powód tego wszystkiego.

– Jaki powód? – spytał. – Czy w ogóle może być jakiś powód? Umarłaś, mając czterdzieści siedem lat. Byłaś najlepszą istotą pod

słońcem i umarłaś, straciłaś wszystko. I ja straciłem wszystko. Straciłem jedyną kobietę, którą kochałem w życiu.

Wzięła go za rękę.

– Wcale nie straciłeś. Byłam przez cały czas. A ty i tak mnie kochałeś. Utracona miłość nie przestaje być miłością, Eddie. Przybiera inną formę, to wszystko. Nie widzisz uśmiechu drugiej osoby, nie podajesz jej jedzenia, nie dotykasz jej włosów ani nie wirujesz z nią na parkiecie. Ale kiedy jedno zmysły słabną, inne się wyostrzają. Pamięć. Pamięć staje się twoją partnerką. Karmisz ją. Utrzymujesz ją. Tańczysz z nią.

– Życie musi się kiedyś skończyć – dodała. – Miłość nie.

Eddie pomyślał o tych wszystkich latach, które upłynęły od chwili, gdy pochował żonę. To było jak spoglądanie przez płot. Miał świadomość, że gdzieś tam istnieje inny rodzaj życia, ale nie mieściło mu się w głowie, że sam może kiedyś stać się jego częścią.

– Nigdy nie pragnąłem nikogo innego – wyznał cicho.

– Wiem – odparła.

– Cały czas zakochany byłem w tobie.

– Wiem – pokiwała głową. – Czułam to.

– Tutaj? – spytał.

– Nawet tutaj – odparła z uśmiechem. – Taka może być moc miłości.

Wstała i otworzyła drzwi, a Eddie zamrugał oczami, wchodząc za nią. Był to dość mroczny pokój, ze składanymi krzesłami i akordeonistą, siedzącym w kącie.

– Zostawiłam na koniec – powiedziała.

Wyciągnęła do niego rękę. I po raz pierwszy w niebie on wyszedł z inicjatywą kontaktu, zbliżył się do niej, niepomny na bolącą nogę,

na niemile doznania, jakie dotąd wywoływały w nim taniec, muzyka i śluby, uświadamiając sobie w tym momencie, że tak naprawdę wynikały one z samotności.

– Brakuje jedynie – powiedziała Marguerite, przyjmując podane jej ramię – kart do bingo.

Uśmiechnął się promiennie i objął ją w talii.

– Czy mogę cię o coś spytać?

– Tak.

– Jak to się dzieje, że wyglądasz tak samo jak tego dnia, kiedy cię poślubiłem?

– Pomyślałam sobie, że tak ci się spodoba.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Czy możesz to zmienić?

– Zmienić? – Sprawiała wrażenie rozbawionej. – Na co?

– Na to, jak było pod koniec.

Opuściła ręce.

– Nie byłam zbyt piękna pod koniec.

Eddie pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć, powiedzieć, że to nieprawda.

– Możesz?

Zawahała się chwilę, a potem wróciła w jego ramiona. Akordeonista zagrał znajome takty. Nuciała mu do ucha i poruszali się razem, wolno, w dobrze zapamiętanym rytmie, jaki istnieje tylko między mężem i żoną.

Sprawiliś, że cię pokochałam

Nie chciałam, żeby tak się stało

Nie chciałam, żeby tak się stało...

I cały czas wiedzieliś o tym

I cały czas wiedzieliś o tym...

Kiedy cofnął głowę, miała znowu czterdzieści siedem lat, siateczkę drobnutkich zmarszczek wokół oczu, przerzedzone włosy, wiotką skórę na podbródku. Uśmiechnęła się i on się uśmiechnął, a ona była dla niego tak piękna jak zawsze, i zamknął oczy i po raz pierwszy wypowiedział to, co czuł od chwili, kiedy znowu ją ujrzał: „Nie chcę iść dalej. Chcę tu zostać”.

Kiedy otworzył oczy, jego ramiona wciąż obejmowały kształt jej postaci, ale ona zniknęła, podobnie jak wszystko inne.

PIĄTEK, 15.15

Dominguez nacisnął przycisk i drzwi windy zamknęły się z łośkotem. Kabina z szarpnięciem ruszyła do góry. Przez zbrojone szkło obserwował znikający w dole hol.

– Cud, że ta winda jeszcze działa – zauważył. – Musi mieć chyba ze sto lat.

Mężczyzna stojący obok niego, notariusz zajmujący się sprawami spadkowymi, skinął lekko głową, udając zainteresowanie. Zdjął kapelusz – było duszno i się spocił – patrząc na zapalające się kolejno światełka wprawione w mosiężną tabliczkę. Była to jego trzecia sprawa tego dnia. Jeszcze jedna i będzie mógł wrócić do domu na kolację.

– Eddie nie miał wiele – powiedział Dominguez.

– Mhm – mruknął mężczyzna, ocierając czoło chustką do nosa.
– W takim razie to nie potrwa długo.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem, drzwi otworzyły się hałaśliwie. Mężczyźni skierowali się do mieszkania 6B. Korytarz wykładany był czarno-białymi kafelkami, niezmiennymi od lat sześćdziesiątych, w powietrzu unosiły się kuchenne zapachy – czosnku i smażonych ziemniaków. Dozorca domu dał im klucze, wyznaczając przy tym ostateczny termin – do najbliższej środy – opróżnienia mieszkania dla następnego lokatora.

– Ho ho... – powiedział Dominguez, kiedy po otwarciu drzwi weszli do kuchni. – Niezły porządeczek, jak na starszego pana. – Zlew był czysty. Szafki wytarte. Pan Bóg świadkiem, pomyślał, że u niego w domu nigdy nie jest tak czysto.

– Papiery wartościowe? – spytał mężczyzna. – Wyciągi bankowe? Bizuteria?

Na samą myśl o Eddiem noszącym biżuterię Dominguezowi zachciało się śmiać. Uświadomił sobie nagle, jak bardzo brakuje mu starszego kolegi, jak dziwnie jest bez niego w wesołym miasteczku, kiedy nikt nie wykrzykuje poleceń, nie przygląda się wszystkiemu okiem czujnym jak u jastrzębia. Nawet nie opróżnili jego szafki. Nie mieli serca. Zostawili jego rzeczy w warsztacie, tam gdzie były, jakby miał nazajutrz przyjść.

– Nie wiem. Może sprawdzić w sypialni?

– W tej komodzie?

– Tak. Wie pan, ja tylko raz tu byłem. Prawdę mówiąc, znam Eddiego tylko z pracy.

Dominguez oparł się o stół i wyjrzał przez kuchenne okno. Zobaczył starą karuzelę. Spojrzał na zegarek. *Skoro o pracy mowa – pomyślał.*

Notariusz otworzył górną szufladę komody. Odsunął na bok skarpetki, zwinięte w porządne kłębuszki, bieliznę, białe slipki ułożone w równy stos. Pod nimi znajdowała się skórzana szkatułka, sprawiająca wrażenie, jakby mogła kryć ważne rzeczy. Otworzył ją w nadziei na to, że coś znajdzie. Zmarszczył brwi. Nic. Żadnych wyciągów bankowych. Żadnych polis ubezpieczeniowych. Tylko czarna jedwabna muszka, menu z chińskiej restauracji, stara talia kart, list z medalem z wojska i wyblakłe polaroidowe zdjęcie przedstawiające mężczyznę w średnim wieku, stojącego nad urodzinowym tortem w otoczeniu dzieci.

– Hej! – zawołał Dominguez z drugiego pokoju. – O to panu chodzi?

Wszedł, trzymając w ręku plik kopert, które wyjął z szuflady w kuchni: kilka z miejscowego banku, kilka ze Stowarzyszenia Weteranów. Notariusz przejrzał je pobieżnie i nie podnosząc głowy, powiedział: „Starczy”. Wziął jeden z wyciągów bankowych i zapamiętał saldo. Potem, jak to często zdarzało mu się przy okazji

takich wizyt, pogratulował sobie w duchu własnej zapobiegliwości, swoich wszystkich akcji, obligacji i ubezpieczenia emerytalnego. Przynajmniej nie skończy jak ten biedak, po którym została tylko wysprzątana kuchnia.

Piąta osoba, która Eddie spotkał w niebie

Biel. Teraz zewsząd otaczała go biel. Nie było ani ziemi, ani nieba, ani horyzontu między nimi. Tylko czysta i cicha biel, tak milcząca jak padający o świcie gęsty śnieg.

Tylko biel Eddie widział. Słyszał jedynie własny ciężki oddech i potem echo tego oddechu. Wciągał powietrze i słyszał głośniejszy wdech. Wydychał, i zaraz słyszał wydech.

Zacisnął mocno powieki. Cisza jest jeszcze gorsza, kiedy wiadomo, że nic jej nie zakłóci, a Eddiemu było to wiadome. Jego żona odeszła. Pragnął jej rozpaczliwie, jeszcze choć minutkę, pół minutki, pięć sekund nawet, ale nie było sposobu, aby jej dotknąć, zawołać do niej czy pomachać, lub chociażby zobaczyć jej zdjęcie. Czuł się tak, jakby zwałił się po schodach na sam dół. Jego dusza była pusta. Nie miał w sobie żadnego impulsu do działania. Zawisł bezwładnie i martwo w pustce, jak zawieszony na haku, jakby wszystkie soki z niego uszły. Mógł tak wisieć dzień lub miesiąc. To mógł być nawet cały wiek.

Dopiero gdy rozległ się cichy, ale przejmujący dźwięk, poruszył się, a jego powieki ciężko się uniosły. Był już w czterech zakątkach nieba, spotkał cztery osoby, i choć wszystkie na początku stanowiły dla niego tajemnicę, wyczuł, że tym razem jest to coś całkiem innego.

Dziwny odgłos rozległ się znowu, teraz głośniejszy, i Eddie, w nabytym w ciągu swego długiego życia instynkcie obronnym, zacisnął pięści, przy czym przekonał się, że w prawej ręce ściska łaskę. Ramiona miał pokryte plamami wątrobowymi. Paznokcie były

małe i żółtawe. Na nagich nogach widać było czerwoną wysypkę – półpasiec, którego nabawił się w ostatnich tygodniach ziemskiego życia. Odwrócił wzrok od widoku własnego rozkładu. Wedle ludzkiej rachuby jego ciało było w stadium terminalnym.

Znowu rozległ się dźwięk, wysoki pasaż składający się z nieregularnych, jakby zduszonych gdaknięć i momentów ciszy. Za życia Eddie słyszał ten dźwięk niemal co noc, w swoich koszmarach, i wzdrygnął się na jego wspomnienie: wioska, ogień, Smitty i ten hałas, piskliwe gdakanie, które jak się okazało, dobywało się z jego własnego gardła, gdy usiłował przemówić.

Zacisnął zęby, jakby chciał w ten sposób go uciszyć, ale dźwięk brzmiał nadal, jak alarm, na który nikt nie reaguje, aż Eddie wrzasnął w dławiającą biel: „Co to jest? Czego chcesz?!”

W tym momencie wysoki dźwięk przeniósł się w tło, gdzie górował nad innym dźwiękiem, płynnym, niekończącym się pomrukiem – będącym odgłosem płynącej rzeki – a biel skurczyła się do słonecznej plamy odbijającej lśnienie wody. Pod stopami Eddiego pojawił się grunt. Laska dotknęła czegoś twardego. Stał na wysokim brzegu rzeki, wiatr owiewał mu twarz, a mgła powlekała jego skórę wilgotnym szklivem. Spojrzał w dół i zobaczył, wreszcie, źródło tych przejmujących dźwięków, i zaczerwienił się z ulgą człowieka, który przekonuje się, ściskając kurczowo kij baseballowy w rękę, że w domu nie ma żadnego intruza: ten dźwięk, ten krzyk, gwizd, żałosny pisk był po prostu kakofonią głosów dzieci, których tysiące bawiły się w wodzie, piszcząc i zanosząc się niewinnym śmiechem.

„Czy to właśnie śniłem? – pomyślał. – Przez cały ten czas? Dlaczego?” – Przyglądał się uważnie drobnym postaciom: jedne skakały, inne brodziły, jeszcze inne nosiły wiaderka z wodą albo tarzały się w wysokiej trawie. Zauważył, że wszędzie dokoła panuje niezwykle spokój, nie ma dokazywania, jak to na ogół bywa z dziećmi. Zauważył coś jeszcze. Nie było dorosłych. Ani nawet

nastolatków. Były tylko małe dzieci o skórze koloru ciemnego drewna, najwyraźniej same utrzymujące wśród siebie porządek.

I wtedy wzrok Eddiego padł na biały głaz. Stała na nim, z dala od pozostałych, szczupła dziewczynka i patrzyła w jego kierunku. Wyciągnęła obie ręce i zaczęła do niego zapraszająco machać. Uśmiechała się. Zawahał się. Znowu pomachała i kiwnęła głową, jakby mówiła: *Tak, o ciebie chodzi.*

Eddie sięgnął w dół laską, starając się wymacać drogę na zboczu. Poślizgnął się, kolano poddało się, nogi go nie utrzymały. Ale nim uderzył o ziemię, poczuł nagły powiew wiatru, który uderzył go w plecy, porwał w przód i postawił, i tak oto znalazł się przed dziewczynką, jakby stał tam przez cały czas.

Dziś są Eddiego urodziny

Ma pięćdziesiąt jeden lat. Sobota. To pierwsze urodziny bez Marguerite. Przyrządza sobie rozpuszczalną kawę w kubku Z tworzywa i zjada dwie grzanki z margaryną. Po wypadku żony Eddie protestował przeciwko obchodzeniu urodzin, mówiąc: „I po co mam przypominać sobie ten dzień?” Ale Marguerite nalegała. Piekła tort. Zapraszała przyjaciół. Zawsze kupowała torebkę toffi i przewiązywała ją wstążką. „Nie można wyrzekać się urodzin” – mawiała.

Teraz kiedy jej nie ma, Eddie stara się to zrobić. W pracy tkwi przywiązany pasem do toru kolejki górskiej, wysoko i samotnie, jak alpinista. Wieczorem ogląda w mieszkaniu telewizję. Wcześniej kładzie się spać. Nie ma tortu. Nie ma gości. Nie jest trudno zachowywać się tak jak zwykle, jeśli człowiek czuje się tak jak zwykle i ta monotonia poddania się wyznacza rytm dni Eddiego.

Ma sześćdziesiąt lat, środa. Przychodzi wcześniej do warsztatu z drugim śniadaniem w papierowej torbie. Odrywa kawałek wędzonej kielbasy z kanapki, przyczepia do haczyka i rzuca żyłkę w morze przez dziurę w pomoście. Patrzy, jak kielbasa unosi się na wodzie, aż wreszcie znika, połknięta przez morze.

Ma sześćdziesiąt osiem lat, sobota. Niechcący rozsypuje pigułki na blacie. Dzwoni telefon. Joe, jego brat, telefonuje z Florydy. Składa mu najlepsze życzenia. Opowiada o swoim wnuku. Opowiada o mieszkaniu. Eddie powtarza „aha” co najmniej pięćdziesiąt razy.

*

Ma siedemdziesiąt pięć lat, poniedziałek. Wkłada okulary i sprawdza raporty. Zauważa, że ktoś nie przyszedł na swoją zmianę poprzedniego wieczoru i że w Spiralnym Tunelu nie sprawdzono hamulców. Wzdycha i bierze ze ściany tabliczkę z napisem: CHWILOWO NIECZYNNE Z POWODU PRZEGLĄDU TECHNICZNEGO – po czym zanosi ją do wejścia Tunelu, gdzie osobiście sprawdza hamulce.

Ma osiemdziesiąt dwa lata, wtorek. Pod bramę wesołego miasteczka podjeżdża taksówka. Eddie wsuwa się na przednie siedzenie i wciąga za sobą łaskę.

– Ludzie na ogół wolą jeździć z tyłu – mówi kierowca.

– Przeszkadza to panu? – pyta Eddie.

Taksówkarz wzrusza ramionami.

– Nie, nie przeszkadza.

Eddie patrzy przed siebie. Nie mówi, że w ten sposób czuje się trochę tak, jakby sam prowadził, a nie prowadzi samochodu, odkąd nie przedłużono mu prawa jazdy dwa lata temu.

Taksówka zawozi go na cmentarz. Idzie na grób matki i na grób brata, przy grobie ojca stoi tylko krótką chwilę. Jak zwykle na koniec zostawia grób żony. Oparty na łasce, patrzy na nagrobek i myśli o różnych rzeczach. Toffi. Myśli o toffi. Pewnie teraz straciłby przez nie wszystkie zęby, ale i tak zjadłby toffi, gdyby tylko mógł to zrobić w jej towarzystwie.

Ostatnia lekcja

Dziewczynka wyglądała na Azjatkę, miała może pięć, może sześć lat, piękną cerę w kolorze cynamonu, włosy o barwie ciemnej dojrzałej śliwki, mały płaski nosek, pełne usta, które radośnie rozchyłały się, ukazując drobne ząbki, i niezwykle, przykuwające uwagę oczy, czarne jak skóra foki, z kropeczkami bieli w charakterze źrenic. Uśmiechała się i machała z zapalem, dopóki Eddie nie podszedł jeszcze jeden krok bliżej, a wtedy przedstawiła się.

– Tala – wymówiła swoje imię, przykładając dłoń do piersi.

– Tala – powtórzył Eddie.

Uśmiechnęła się, jakby właśnie zaczęła się zabawa. Wskazała na swoją haftowaną bluzkę, luźno zwisającą na ramionach i mokrą od wody z rzeki.

– *Baro* – powiedziała.

– Baro.

Dotknęła czerwonej tkaniny omotanej wokół tułowia i nóg.

– *Saya*.

– Saya.

Potem przysła kolej na drewniane buty – *bakya*, potem na lśniące muszle morskie u stóp – *capiz* potem na leżącą przed nią plecioną bambusową matę – *banig*. Gestem zaprosiła Eddiego, żeby usiadł, i sama też usiadła, podwijając nogi.

Żadne z dzieci nie zwracało na niego uwagi. Chlapały się i kapały w rzece, zbierały kamienie z dna. Eddie przyglądał się, jak

jeden z chłopców naciera kamieniem ciało drugiego, najpierw plecy, potem ramiona.

– Myje – powiedziała dziewczynka. – Tak jak robiła nasza *ina*.

– Ina? – spytał Eddie.

Dziewczynka chwilę uważnie przyglądała się jego twarzy.

– Mama – wyjaśniła.

Eddie rozmawiał z wieloma dziećmi w swoim życiu, ale w tym głosie zupełnie nie wyczuwał zwykłej rezerwy wobec dorosłych. „Ciekawe – pomyślał – czy ona i inne dzieci same wybrały sobie niebo nad rzeką, czy też, biorąc pod uwagę to, że niewiele miały wspomnień, ta sielankowa sceneria została wybrana dla nich”.

Wskazała kieszeń Eddiego. Spojrzał w dół. Wyciorki.

– To? – spytał. Wyciągnął je i skrzył razem, jak robił to za swoich czasów w wesołym miasteczku. Podniosła się i uklękła, śledząc uważnie wzrokiem ruchy jego palców. Ręce mu drżały.

– Widzisz? To jest... – zakręcił ostatni raz – pies.

Wzięła go do ręki i uśmiechnęła się – uśmiechem, jaki Eddie widział tysiące razy.

– Podoba ci się? – spytał.

– Ty spalić mnie – powiedziała.

Eddie poczuł, jak zaciskają mu się szczęki.

– Co powiedziałaś?

– Ty spalić mnie. Ty spalić mnie w ogień.

Jej głos był bezbarwny, jak u dziecka recytującego zadana lekcję.

– Moja *ina* mówi ja czekać w *nipa*. Moja *ina* mówi ja ukryć się.

Eddie zniżył głos, wolno i starannie dobierając słowa.

– Przed... czym się kryłaś, dziewczynko?

Chwilę obracała w palcach pieska z wyciorków, a potem zanurzyła go w wodzie.

– *Sundalong* – wyjaśniła.

– Sundalong?

Podniosła głowę.

– Żołnierz.

Eddie odczuł to słowo jak wbity w język nóż. W jego umyśle przewinęły się obrazy. Żołnierze. Eksplozje. Morton. Smitty. Kapitan. Miotacze ognia.

– Tala... – szepnął.

– Tala – odparła, uśmiechając się na dźwięk swego imienia.

– Dlaczego jesteś tutaj, w niebie?

Opuściła zwierzątko.

– Ty spalić mnie. Ty spalić mnie w ogień.

Eddie poczuł dudnienie w głowie. Zaczął szybko oddychać.

– Tam na Filipinach... to ty byłaś... cień.... w tamtej chacie...

– *Nipa, ina* mówi tam bezpiecznie. Czekać na mnie. Bezpiecznie. Wtedy duży huk. Duży ogień. Ty spalić mnie. – Wzruszyła ramionami. – Niebezpiecznie.

Eddie przełknął ślinę. Dłonie mu drżały. Spojrzał w przepastne czarne oczy i usiłował się uśmiechnąć, jakby to było potrzebne dziewczynce lekarstwo. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i to dopiero go zdruzgotało. Ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona i płuca poddały się. Ciemność, w której cieniu żył przez te wszystkie lata, nareszcie się ujawniła, to było rzeczywiste, ciało i krew, to dziecko,

to piękne dziecko, zabił je, spalił je żywcem, koszmary, które go nawiedzały, zasłużył na wszystkie, ile ich było. Jednak widział coś! Ten cień w płomieniach! Śmierć z jego ręki! Z ręki podpalacza! Powódź łez spłynęła mu przez palce, a dusza pogrążyła się w otchłani.

Zawył, a wycie to rosło w nim, stając się głosem, jakiego nigdy przedtem nie znał; było to wycie z samych trzewi jego jestestwa, wycie, które wzburzyło wodę w rzece i wstrząsnęło zamglonym powietrzem nieba. Jego ciało ogarnęły konwulsje, głowa trzęsa się szaleńczo, aż wreszcie wycie przeszło w podobne do modlitwy zawodzenie, a każde słowo wyrzucane było bez tchu w pośpiesznym wyznaniu winy: „Zabiłem cię, ZABIŁEM CIE”. A potem szept: „Wybacz mi”. I wtedy: „WYBACZ MI, O BOŻE...” I wreszcie: „Co ja zrobiłem... CO JA ZROBIŁEM?...”

Szlochał i szlochał, aż szloch przerodził się w spazm. Drżał cały, kołysząc się w przód i w tył. Klęczał na macie przed małą czarnowłosą dziewczynką, która bawiła się zrobionym z wyciorków zwierzątkiem nad brzegiem wartko płynącej rzeki.

W pewnej chwili, kiedy ból ucichł, Eddie poczuł, że ktoś puka go w ramię. Podniósł wzrok i zobaczył, że Tala wyciąga kamień w jego stronę.

– Ty umyć mnie – poprosiła. Weszła do rzeki i odwróciła się do niego plecami. Następnie ściągnęła przez głowę haftowane baro.

Aż się wzdrygnął. Skórę miała potwornie poparzoną. Tors i szczupłe ramionka były czarne, zwęglone i pełne pęcherzy. Kiedy odwróciła się znów do niego, na jej pięknej, niewinnej buzi widniały groteskowe blizny. Wargi zwisały. Tylko jedno oko było otwarte. Te miejsca na czaszce, gdzie spłonęły włosy, pokrywały twarde, cętkowane strupy.

– Ty umyć mnie – poprosiła znowu, wyciągając kamień.

Eddie wolno wszedł do rzeki. Wziął kamień. Palce mu drżały.

– Nie wiem, jak... – wymamrotał ledwo dosłyszalnie. – Nigdy nie miałem dzieci...

Podniosła zwęgloną rękę, a Eddie ujął ją delikatnie i potarł kamieniem ramię, a wtedy blizny zaczęły znikać. Potarł mocniej; włosy zaczęły się. Przyspieszył nacieranie, aż spalone ciało odpadło i pokazała się zdrowa tkanka. Potem obrócił kamień i zaczął trzeć jej chude plecy i wątle ramiona i kark, i wreszcie jej policzki, i czoło, i skórę za uszami.

Nachylała się w jego stronę, opierając głowę na jego obojczyku, zamykając oczy, jakby zapadała w drzemkę. Delikatnie obmył skórę dookoła jej powiek. To samo zrobił z opadającymi wargami i pełnymi strupów plamami na głowie, a wtedy włosy koloru ciemnej śliwki odrosły od korzeni, i znowu przed nim pojawiła się twarz, którą widział wcześniej.

Kiedy otworzyła oczy, ich białka lśniły jak dwie latarnie morskie.

– Ja pięć – powiedziała.

Eddie opuścił kamień i zadrżał, oddychając ciężko.

– Pięć... aha... masz pięć lat?

Potrząsnęła przecząco głową. Podniosła do góry pięć palców. Potem skierowała je w stronę piersi Eddiego, jakby mówiła: twoje pięć. Twoja piąta osoba.

Powiał ciepły wiatr. Po twarzy Eddiego spłynęła łza. Tęcza przyglądała się jej, tak jak dziecko przygląda się żukowi w trawie. Potem powiedziała, patrząc przed siebie:

– Dlaczego smutny?

– Dlaczego teraz jestem smutny? – szepnął.

Pokazała w dół.

– Tam.

Eddie wydał z siebie ostatni, pusty szloch, jakby w jego piersi nie zostało już nic. Zniósł wszystkie bariery; nie była to już rozmowa dorosłego z dzieckiem. Powiedział to, co mówił zawsze, co mówił Marguerite, co powiedział Ruby, Kapitanowi, Niebieskiemu Człowiekowi i co przede wszystkim, bardziej niż komukolwiek, mówił sobie.

– Byłem smutny, ponieważ niczego w życiu nie dokonałem. Niczego nie osiągnąłem. Byłem zagubiony. Czulem, że nie powinienem tam być.

Tala wyłowiła wyciorkowego pieska z wody.

– Ty powinien tam być – powiedziała.

– Gdzie? W Rubylandzie?

Skinęła głową.

– Reperować wagoniki? To miało być moje życie? – Westchnął głęboko. – Czemu?

Pochyliła głowę, jakby to było oczywiste.

– Dzieci – wyjaśniła. – Są bezpieczne. Ty spłacić dług za mnie.

Przycisnęła lekko pieska do jego koszuli.

– Właśnie tam ty powinien być – powiedziała i wtedy dotknęła naszywki na jego koszuli, i z cichym śmiechem dodała trzy słowa: – Eddie Nad-zór Tech-nicz-ny.

Eddie zanurzył się w rwącej wodzie. Kamienie wydarzeń jego życia rozrzucone były dokoła, pod powierzchnią, i stykały się ze sobą nawzajem. Czuł, jak jego cielesna powłoka rozplywa się i rozpuszcza, i pojął, że zostało mu już niewiele, że cokolwiek dzieje się po spotkaniu pięciu osób w niebie, to coś jest już blisko.

– Tala? – szepnął.

Podniosła wzrok.

– A ta dziewczynka w wesołym miasteczku? Wiesz coś o niej?

Tala wpatrywała się w czubki swoich palców Skinęła potakująco.

– Czy uratowałem ją? Czy udało mi się wyciągnąć ją stamtąd?

Tala potrząsnęła przecząco głową.

– Nie wyciągnąć.

Eddie zadrżał. Spuścił głowę. A więc jednak. To już koniec.

– Odepchnąć – powiedziała Tala.

Spojrzał na nią.

– Odepchnąłem ją?

– Pchnąć ją w nogi. Nie ciągnąć. Pchnąć. Wielka rzecz spaść. Ona bezpieczna.

Eddie zamknął oczy, coś mu nie pasowało.

– Ale ja trzymałem ją za ręce – upierał się. – To jedyne, co pamiętam. Nie mogłem jej odepchnąć.

Tala uśmiechnęła się, nabrała w ręce wody z rzeki, a potem wsunęła małe mokre paluszki w dorosłe dłonie Eddiego. W tym momencie pojął, że już tam kiedyś były.

– Nie jej ręce – wyjaśniła. – Moje ręce. Ja cię tu zabrać. Ty bezpieczny.

W tym momencie woda w rzece nagle się podniosła, najpierw zalewając go po pas, a potem ogarniając pierś i ramiona. Zanim zdążył wziąć następny oddech, głosy dzieci znikły gdzieś w górze, a on zanurzył się w silnym, choć spokojnym nurcie. Nadal ścisnął ręce Tali, ale czuł się tak, jakby jego dusza została odarta z ciała, jak mięso z kości, a wtedy odszedł cały ból i zmęczenie, jakie kie-

dykolwiek nosił w sobie, wszystkie blizny, wszystkie rany, wszystkie złe wspomnienia.

Był teraz niczym, liściem unoszącym się na wodzie, a ona ciągnęła go lekko przez cień i światło, przez plamy niebieskie i kremowe, i cytrynowe, i czarne, a on miał świadomość, że te wszystkie kolejne kolory to emocje jego życia. Ciągnęła go przez załamujące się fale wielkiego szarego oceanu i w końcu wyłonił się w jasnym świetle w zaskakującej scenerii.

Było to nabrzeże wypełnione tysiącami ludzi, mężczyzn i kobiet, ojców i matek, i dzieci – było całe mnóstwo dzieci – dzieci z przeszłości i z teraźniejszości, dzieci, które się jeszcze nie narodziły, stojących obok siebie, trzymających się za ręce, w czapkach, w krótkich spodenkach, wypełniających moło i wszystkie kolejki, i karuzele, i drewniane platformy, siedzących obok siebie, siedzących u siebie wzajemnie na kolanach. Były tam albo miały dopiero się znaleźć dzięki prostym, codziennym czynnościom, jakie Eddie wykonywał przez niemal całe swoje życie, dzięki tym wypadkom, do których nie doszło, bo im zapobiegł, dzięki temu, że wagoniki były sprawdzone, dzięki temu, że każdego dnia martwił się i denerwował, czy aby na pewno jest bezpiecznie. A choć ich usta nie poruszały się, Eddie słyszał głosy, więcej głosów, niż był w stanie sobie wyobrazić, i spłynął na niego spokój, jakiego dotąd nigdy nie zaznał. Uwolnił się już z uścisku Tali i unosił się nad piaskiem i nad moło, i nad namiotami, i wieżyczkami na placu, płynąc w powietrzu w stronę wielkiego, białego koła, gdzie w wagoniku, kołysząc się lekko, siedziała kobieta w żółtej sukni – jego żona, Marguerite, czekająca na niego z wyciągniętymi ramionami. On też wyciągnął do niej ręce i zobaczył jej uśmiech, a głosy zlały się w jedno słowo pochodzące od Boga:

Dom.

Epilog

Wesołe miasteczko Rubyland otworzyło swoje podwoje trzeciego dnia po wypadku. Jeszcze przez tydzień gazety rozpisywały się o śmierci Eddiego, po czym zaczęto pisać o innych śmierciach.

Wieża pozostała zamknięta do końca sezonu, ale w następnym roku otwarto ją na nowo pod zmienioną nazwą Diabelski Skok. Dla nastolatków stanowiła próbę odwagi i przyciągała wielu chętnych, z czego właściciele byli bardzo zadowoleni.

Mieszkanie Eddiego, w którym się wychował, zostało wynajęte komuś innemu, kto wprawił mleczne szyby w kuchenne okno, zasłaniając widok na starą karuzelę. Dominguez zgodził się objąć stanowisko kierownika nadzoru technicznego i włożył te kilka rzeczy, jakie zostały po Eddiem, do skrzyni w warsztacie, razem z pamiątkami z Rubylandu i ze zdjęciem starej bramy.

Nicky, młody człowiek, właściciel kluczyka, który przeciął kabel, po powrocie do domu dorobił nowy kluczyk, a cztery miesiące później sprzedał samochód. Często przychodził do Rubylandu, gdzie głośno przechwalał się przed kolegami, że miasteczko zostało nazwane na cześć jego prababki.

Mijały kolejne lata. A kiedy pustoszały szkoły i dni stawały się dłuższe, znowu do wesołego miasteczka nad wielkim szarym oceanem powracały tłumy – nie tak wielkie jak te w parkach rozrywki, ale też spore. I tak każdego lata miasteczko budziło się do życia, wybrzeże przyzywało melodią fal, a ludzie przychodzili na karuzele i diabelskie młyny, i zimne napoje, i cukrową watę.

W Rubylandzie tworzyły się kolejki – podobnie jak ustawiła się kolejka w innym miejscu: pięć osób czekających w pięciu wybranych

wspomnieniach, aż dziewczynka imieniem Amy czy Annie dorośnie, pokocha kogoś, zestarzeje się i umrze, i wreszcie dostanie odpowiedzi na swoje pytania – dlaczego i po co żyła. A w tej kolejce stoi starszy człowiek z bokobrodami, w płócienną czapce, ze złamanym nosem, czekający w miejscu zwanym Muszlą Gwiazdnej Orkiestry, aby podzielić się swoją częścią sekretu nieba: prawdą, że wszyscy jesteśmy powiązani z innymi ludźmi, a ci inni ludzie powiązani są z jeszcze innymi, i że świat pełen jest ludzkich historii, ale wszystkie te historie stanowią jedno.

Podziękowania

Autor pragnie podziękować Vinnie Curci z Amusements of America i Danie Wyatt, dyrektorce Pacific Park na Santa Monica Pier. Ich pomoc przy zbieraniu materiałów do tej książki była wprost bezcenna, a ich radość i duma z tego, że zapewniają bezpieczeństwo gościom wesołego miasteczka – godne pochwały. Dziękuję także doktorowi Davidowi Collonowi z Henry Ford Hospital – za informacje na temat ran i obrażeń odnoszonych podczas walk – oraz Kerri Alexander, która wspaniale wszystkim się zajmuje. Najgłębsze wyrazy wdzięczności niech przyjmą: Bob Miller, Ellen Archer, Will Schwalbe, Leslie Wells, Jane Comins, Katie Long, Michael Burkin i Phil Rose za ich pobudzającą do działania wiarę we mnie, David Black za idealną relację agent-autor, Janine za to, że cierpliwie słuchała głośnego czytania tej książki, Rhoda, Ira, Cara i Peter za wspólne przeżycie pierwszej w moim życiu przejażdżki diabelskim młynem, oraz mój wuj, prawdziwy Eddie, który opowiadał mi swoje historie na długo przedtem, zanim zacząłem opowiadać moje własne.